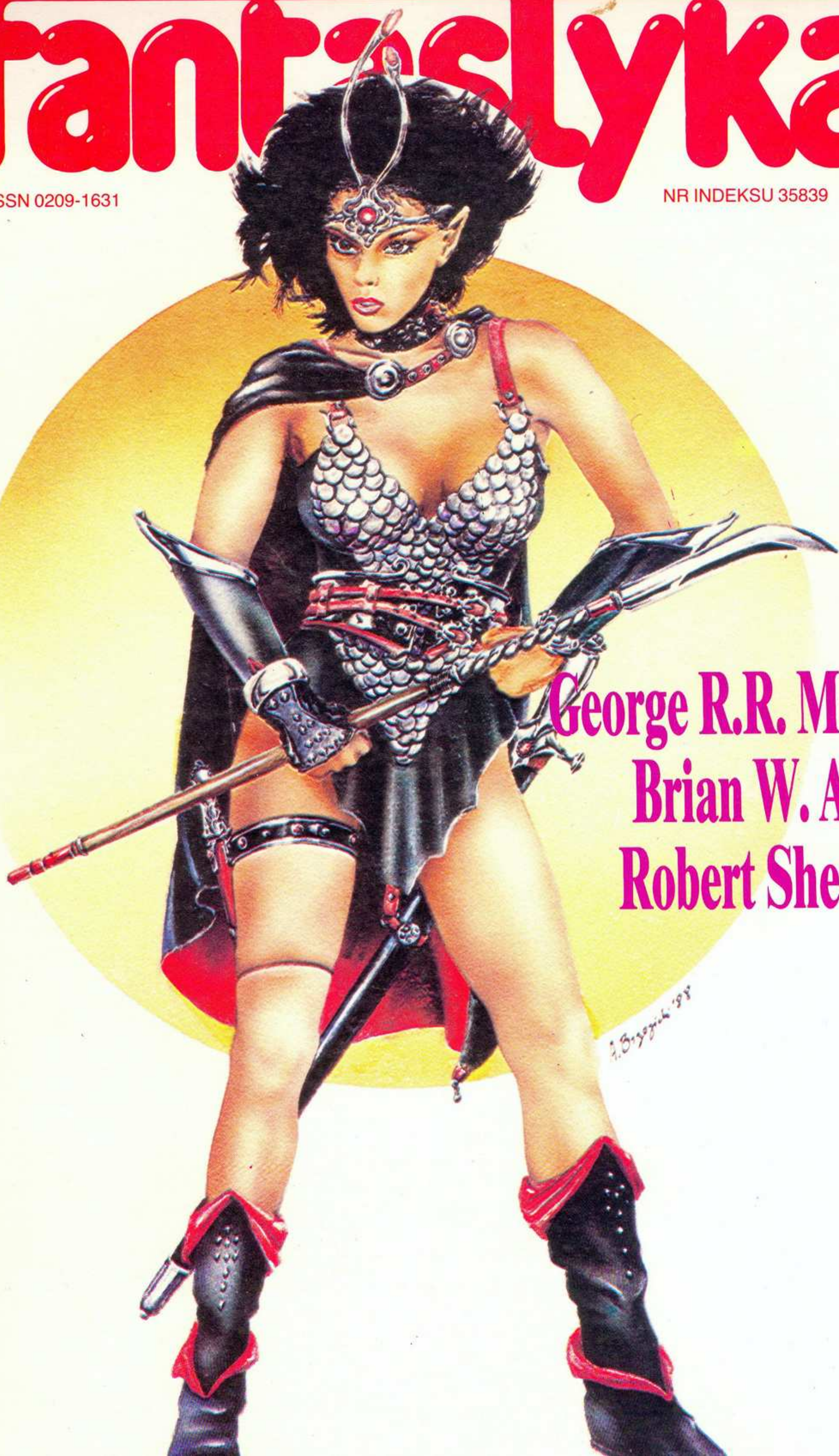
fantastyka

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35838



George R.R. Martin
Brian W. Aldiss
Robert Sheckley

ANDRZEJ BRZEZICKI

a BESTIA

Nie będzie obojętnych! Zakochani, zbulwersowani, zażenowani i rozbawieni – tak, tych nie zabraknie. Taaaakie babki!

dzo nadludzkim i bardzo pruderyjnym bohaterem tak zajętym zbawianiem świata, że nie w głowie mu były kobiety. Na okładkach magazynów sprzedawały science fiction obiecując rozkosze, których brak było między okładkami. W fantasy rozmnożyły się do tego stopnia, że są dziś stałym elementem jej folkloru. A my, ciągle, znamy je słabo... – nie ta poligrafia, nie te tęsknoty, nie te problemy. A więc: poznajmy się! Nie będzie obojętnych. Zażenowani, zbulwersowani, rozbawieni, zakochani – tych nie zabraknie. Taaaakie babki! O, jak rany!

Niestety, takich kobiet nie ma. I nigdy nie było... Tych pięknych, mających na sobie więcej klejnotów niż ubrań i tych wspaniałych, gotowych oddać maczugą, gdy tylko tknąłeś je paluszkiem.

Warto byłoby zaryzykować prawie wszystko, by obejrzeć je sobie, och... z jak bliska. Lepiej byłoby trzymać się od nich z daleka, co najmniej na odległość wyciągniętego z pochwy miecza. Inaczej piękne wzgórza i doliny mogłyby stać się ostatnim pejzażem widzianym przez prawdziwego, szczęśliwego mężczyznę.

Niestety, takich kobiet nie będzie i to jest jedna z przyczyn, dla których nie warto urodzić się w przyszłości. To tylko wizja, małżeństwo talentu artysty z tęsknotami widzów. Mój Boże, ileż to razy biadano nad doprowadzoną do niedorzeczności fantastycznością literatury i sztuk fantasy. Przypomnijmy rzeczowe argumenty – z sympatią, choć bez wzruszenia.

To Poul Anderson jakże słusznie zauważył, że barbarzyńska księżniczka-wojownik ma nad barbarzyńskim księciem-wojownikiem jedną, zdecydowaną przewagę. Bez bólu i bez obawy o utratę najcenniejszych swych walorów może jeździć konno po męsku (!), odziana wyłącznie w klejnoty i skórzaną spódniczkę włożoną na gołe ciało. Wiemy? Wiemy... w którym z nas nie budził pewnych wątpliwości nieśmiertelny serial „Zorro" i pierwsze lektury Conana? Do władzy nie dochodziło się dzięki wymiarom doskonalszym niż u Miss Uniwersum. Wiemy? Wiemy. Wystarczy obejrzeć dowolną galerię portretu, by natychmiast pozbyć się miłych złudzeń. Posługiwanie się mieczem wymagało siły – to



Arkadiusz Matysiak

dźwigać z wysiłkiem ciężki miecz w „Conanie-barbarzyńcy". Bujne

Wiemy? Wiemy. I co? I nic. „Mówił dziad do... obrazu".

większej ciężarówki zmienił magicznie w barbarzyńskiego herosa. Ale: *By byc barbarzyńcą, trzeba trenować* – twierdzi w szóstym rozdziale „The River of Dancing Gods". Barbarzyńca imieniem Joe (Józek) trenuje więc pod kierunkiem wymagających nauczycieli szkoląc się w sztukach, które z trudem tylko uznać można za odpowiednie dla pięknych kobiet. *Dzień rozpoczynał się od biegów: najpierw biegali milę, potem dwie, potem trzy... Później przychodził czas na śniadanie, po którym Józek zmuszony był do kolejnych biegów, żeby nie porosnąć w tłuszcz. Następnie ćwiczył podnoszenie ciężarów (...).*

Po wielkiem obiedzie następowały zajęcia z bronią. Postawa. Ruch. Miotanie włócznią i rzuty sztyletem. Każde ćwiczenie inne, każde wymagające specjalnych umiejętności i wielkiej praktyki. Miecz, po raz pierwszy wzięty do ręki, wydawał się ważyć tonę.

Pod kierunkiem wymagającego trenera, potężnego Gorodo zwanego „błękitnym gigantem", barbarzyńca Józek czyni wielkie postępy. Przychodzi wreszcie czas na egzamin...

A Gorodo ciągle prowokował, szydził, dokuczał (...), aż wreszcie długo gotujący się gniew wykipiał. Józek zamierzył się na barbarzyńcę, uderzył i... trafił!

Była to piękna walka – meble rozbijały się o ściany i kruszyły pod ciężarem dwóch ciał, jednego wielkiego i jednego jeszcze większego, przetaczających się po podłodze. Trwało to blisko półtorej godziny, wśród mnóstwa widzów krążyły elfy przyjmując zakłady. Lecz w końcu Gorodo, potłuczony i krwawiący z wielu ran i siniaków zwyciężył Józka przez nokaut.

Józek ocknął się w swoim pokoju z potwornym bólem głowy. Na krześle siedział Gorodo.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Kiepsko.

– Ja też... To była piękna walka. Jestem z ciebie dumny, chłopcze. Zdałeś.

Tak właśnie zdaje się egzamin: na barbarzyńcę, na wojownika, na księcia. Serca księżniczki nie da się podbić w ten sposób. Nie warto. Bo cóż z nią później zrobić? Do końca życia bandażować rany?



20

Fantasy? Fantasy!!! Czy drugie opowiadanie Andrzeja Sapkowskiego będzie się cieszyło podobnym uznaniem Czytelników co superprzebój w naszym III sondażu – „Wiedźmin"?

Andrzej Sapkowski: „Droga, z której się nie wraca"

Kultury, kto na przykład dyktuje losy książek w naszym kraju, od kogo zależy, czy zostaną one kupione czy nie, czy się spodobają, czy też będą zalegać półki księgarń?

Odpowiedź na tego typu pytania wydaje się wręcz prymitywna, wszystko przecież zależy chyba od tego kto pisze i jak pisze. Jeśli książka będzie dobra, jeśli będzie miała szanse spodobania się czytelnikom, wtedy o jej los nikt się nie będzie obawiał. I w tym momencie człowieka chwyta śmiech pusty, a potem jak to mówił wieszcz – „litość i trwoga", bo wszystko to co powiedziałem, co wydaje się oczywiste, jest po prostu bzdurną ćwierćprawdą. Wiadomo przecież, że najgłębsza, więc i trudniejsza lektura przebija się bardzo trudno do szerokiej publiczności, to samo dotyczy percepcji plastyki, muzyki, zresztą wszelkich dziedzin sztuki. Losy dzieła sztuki nie są wobec tego wprost proporcjonalne do jego wartości. Oczywiście komplikuje sprawę także i umiejętność rozpoznawania samych wartości, a więc poziom krytyki, jej stan, jej rola w społecznościach, do których dane dzieło sztuki trafia.

A wiadomo, że zarówno reakcje krytyki, jak i „oswajanie się" odbiorców z wybitniejszymi dziełami nie przychodzą od razu, bardzo często autorom trudno się w ogóle doczekać sławy i uznania za życia, zwłaszcza słynna bezinteresowna zawiść środowiska także tu wiele waży. Wańkowicz, tak, to on pisał, że szewc czy krawiec bywa zazdrosny, że kto inny został... biskupem. Pomińmy jednak ten element, przecież w społeczeństwie, któremu zależy na rozwoju czy upowszechnieniu kultury, powinno się dbać o usuwanie wszelkich przeszkód między twórcami a odbiorcami, starać, aby swój trafił na swego. Znaczy to także, aby jednak oddzielać zawczasu plewy od ziarna i dostarczać „towar duchowy" najwyższej jakości, najlepszej próby. Oczywiście nie oznacza to jednakże wcale uszczęśliwiania na siłę, wmuszania komuś takich, a nie innych książek, obrazów czy utworów muzycznych, co na przykład stosuje uparcie nawet nasze radio, nadając często równocześnie we wszystkich programach muzykę (!?)



rockową, a coraz bardziej usuwając w kąt i cień muzykę określaną jako poważna.

W każdym razie już w tej chwili jest jasne, że od dystrybutorów czy określmy to inaczej – sprzedawców dzieł sztuki – ogromnie wiele zależy, oni są pośrednikami między autorem a odbiorcą i oni mogą, i powinni, regulować stosunki między obydwiema stronami dla uzyskania optymalnych wyników. Księgarz przedwojenny był prawdziwym doradcą i przyjacielem czytelnika, czy raczej potencjalnego czytelnika. Potrafił doskonale określić nie tylko tytuły jakimi dysponuje, nie tylko znakomicie się orientował co komu trzeba by czy wolno zaoferować, ale także – znając prawie każdą posiadaną w swoim składzie książkę – umiał ją niejako dopasować do swoich stałych, ale też i przygodnych klientów. Niewątpliwie stawał się często i doradcą wydawców, orientując ich w popycie na dany tytuł czy na rodzaj książki, informował po prostu o jej pokupności.

Nie miał jednak i nie mógł mieć decydującego głosu w sprawach nakładu. Niestety, monopolistyczny charakter dystrybucji książek pozwala dziś, wbrew wszelkiej logice, wbrew interesom naszej kultury, i to jest najgorsze, dyktować księgarzom wysokości nakładów, oni już nie tylko doradzają ile czego wolno wypuścić z danego wydawnictwa na rynek, ale wprost wymuszają. Jest to zjawisko ryzykowne, powiedziałbym nawet – katastrofalnie ryzykowne. Zamiast bowiem rynku konsumenta narzuca nam

chodzi innymi drogami niż interes poszukujących książek oraz autorów, a co najważniejsze – interes kultury.

Nikogo o zło nie posądzam, ale ponieważ na ogół lepsze (trudniejsze) książki dłużej się sprzedaje i wobec tego zalegają one część księgarskich, skąpych rzeczywiście magazynów, stają się po prostu towarem niewygodnym. Niewygodne dla księgarzy jest wszystko, co wolniej idzie i czego nie da się sprzedawać... spod lady. Muszą więc panie i panowie księgarze preferować wszystko, co idzie szybko, najszybciej. Zaś co naiwniejsi dziennikarze biorą tego rodzaju popyt na takim rynku za – bestsellery, co po prostu brzmi śmiesznie i nie ma nic wspólnego z najlepiej sprzedającymi się książkami na normalnym, nie naszym, krajowym, rynku sztuki. Tak to fałszywa moneta narzuca fałszywe poglądy i zamiast poprawiać sytuację rynkową – stale ją pogarsza.

Żeby nie być gołosłownym powołam się na bardzo charakterystyczny przykład ostatniej nagrody księgarskiej, którą ktoś w swym ślepym widzie nazwał niezwykle odważną. Niech mnie autor nagrodzonej książki nie posądza o jakieś próby dyskryminacji jego dzieła, czy umniejszania jego umiejętności twórczych itd., itd. Przeciwnie, sądzę, że to co robi, robi dobrze, że zna swoją sztukę. I nie jest to żaden atak na niego, lecz na rodzaj wyboru, którego odważyli się dokonać księgarze. Oni nigdy takiej książki nie powinni byli nagrodzić, właśnie oni, z racji swojej roli pośredników w propagowaniu rzeczy w książce najważniejszych; przyznanie nagrody było więc moim zdaniem nie aktem odwagi, lecz swego rodzaju aktem bezczelności, demonstracją siły i to siły źle, niewłaściwie użytej. Przecież nagroda księgarzy powinna być przede wszystkim promocyjna, a nagrodzony promocji nie potrzebuje.

Nasze księgarstwo wymaga więc leczenia i nie może być głównym, jednym z czołowych decydentów w sprawach jakości i upowszechniania książki. W każdym razie monopol w tej dziedzinie przynosić zaczyna coraz więcej szkód zamiast pożytku.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6.
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 28-23-09. Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Nakład 167 000 egz.
Zam. Zam. 1902/88 U-78

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 25 maja 1988 r.

Lądowanie LXVI

Pamiętam pierwszą lekcję wychowawczą, *jeszcze z liceum. Każdy musiał na ocenę przedstawić swoje hobby. Gdy weszłam i zapowiedziałam, że chcę mówić o literaturze fantastycznej, rozległ się śmiech w klasie, dowcipy, a wychowawca zapytał: czy nie mogłaś wybrać innego hobby? Wyobrażacie sobie jak ja się wtedy czułam. No i oczywiście całą lekcję diabli wzięli. Zresztą nie dalej jak przed kilkoma dniami, w popularnej trójce, w audycji „czy mówisz po polsku" usłyszałam wypowiedź, że „struktury myślowe w literaturze science fiction są bardzo szkodliwe dla młodego pokolenia". No i co wy na to? Czy mogę mieć tylko dwie prośby do Czytelników: 1. Czy ktoś mógłby do mnie napisać? 2. Czy ktoś mógłby odstąpić mi powieści „Formy Chaosu", „Pieśń dla Lyanny", „Miasto i gwiazdy", „Jeźdźcy smoków", „ Świat czarownic"?*

Lubomira Jucha
Łańce
ul. Rzuchowska 2
44-284 Pstrążna

Za dużo wydaje się fantastyki *i książek współczesnych, a ciągle za mało klasyków fantastyki światowej. Byłem ostatnio na targach książki w Warszawie i oglądałem mnóstwo ciekawych wydawnictw jakich u nas nigdzie się nie dostanie. W dziale francuskim uderzyły mnie monografie o fizyce, chemii, astronomii, kwiatach, podróżach kosmicznych, były też różne encyklopedie różnych tematów. Wielkich encyklopedii nie widziałem. A u nas: albo potwornie drogie wielkie encyklopedie za wielkie pieniądze, lub małe, powszechne encyklopedie, które niczego właściwie nie wyjaśniają – i też za wielkie pieniądze.*

Jan Jagielski *z Wrocławia*

Bardzo lubię marzyć i fantazjować, *ponieważ tylko to nadaje memu życiu sens. Szara rzeczywistość i codzienność zabija mnie. Jestem głęboko przekonany o prędkim i okrutnym końcu świata oraz całej naszej cywilizacji. Ale nie martwi mnie to, gdyż wierzę w świat pozagrobowy, istnienie cywilizacji pozaziemskich, a także równoległych do naszego – wielu wymiarów. W związku z tym bardzo lubię czytać Wasze pismo, uważam je za coś wspaniałego. Sam często wymyślam różne niesamowite historie...*

Jarosław Dzieżyc *ze Szczecina*
(20 lat, student prawa)

Jestem stałą czytelniczką *Waszego pisma, ponieważ całe moje 25-letnie życie zajmuję się, w ten czy inny sposób, wszystkim, co niesamowite. W „Fantastyce" ze szczególną przyjemnością czytałam poezję i cieszyłam się, że jest ona zawsze trochę inna od zwykłej. Ostatnio poezji u Was mniej. Czy w ogóle chcecie zrezygnować z drukowania wierszy?*
„Trójkąt Bermudzki jest w każdym z nas / boimy się go/ obchodzimy go w sobie w koło /grzejąc ręce nad jego niewypowiedzianym/ ono to bowiem patrzy na nas / swoim w sobie okiem..."

Olga N. Tokarczuk *z Wałbrzycha*
(absolwentka psychologii UW)

Moje marzenie *to nie miesięcznik, ale tygodnik „Fantastyka". Jestem stałą czytelniczką od 1984 i uważam, że z każdym rokiem pismo jest ciekawsze.*

Magdalena Bąk

Zbyt mało jest powieści *takiego typu jak „Znak białego księżyca" Aldaniego i Piegai. Fantasy powinno mieć swoje stałe miejsce w piśmie. Ten Wasz miesięcznik, choć na parę godzin, pozwala wyrwać się z rzeczywistości i przejść w inny świat, świat, który jest najcudowniejszy.*

Artur Herman *z Krakowa*

W tym tygodniu skończyłam *wreszcie prywatny leksykon autorów SF, który zmontowałam dla lepszej orientacji w temacie. Mam nadzieję, że gdy tylko ukończycie druk pożółkłych kartek, od razu znajdzie się na tym miejscu coś w rodzaju przekrojowego przeglądu pisarzy science fiction z całego świata. Do tej pory, niestety, pełną listę utworów pisarza umieściliście tylko raz, bo pewnie tak wypadało – na śmierć Dicka. A propos Dicka, słyszałam, że pan Jęczmyk wspominał kiedyś o przetłumaczeniu „Druciarza Galaktyki", chciałabym wiedzieć czy to prawda i jak właściwie z drukowaniem Dicka? Ogólnie zorientowałam się, że „Fantastyka" prezentuje bardzo dobry poziom, zwłaszcza gdy skonfrontowałam to, co drukujecie z listami nagród Hugo i Nebula. Mieliśmy u Was wiele z tych nagrodzonych opowiadań, a nawet jeśli któreś nie należało do nagrodzonych, to także było interesujące. Oby tak dalej! Tylko że 64 strony w miesiącu to trochę zbyt mało...*

Joanna Zielińska *z Krakowa*

Serdecznie dziękuję *za Stephena Kinga, było to coś znakomitego. Podobnie jak drukowana przez Was niedawno „Kraina Chichów". Bardzo proszę o więcej horroru i częściej.*

K.P. Wasilewski *z Łodzi*

Nie wszyscy wychowawcy i nauczyciele są tacy jak Ci, opisani przez panią Lubomirę. Ostatnio spotkaliśmy się z młodzieżą w Tarnobrzegu i w spotkaniu tym brali także udział nauczyciele, którzy twierdzili wprawdzie, że jak się orientują ze swej pracy – faktycznie brakuje ciągle na rynku księgarskim klasyków. Jednakże i fantastyka spełnia dobrze swą wychowawczą rolę! Niestety, ciągle nadchodzą listy od młodzieży, skarżącej się na zły stosunek nauczycieli do SF. Nie słyszeliśmy wprawdzie audycji, w której, przytoczonym przez panią żargonem pseudonaukowym, krytykowano literaturę fantastyczną. Dziwi nas jednak ten fakt bardzo, ponieważ w III programie Polskiego Radia systematycznie występujemy z dyskusjami o fantastyce, zapraszani tam przez jego kierownictwo i redaktorów.

Panu Janowi Jagielskiemu chciałbym powiedzieć, że wcale za dużo fantastyki współczesnej nie wychodzi z naszych drukarń, tylko że często dobór tytułów i autorów, zarówno zagranicznych, jak i krajowych, wydaje nam się niedobry, stąd zaleganie przez niektóre utwory półek i lad księgarskich. Chociaż: i gusty czytelników nie zawsze bywają na najwyższym poziomie. Dlatego może się zdarzyć, że znakomita rzecz przeleży się trochę, zanim trafi na właściwego nabywcę. Książki są drogie, więc i wybór ich niełatwy. Czasem to, co by się chętnie kupiło, nie jest na naszą kieszeń.

Redaktor

George R. R. Martin

...ZA JEDEN

Keith był naszą kulturą, wszystkim, co z niej zostało. Był naszym poetą i naszym trubadurem, a jego głos i gitara były naszymi jedynymi więzami z przeszłością. Był także podróżnikiem w czasie, jednak zanim przyszedł Winters nikomu to specjalnie nie przeszkadzało.

Keith był naszą pamięcią. Był także moim przyjacielem.

Grał dla nas co wieczór po kolacji. Tuż za zasięgiem wzroku z naszego wspólnego domu była mała polana i głaz, na którym lubił siadać. Przychodził o zmierzchu z gitarą i siadał, zwrócony ku zachodowi. Zawsze ku zachodowi. Miasta były na wschodzie. Daleko, to prawda, lecz Keith nie lubił patrzeć w tamtą stronę. Nikt z nas nie lubił.

Nie wszyscy przychodzili na wieczorne koncerty, ale zawsze był spory tłum, mniej więcej trzy czwarte naszej komuny. Zbieraliśmy się w nieregularnym kole, siedząc na ziemi albo leżąc w trawie, pojedynczo lub parami. A Keith, nasze żywe hi-fi w dżinsach i skórze, gładził się po brodzie, jakby rozbawiony i zaczynał grać.

Był naprawdę dobry. Kiedyś, przed Wybuchem, był na najlepszej drodze do kariery. Przyszedł do komuny cztery lata temu – odpocząć, odnowić kontakty ze starymi przyjaciółmi i na parę letnich miesięcy uciec od ciągłej gonitwy muzycznego biznesu. Zamierzał jednak wrócić.

A potem był Wybuch. I Keith został. Nie miał już do czego wracać. Jego miasta były cmentarzami, pełnymi umarłych i umierających, z nagrobkami ze stopionych, świecących w nocy wieżowców. A wszędzie poza nimi były szczury – te prawdziwe i te ludzkie.

W nim te miasta wciąż żyły. Wszystkie jego piosenki pochodziły z dawnych dni, gorzkosłodkie melodie, pełne utraconych marzeń i samotności. Czasem grał to, o co go poproszono, ale przede wszystkim trzymał się muzyki, którą sam lubił. Dużo folk, dużo folk-rocka, kilka rzeczy czysto rockowych i kilka tematów z musicali. Jego szczególnymi faworytami byli Lightfoot, Kristofferson i Woody Guthrie. A od czasu do czasu grał swoje własne kompozycje, napisane jeszcze przed Wybuchem. Ale niezbyt często.

Dwie piosenki jednak grał każdego wieczora. Zawsze zaczynał od „They Called The Wind Maria", a kończył na „Me and Bobby McGee". Niektórzy z nas byli już zmęczeni tym rytuałem, ale nikt nigdy nie powiedział ani słowa. Keith chyba uważał, że te piosenki do nas pasują, a nikomu nie chciało się z nim spierać.

Do czasu przyjazdu Wintersa, oczywiście. Nastąpiło to w pewien późnojesienny wieczór w czwartym roku po Wybuchu.

Miał na imię Robert, ale nikt się do niego tak nie zwracał, mimo że wszyscy mówiliśmy sobie po imieniu. Gdy się pojawił, zajeżdżając dżipem wraz z dwoma innymi mężczyznami, przedstawił się jako porucznik Robert Winters. Jego armia jednak już nie istniała, a on sam poszukiwał schronienia i pomocy.

Atmosfera pierwszego spotkania była dość napięta. Pamiętam, że bardzo się przestraszyłem, usłyszawszy dżipa i czekając, wycierałem dłonie o dżinsy. Miewaliśmy już gości. Nikt z nich nie był zbyt miły.

Czekałem na nich samotnie. Byłem przywódcą – na tyle, na ile w tych czasach w ogóle ktoś mógł nim być. To znaczy nie za bardzo. Wszystkie ważne sprawy rozstrzygaliśmy przez głosowanie i nikt nie wydawał rozkazów. Tak więc nie byłem prawdziwym szefem, stanowiłem jednak komitet powitalny. Reszta rozproszyła się i to było najrozsądniejsze. Nasi ostatni goście znajdowali wielką przyjemność w gwałceniu dziewcząt i strzelaniu do wszystkiego, co żyło. Nosili czarno-złote mundury i mówili o sobie „Synowie Wybuchu". Wymyślna nazwa dla bandy szczurów. My również nazywaliśmy ich synami, ale nie Wybuchu.

Winters jednak był inny. Jego mundur był starym, dobrym mundurem armii Stanów Zjednoczonych. Co zresztą niczego nie dowodziło, gdyż niektóre regularne oddziały nie były lepsze niż bandy szczurów. To właśnie nasza wspaniała armia w pierwszym roku po Wybuchu przeczesała dużą część kraju, paląc miasta i za-

Nie sądzę, żeby Winters brał w tym udział, ale nigdy nie zdobyłem się na odwagę, żeby go o to zapytać. Wyglądał zbyt uczciwie. Był wysoki, jasnowłosy i prosty jak świeca, mniej więcej w takim wieku, jak reszta z nas. A dwaj „jego ludzie" byli przestraszonymi chłopcami, młodszymi od większości członków naszej komuny. Przeszli sporo i chcieli się do nas przyłączyć. Winters wciąż powtarzał, że chce nam pomóc w odbudowie.

Przyjęliśmy ich oczywiście. Nikogo jeszcze nie odrzuciliśmy, z wyjątkiem paru szczurów. W pierwszym roku zaopiekowaliśmy się nawet półtuzinem ludzi z miasta i pielęgnowaliśmy ich, umierających na chorobę popromienną.

Winters jednak nas zmienił, w sposób, którego nigdy nie przewidywaliśmy. Może na lepsze. Kto to może wiedzieć? Przywiózł książki i wiele innych rzeczy. Także broń i dwóch ludzi, którzy wiedzieli jak się nią posługiwać. Wielu facetów komuny przyszło tutaj, żeby uciec od broni i mundurów, jeszcze przed Wybuchem. Tak więc Pete i Szalony Harry zajęli się polowaniem i bronili nas przed szczurami, trafiającymi w tę okolicę od czasu do czasu. Stali się naszą policją i naszą armią.

A Winters został naszym przywódcą.

Ciągle nie jestem pewien jak to się stało. Ale się stało. Zaczął od dawania rad, potem już przewodniczył dyskusjom, a skończył na wydawaniu rozkazów. Nikt specjalnie się nie sprzeciwiał. Od Wybuchu dryfowaliśmy bez celu, a Winters wskazał nam kierunek. Miał wielkie zamiary. Kiedy ja byłem rzecznikiem komuny, martwiłem się tylko o to, żebyśmy jakoś dotrwali do następnego dnia. Winters pragnął odbudowy. Chciał zbudować generator, chciał szukać tych, którzy przetrwali i zebrać ich razem w rodzaj osady. Układanie planów było jego pasją. Miał wielkie marzenia, dotyczące dni, które nadejdą i jego nadzieja przyciągała wszystkich.

Nie chciałbym jednak tworzyć fałszywego obrazu. Winters nie był typem domorosłego tyrana. Dowodził nami, tak, ale był również jednym z nas. Trochę inny niż my, jednak nie aż tak bardzo. I z czasem stał się przyjacielem. Ze swej strony też starał się do nas dopasować. Pozwolił nawet rosnąć swobodnie włosom i zapuścił brodę.

Tylko Keith niezbyt go lubił.

Przez pierwszy tydzień pobytu u nas Winters nie przychodził na koncerty. A kiedy przyszedł, stanął poza kręgiem, z rękami wciśniętymi w kieszenie. Reszta z nas jak zwykle leżała wokół, niektórzy śpiewali, inni tylko słuchali. Tego wieczora było trochę chłodno i rozpaliliśmy małe ognisko.

Winters stał w cieniu chyba przez trzy piosenki. Potem, podczas krótkiej przerwy, podszedł bliżej ognia.

– Grasz na zamówienie? – spytał, uśmiechając się niepewnie.

Wtedy jeszcze nie znałem Wintersa zbyt dobrze. Ale znałem Keitha. I z lekkim niepokojem czekałem na odpowiedź.

Ale on po prostu brzdąknął leniwie w struny i popatrzył na Wintersa, na jego mundur i krótkie włosy.

– To zależy – powiedział w końcu. – Nie zamierzam grać „Ballady o Zielonych Beretach", jeśli o to chodzi.

Twarz Wintersa zmieniła się na moment, ledwie zauważalnie.

– Zabijałem ludzi, to prawda – powiedział. – Nie znaczy to jednak, że jestem z tego dumny. Nie o tę piosenkę chciałem prosić.

Keith rozważył to, spojrzał na swą gitarę. Potem, najwyraźniej usatysfakcjonowany, skinął głową i uśmiechnął się.

– Dobrze – powiedział. – Co chcesz usłyszeć?

– Znasz „Leavin' on a Jet Plane"? – spytał Winters.

Uśmiech stał się szerszy.

– Tak. John Denver. Zagram to dla ciebie. Smutna piosenka. Już nie ma odrzutowców, poruczniku. Wiesz o tym? To prawda. Powinieneś trochę pomyśleć dlaczego.

Znów się uśmiechnął i zaczął grać. Keith, jeśli tego chciał, za-

MINIONY DZIEŃ

(... for a single yesterday)

Nieco ponad milę na zachód od domu, za polami, przez wzgórza i zagajniki płynął mały strumyk. Zwykle w lecie i na jesieni był suchy, ale i tak było to ładne miejsce. Ciemne i ciche nocami, oddalone od hałasów i ludzi. Jeśli pogoda sprzyjała, Keith zaciągał tam swój śpiwór i rozkładał się pod drzewem. Samotnie.

Tam również odbywał swoje podróże w czasie.

Znalazłem go nad tym strumieniem, gdy koncert się już skończył i wszyscy poszli spać. Siedział, oparty o swoje ulubione drzewo, odganiając komary i wpatrując się w suche łożysko strumienia. Usiadłem obok niego.

– Cześć, Gary – powiedział nie patrząc na mnie.

– Jesteś w dołku? – spytałem.

– Jestem – gapił się w ziemię i powoli obracał w palcach łodyżkę suchego liścia. Przyjrzałem się jego twarzy. Usta były zaciśnięte i pozbawione wyrazu, oczy przysłonięte powiekami.

Znałem Keitha już od dawna. Wiedziałem o nim dostatecznie dużo, żeby milczeć. Siedziałem po prostu obok niego, wygodnie, bo na stercie świeżo opadłych liści. Po chwili zaczął mówić, jak zawsze.

– Tu powinna być woda – skinął w stronę strumienia. – Gdy byłem dzieckiem, mieszkałem nad rzeką. Płynęła po drugiej stronie ulicy. Och, to była śmierdząca mała rzeczka w śmierdzącej małej mieścinie, woda była zatruta jak wszyscy diabli. Jednak to była woda. Czasami, nocą, szedłem do parku nad rzeką, siadałem na ławce i patrzyłem na nią. Bywało, że godzinami. To strasznie denerwowało moją matkę.

Zaśmiał się miękko.

– Wiesz, ta rzeka była ładna. Nawet plamy ropy były ładne. I pomagała mi myśleć. Brak mi tego. Wody. Zawsze mi się lepiej myśli, gdy patrzę na wodę. Dziwne, co?

– Nie takie dziwne – powiedziałem.

Wciąż nie patrzył na mnie. Ciągle wpatrywał się w suchy strumień, w którym teraz płynęła tylko ciemność. I jego dłonie darły liść na strzępy. Powoli i metodycznie, darły.

– Tego już nie ma – powiedział po chwili. – To miejsce leżało za blisko Nowego Jorku. Jeśli ta woda w ogóle jeszcze tam jest, to pewnie teraz świeci. Ładniejsza niż kiedykolwiek, ale ja nie mogę do niej wrócić. I tak jest ze wszystkim. Zawsze, gdy sobie coś przypomnę, muszę jednocześnie pamiętać, że to już nie istnieje. I że nie mogę wrócić, nigdy. Do niczego. Tylko... tylko przy pomocy tego. – Skinął ku ziemi między nami. Potem skończył z liściem i wziął następny.

Sięgnąłem w dół, obok jego nogi. Pudełko po cygarach było tam, gdzie spodziewałem się je znaleźć. Wziąłem je w obie dłonie i kciukiem otworzyłem wieczko. Wewnątrz była igła i może tuzin małych torebek z proszkiem. W świetle gwiazd proszek wyglądał na biały. Oglądany w dzień był blado, połyskliwie błękitny.

Spojrzałem na torebki i westchnąłem.

– Niewiele już zostało – powiedziałem.

Keith skinął głową, nawet nie zerkając.

– Skończy mi się w ciągu miesiąca, jak sądzę. – W jego głosie brzmiało zmęczenie. – Potem będę miał tylko moje piosenki i moje wspomnienia.

– Teraz też masz tylko to – powiedziałem. Zamknąłem pudełko z cichym trzaskiem i oddałem mu. – Chronina to nie maszyna czasu, Keith. To tylko halucynogen, który przypadkowo działa na pamięć.

Zaśmiał się.

– Ciągle nad tym dyskutowali, wtedy, przed Wybuchem. Wszyscy eksperci tak twierdzili – chronina to oddziałujący na pamięć narkotyk. Ale oni nigdy nie brali chroniny. Ty też nie, Gary. Ja natomiast wiem. Ja przenosiłem się w czasie. To nie pamięć. To coś więcej. Wracasz, Gary, naprawdę wracasz. Przeżywasz wszystko jeszcze raz, cokolwiek to było. Nie możesz niczego zmienić, ale jednak wiesz, że to jest prawdziwe.

Odrzucił resztki liścia, podciągnął kolana i oplótł je rękami. Położył na nich głowę i spojrzał na mnie.

– Któregoś dnia powinieneś sam spróbować, Gary. Naprawdę powinieneś. Musisz tylko wziąć odpowiednią ilość i możesz chwycić dzień, który minął. To nie jest zły interes.

Potrząsnąłem głową.

– Dałbyś mi proszek, gdybym chciał to zrobić?

– Nie – odpowiedział, uśmiechając się, ale nie ruszając głową. – To ja znalazłem chroninę. Jest moja. I jest jej zbyt mało, żeby się dzielić. Przykro mi, Gary. To nie ma nic wspólnego z tobą. Ale wiesz, jak to jest.

– Tak – powiedziałem. – Wiem, jak to jest. I tak jej nie chcę.

– Wiedziałem.

Dziesięć minut gęstej ciszy. Przerwałem ją pytaniem:

– Winters cię denerwuje?

– Niespecjalnie – powiedział. – Chyba jest w porządku. To tylko te mundury, Gary. Gdyby nie te pieprzone sukinsyny w mundurach i gdyby nie to, co zrobili, mógłbym wrócić. Do mojej rzeki i do śpiewania.

– I do Sandi – powiedziałem.

Jego usta wykrzywiły się w wymuszonym uśmiechu.

– I do Sandi – potwierdził. – I nie potrzebowałbym chroniny, żeby przychodzić na randki.

Nie wiedziałem, co mam na to odpowiedzieć. Więc nic nie powiedziałem. W końcu Keith, jakby zmęczony, przesunął się trochę do przodu i położył pod drzewem. Noc była bezchmurna. Przez gałęzie można było widzieć gwiazdy.

– Czasami, gdy jestem tutaj, zapominam – powiedział cicho, bardziej do siebie niż do mnie. – Niebo wciąż wygląda tak samo jak przed Wybuchem. A gwiazdy i tak o niczym nie wiedzą. Jeżeli nie patrzę na wschód, niemal mogę udawać, że nic się nie zdarzyło.

– Keith – potrząsnąłem głową – to tylko gra. To się zdarzyło. Nie możesz o tym zapomnieć. Wiesz, że nie możesz. I nie możesz wrócić. O tym także wiesz.

– Ty mnie nie słuchasz, Gary. Ja wracam. Naprawdę.

– Wracasz do świata snów, Keith. A ten świat jest już martwy. I nie możesz go wskrzesić. Prędzej czy później będziesz musiał zacząć żyć rzeczywistością.

Keith ciągle patrzył w niebo, ale uśmiechnął się lekko, gdy mówiłem.

– Nie, Gary. Ty nie rozumiesz. Przeszłość jest równie realna jak teraźniejszość. A jeśli teraźniejszość jest pusta i wyblakła, a przyszłość tym bardziej, to jedyną rozsądną rzeczą jest żyć w przeszłości.

Zacząłem coś mówić, ale udał, że nie słyszy.

– W mieście, gdy byłem dzieckiem, nigdy nie widziałem tylu gwiazd naraz – powiedział, jego głos był odległy. – Pamiętam, że gdy pojechałem pierwszy raz na wieś, byłem wręcz zaszokowany tymi dodatkowymi gwiazdami, które wetknięto w moje niebo. – Zaśmiał się miękko. – Wiesz kiedy to było? Sześć lat temu, zaraz po tym, jak skończyłem szkołę. Także ostatniej nocy. Wybierz sobie. Była ze mną Sandi, za każdym razem.

Umilkł. Patrzyłem na niego przez chwilę, potem wstałem i otrzepałem się. To nigdy nic nie dawało. Nie potrafiłem go przekonać. A najsmutniejsze w tym wszystkim było to, że nie potrafiłem przekonać nawet samego siebie. Może miał rację. Może, dla niego, to właśnie była odpowiedź.

– Byłeś kiedyś w górach? – spytał niespodziewanie. Spojrzał na mnie, ale nie czekał na odpowiedź. – Była taka noc, Gary – w Pensylwanii, w górach. Miałem taki stary, zdezelowany wóz kempingowy i jeździliśmy, włócząc go po całym kraju.

Wtedy, zupełnie znienacka, naszła na nas ta mgła. Gęsta, szara, kłębiąca się, jakby pełna tajemnic i duchów. Sandi uwielbiała tego typu rzeczy, i ja też je lubiłem, trochę. Ale jechać w mgle było pie-

kielnie ciężko. Więc skręciłem z drogi, wzięliśmy koce i odeszliśmy parę metrów dalej.

Ciągle było dość wcześnie. Więc po prostu leżeliśmy na kocach, przytuleni do siebie i rozmawialiśmy. O nas, o moich piosenkach, i o tej mgle, o naszej podróży i o jej aktorstwie, o wszystkim. Całowaliśmy się i śmialiśmy, ale nie pamiętam co w tej naszej rozmowie było takiego śmiesznego. W końcu, chyba po godzinie, nawzajem się rozebraliśmy i zaczęliśmy się kochać na ych kocach, powoli, bez pośpiechu, w środku gęstej, tłumiącej wszystko mgły.

Keith podniósł się na łokciu i popatrzył na mnie. W jego głosie ból, zagubienie, tęsknota. I samotność.

– Była piękna, Gary. Naprawdę była. Nigdy jednak nie lubiła, gdy jej to mówiłem. Myślę, że po prostu w to nie wierzyła. Wolała, żebym mówił, że jest ładna. Ale była bardziej niż ładna. Była piękna. Ciepła i łagodna, i złota, z rudoblond włosami i tymi upartymi zielonymi oczyma, które były albo zielone, albo szare, zależnie od jej nastroju. Tej nocy chyba były szare. Dopasowały się do mgły. – Uśmiechnął się, znów się położył i spojrzał w gwiazdy.

– Najśmieszniejsza była ta mgła – powiedział. Bardzo powoli. – Kiedy skończyliśmy się kochać i położyliśmy się obok siebie, mgły już nie było. I niebo było pełne gwiazd, jasnych jak dzisiaj. Gwiazdy wyszły przez nas. Głupie, zboczone gwiazdy wyszły, żeby podglądać jak to robimy. Powiedziałem jej o tym, i śmieliśmy się, i tuliłem ją, taką ciepłą, do siebie. A potem ona usnęła w moich ramionach, podczas gdy ja leżałem i patrzyłem w gwiazdy, i próbowałem napisać dla niej piosenkę.

– Keith… – zacząłem.

– Gary – powiedział – ja tam dzisiaj wracam. Do mgły i gwiazd i do mojej Sandi.

– Do diabła, Keith – powiedziałem. – Skończ z tym. Zaczynasz łapać nawyk.

Keith usiadł i zaczął podwijać rękaw.

– A przyszło ci kiedyś do głowy – powiedział – że być może to wcale nie narkotyk jest moim nałogiem?

I uśmiechnął się bardzo szeroko, jak dzieciak, pewny siebie, dokładnie wiedzący czego chce.

Potem sięgnął po swoje pudełko, swoją podróż w czasie.

– Zostaw mnie – powiedział.

To musiała być bardzo udana podróż. Następnego dnia Keith był chodzącą radością i uprzejmością, i jego nastrój udzielił się reszcie z nas. Trwało to przez cały tydzień. Praca wydawała się iść łatwiej i szybciej, a wieczorne sesje muzyczne były najbardziej żywiołowe ze wszystkich, które pamiętam. Było dużo śmiechu i być może więcej prawdziwej nadziei niż mieliśmy od długiego czasu.

Nie mogę jednak całej zasługi przypisywać w tym Keithowi. Winters wszedł już dość głęboko w etap dawania rad i w komunie zaczęło się coś dziać. Na przykład – on i Pete byli już dość zaawansowani w budowie drugiego budynku – chaty obok naszego wspólnego domu. Pete dogadał się z jedną z dziewczyn i myślę, że chciał mieć trochę odosobnienia. Winters jednak uważał tę budowę za pierwszy krok w stronę wioski, która mu się marzyła.

To nie był jego jedyny projekt. W swoim dżipie miał cały plik map i każdego wieczoru odciągał kogoś na stronę, pochylał się przy świeczce nad tymi mapami i zadawał mnóstwo najróżniejszych pytań. Chciał wiedzieć na jakich obszarach już szukaliśmy ewentualnych ocalałych, które miasta warto by splądrować w poszukiwaniu zapasów, na jakich terenach zwykle buszowały bandy szczurów, i inne tym podobne rzeczy. Po co? No cóż, powiedział, że myśli o odbyciu kilku „wypraw badawczych".

W komunie było kilkoro dzieci i Winters uważał, że powinniśmy zorganizować dla nich szkołę, która zastąpiłaby dotychczasową dorywczą edukację. Uważał również, że należałoby zbudować generator i znowu mieć elektryczność. Nasze możliwości medyczne były ograniczone jedynie do sporego zapasu lekarstw i środków opatrunkowych. Winters twierdził, że jeden z nas powinien na stałe porzucić pracę w polu i szkolić się na znachora. Tak, Winters miał całą kupę pomysłów, naprawdę. I sporo z nich naprawdę dobrych, mimo iż było jasne, że szczegóły będą wymagały dopracowania.

Winters stał się również stałym bywalcem wieczornych koncertów. Jeśli Keith był w dobrym humorze, nie było z tym żadnych poważniejszych problemów. Prawdę mówiąc, jego obecność ożywiła tylko nastrój.

Gdy Winters pojawił się następnego dnia, Keith spojrzał na niego bardzo znacząco i zmienił piosenkę na „Vietnam Rag", a reszta szybko się przyłączyła. Zaraz potem zaśpiewał „Universal Soldier". W przerwach między słowami posyłał Wintersowi szerokie, kpiące uśmiechy.

Winters jednak przyjął to całkiem dobrze. W pierwszej chwili wyglądał na dość zmieszanego, ale potem wczuł się w ducha zabawy i zaczął się uśmiechać. A kiedy Keith skończył, podniósł się.

– Jeśli tak twardo postanowiłeś przydzielić mi rolę miejscowego, swojskiego reakcjonisty, chyba będę musiał się dostosować – powiedział. – Daj mi tę gitarę.

Keith wyglądał na zaintrygowanego, ale dość chętnego. Podał instrument. Winters chwycił go, kilka razy niepewnie uderzył w struny i wystartował w pełną mocy wersję „Okie from Muskogee". Grał, jakby jego palce były zrobione z kamienia, a śpiewał jeszcze gorzej. Ale nie o to chodziło.

Keith zaczął się śmiać, zanim jeszcze Winters zagrał trzy akordy. Reszta z nas poszła jego śladem. Winters, wyglądając bardzo ponuro i zdecydowanie, orał przez całą piosenkę aż do niesławnego końca, nawet mimo to, że nie znał dokładnie słów i chwilami musiał je wymyślać. Potem wykonał hymn piechoty morskiej jako bis, ignorując wszelkie posykiwania i jęki.

Kiedy skończył, Keith zaczął głośno klaskać. Winters skłonił się, wyszczerzył zęby i przesadnym gestem oddał Keithowi gitarę.

Keith oczywiście nie dał za wygraną. Skinął Wintersowi, wziął gitarę i natychmiast zaśpiewał „Eve of Destruction".

Winters odpowiedział „Welfare Cadillac". A przynajmniej próbował. Okazało się, że prawie wcale nie zna słów, więc w końcu z niej zrezygnował i zadowolił się „Anchors Aweigh".

Ciągnęło się to całą noc, wzajemnie zadawali sobie ciosy i parowali piosenkami, a wszyscy pozostali siedzieli wokół, śmiejąc się do łez. Właściwie robiliśmy coś więcej niż tylko się śmialiśmy. W sumie musieliśmy pomagać Wintersowi w jego piosenkach, gdyż praktycznie żadnej z nich nie znał w całości. Keith oczywiście obywał się bez naszej pomocy.

Była to jedna z najbardziej pamiętnych wieczornych sesji. Jedynym co łączyło ją ze zwykłymi koncertami Keitha było to, że zaczęła się od „They Call the Wind Maria", a skończyła na „Me and Bobby McGee".

Jednak następnego dnia Keith był jakby zgaszony. Było jeszcze trochę przekomarzania się między nim a Wintersem, jednak większa część koncertu była już taka jak zwykle. Dzień później piosenki wybierał już tylko Keith, z wyjątkiem kilku, o które prosił Winters, zaśpiewanych słabo i bez przekonania.

Nie przypuszczam, żeby Winters zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Jednak ja wiedziałem, wiedziała również większość z pozostałych. Obserwowaliśmy to już wcześniej. Keith znowu wpadał w przygnębienie. Blask jego ostatniej podróży przygasał. Zaczynał czuć głód, samotność i niepokój. Znowu budziła się tęsknota za Sandi.

Czasami, gdy wpadał w taki nastrój, można było ten ból niemal w nim widzieć. A jeśli nie widzieć, to usłyszeć, gdy śpiewał. Głośny i wibrujący w każdej nucie.

Winters również słyszał. Musiałby być głuchy, żeby tego nie zauważyć. Nie sądzę jednak, żeby to rozumiał, a już wiem na pewno, że nie rozumiał samego Keitha. Słyszał udrękę i na tym kończyła się jego wiedza. Ale nawet to go niepokoiło.

A ponieważ był Wintersem, postanowił coś z tym zrobić. Poszedł do Keitha.

Byłem przy tej rozmowie. Było późne przedpołudnie, Keith i ja przyszliśmy z pola na krótką przerwę. Siedziałem na obrzeżu studni z kubkiem wody w dłoni, a Keith stał obok i mówił. Wyraźnie widziałem, że był już prawie gotów do następnej podróży. Bardzo przygnębiony, bardzo odległy i ledwo łapał to, co do niego mówiłem.

I w środku tego wszystkiego nadszedł Winters, energiczny, uśmiechnięty, w swej mundurowej kurtce. Nowy dom rósł szybko i był bardzo z tego zadowolony, i wraz z Szalonym Harrym skończyli właśnie opracowywanie trasy pierwszej ze swych „wypraw badawczych".

– Cześć ludzie – powiedział, doszedłszy do studni. Sięgnął po wodę, ja podałem mu kubek.

Piękna, a BESTIA

Boris Vallejo



Wypił potężny haust i oddał mi resztę. Potem spojrzał na Keitha.

– Podoba mi się jak śpiewasz – powiedział. – Myślę, że wszystkim się podoba. Jesteś bardzo dobry, naprawdę. – Uśmiechnął się. – Nawet jeśli jesteś anarchistycznym sukinsynem.

Keith skinął głową.

– Dziękuję. – Nie był w odpowiednim nastroju do przerzucania się słówkami.

– Tylko jedna rzecz trochę mnie niepokoi – powiedział Winters. – Pomyślałem sobie, że może mógłbym ją z tobą przedyskutować, może mógłbym coś poradzić. Dobrze?

Keith pogładził brodę i jakby trochę bardziej się skupił.

– Dobrze. Strzelaj, pułkowniku.

– Chodzi mi o twoje piosenki. Zauważyłem, że większość z nich jest dość... powiedzmy ponura. To oczywiście dobre utwory. Ale jakby trochę przygnębiające, jeśli wiesz co mam na myśli. Szczególnie z perspektywy Wybuchu. Za dużo śpiewasz o minionych dniach, o rzeczach, które straciliśmy. Nie sądzę, żeby to dobrze wpływało na morale. Musimy skończyć z tym ciągłym rozpamiętywaniem przeszłości, jeśli chcemy, żeby udała nam się odbudowa.

Keith popatrzył na niego ze zdumieniem i ciężko oparł się o studnię.

– Ty chyba żartujesz – powiedział.

– Nie. Naprawdę tak uważam. Kilka wesołych piosenek mogłoby sporo dla nas zrobić. Nasze życie ciągle może być dobre i wartościowe, jeżeli będziemy nad tym pracować. Powinieneś nam mówić o tym swoimi piosenkami. Skoncentrować się na rzeczach, które ciągle jeszcze mamy. Potrzebujemy nadziei i odwagi. Daj nam to.

Keith jednak tego nie kupił. Gładził brodę, uśmiechał się, w końcu powiedział:

– Nie, poruczniku, nie ma mowy. Ja nie funkcjonuję w ten sposób. Nie śpiewam propagandy, nawet jeśli jest pożyteczna. Śpiewam tylko to, co czuję. – W jego głosie była zaduma. – Wesołe piosenki, hmm... nie. Nie mogę. One nic nie znaczą, nie dla mnie w każdym razie. Chciałbym w nie wierzyć, ale widzisz, nie potrafię. I nie mogę zmusić innych ludzi, żeby uwierzyli. Nie zrobię tego. Życie teraz i tutaj, tak jak ja je widzę, jest dość puste i pozbawione treści. I mało możliwe, żeby się poprawiło. I... no cóż, dopóki będę je w ten sposób widział, mam zamiar śpiewać o nim tak, jak śpiewam. Rozumiesz?

Winters zmarszczył brwi.

– To wcale nie wygląda aż tak beznadziejnie – powiedział. – A nawet jeśli, nie możemy się do tego przyznać, albo jesteśmy naprawdę skończeni.

Keith spojrzał na Wintersa, na mnie, potem w dół, w studnię. Potrząsnął głową i wyprostował się.

– Nie – powiedział tylko, łagodnie, ze smutkiem. I zostawił nas przy tej studni, żeby w ciszy wędrować po polach.

Winters patrzył, jak odchodzi, potem odwrócił się do mnie. Znowu zaproponowałem mu wodę, ale potrząsnął głową.

– A ty jak myślisz, Gary? – spytał. – Miałem rację? Przekonałem go?

Zastanowiłem się nad tymi pytaniami. I nad człowiekiem, który je zadał. Winters wyglądał na bardzo zmartwionego i wydawał się być szczery. A jasna szczecina na jego brodzie świadczyła o tym, że robił co mógł, żeby się dopasować. Postanowiłem mu zaufać, odrobinę.

– Tak – powiedziałem – wiem, do czego zmierzałeś. Ale to nie takie łatwe. Piosenki Keitha, to nie tylko melodie i słowa. One mają dla niego inne, dodatkowe znaczenie.

Zawahałem się, potem ciągnąłem dalej.

– Widzisz, Wybuch to było piekło dla każdego, nie muszę ci zresztą tego mówić. Ale większość z nas tutaj sama wybrała takie życie. Dlatego, że chcieliśmy uciec od miast i tego, co one reprezentowały. Tęsknimy za przeszłością, jasne. Straciliśmy bliskich, znajomych, rzeczy, które ceniliśmy, i w ogóle dużo z tego, co uprzyjemniało życie. I niezbyt nam zależy na ciągłej walce o przetrwanie, czy na konieczności życia w strachu przed bandami szczurów. Jednak wiele z tego, co ceniliśmy, znajduje się tutaj w komunie. I po Wybuchu wcale tak bardzo się to nie zmieniło. Mamy ziemię, drzewa, i siebie nawzajem. I wolność, w pewnym sensie. Żadnego zatrucia, żadnej konkurencji, żadnej nienawiści. Lubimy wspominać przeszłość i to, co było w miastach dobrego – dlatego lubimy piosenki Keitha – ale teraz również mamy swoje radości.

Keith jednak jest inny. On nie wybrał tego życia, był tu tylko z wizytą. Wszystkie jego marzenia były związane z miastami, z poezją, z muzyką, z ludźmi i hałasem. I on stracił cały swój świat, zniknął sens wszystkiego, co robił i co chciał robić. A także... no cóż, była też dziewczyna. Sandra, ale on ją nazywał Sandi. Ona i Keith mieszkali razem przez dwa lata, podróżowali razem, wszystko robili razem. Rozstali się tylko na lato, żeby ona mogła wrócić na uczelnię. Potem znowu mieli się połączyć. Rozumiesz?

Winters rozumiał.

– A potem Wybuch?

– A potem Wybuch. Keith był tutaj, w samym środku niczego. Sandi była w Nowym Jorku. Więc ją również stracił. Czasami myślę, że gdyby teraz Sandi z nim była, to ze wszystkim innym jakoś by sobie poradził. Była najważniejszą częścią świata, który stracił, świata, który oboje dzielili. Gdyby tu była, znaleźliby nowy świat, który mogliby dzielić, znaleźliby nowe piękno i nowe piosenki. Ale jej nie ma i...

Wzruszyłem ramionami.

– Tak – powiedział Winters poważnie. – Ale to już cztery lata, Gary. Ja także dużo straciłem, łącznie z moją żoną. Ale pogodziłem się z tym. Prędzej czy później opłakiwanie musi się skończyć.

– Tak – powiedziałem. – Dla ciebie, albo dla mnie. Ja nie straciłem tak wiele, a ty... ty uważasz, że wszystko jeszcze będzie dobrze. Keith tak nie myśli. Być może dawniej wszystko układało mu się zbyt pomyślnie. Albo jest za romantyczny, żeby to wyszło mu na dobre. A może po prostu kochał mocniej, niż my. Wiem tylko, że jego wymarzone jutro wygląda jak jego przeszłość. Moje nie. Nigdy nie znalazłem niczego, z czym mógłbym być aż tak szczęśliwy. Keith znalazł, a przynajmniej myśli, że znalazł. Na jedno wychodzi. I on chce to odzyskać.

Wypiłem jeszcze trochę wody i wstałem.

– Muszę wracać do pracy – powiedziałem szybko, zanim Winters miał okazję pociągnąć tę rozmowę dalej. Jednak gdy wracałem na pole, myśli kłębiły mi w głowie.

Była oczywiście jedna rzecz, o której nie wspomniałem Wintersowi, bardzo ważna. Podróże w czasie. Może gdyby Keith był zmuszony zadowolić się takim życiem, jakie było mu dostępne, to by się z nim pogodził. Jak reszta z nas.

Keith jednak miał wybór. Keith mógł wracać. Wciąż miał swoją Sandi, więc nie musiał zaczynać niczego od nowa.

To chyba wiele wyjaśnia, pomyślałem. Może powinienem wspomnieć o tym Wintersowi. Może.

Tego wieczora Winters nie przyszedł na koncert. Wraz z Szalonym Harrym mieli wyjechać następnego ranka na zachód, na poszukiwania. Poszli załadować dżipa i dopracować swoje plany.

Keith nie tęsknił za żadnym z nich. Usiadł na swojej skale, ogrzanej teraz ogniem z płonącej sterty jesiennych liści i śpiewem zagłuszył ostry wiatr, który nagle zaczął wiać. Grał twardo i głośno, śpiewał bardzo smutnie. A gdy ogień wygasł i słuchacze rozeszli się, wziął gitarę i pudełko po cygarach i poszedł w stronę strumienia.

Poszedłem za nim. Tym razem noc była ciemna, niebo pełne chmur, a w powietrzu unosił się zapach deszczu. I wiał silny, zimny wiatr. Nie, nie wył jak umierający ludzie. Ale przeciskał się między drzewami, potrząsał gałęziami i zdmuchiwał ostatnie liście. I był w nim... niepokój.

George R. R. MARTIN

Amerykanin, rocznik 1948, znany jest naszym Czytelnikom z kilku pamiętnych nowel: „Pieśń dla Lyanny" (1/82), „Planeta Burz" (7/83), „Piaseczniki" (7/86). Wyróżniają się one wysokim poziomem literackim i specyficznym nastrojem wynikającym ze starannego zarysowania dziwnej i dalekiej scenerii. Zamieszczone tym razem opowiadanie przenosi nas w odległą postkatastroficzną przyszłość, w której nasz czas jest troskliwie pielęgnowanym wspomnieniem. Pesymizm to, czy optymizm? Sądzę, że takie wskazania na kruchość i unikatowość naszego świata, na czyhającą ze wszystkich stron masę znacznie gorszych światów alternatywnych, nakazują docenić to, czym mimo wszystko możemy się cieszyć. Bo może jednak żyjemy w najlepszym z możliwych światów? Pomódlmy się czasem za naszych braci z sąsiednich rzeczywistości.

L.J.

Jerzy Skarżyński

Kiedy doszedłem nad strumień, Keith podwijał już rękaw. Zatrzymałem go, zanim wyjął igłę.

– Hej, Keith – powiedziałem, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Spokojnie. Porozmawiajmy najpierw, dobrze?

Spojrzał na moją dłoń, na igłę i skinął z ociąganiem głową.

– Dobrze – powiedział. – Ale krótko. Spieszy mi się. Już od tygodnia nie widziałem Sandi.

Puściłem jego ramię i usiadłem.

– Wiem.

– Próbowałem wymyśleć sposób, żeby to przedłużyć, Gar. Zapas mam jeszcze jedynie na miesiąc, ale pomyślałem sobie, że wystarczy mi na dłużej, jeżeli będę podróżował tylko raz w tygodniu. – Uśmiechnął się. – To jednak trudne.

– Wiem – powtórzyłem – ale byłoby łatwiejsze, gdybyś tak dużo o niej nie myślał.

Skinął głową, odłożył pudełko i owinął się kurtką trochę szczelniej, chroniąc się przed wiatrem.

– Za dużo myślę – zgodził się. Potem, uśmiechając się, dodał: – Tacy ludzie są niebezpieczni.

– Taaak. Głównie dla siebie. – Spojrzałem na niego, zmarzniętego i skulonego w ciemnościach. – Keith, co zrobisz jak cały zapas ci się skończy?

– Żebym to ja wiedział.

– Ja wiem – powiedziałem. – Wtedy zapomnisz. Twoja maszyna czasu będzie rozwalona i będziesz musiał żyć teraźniejszością. Znaleźć kogoś innego i zacząć od początku. Tylko łatwiej by ci było, gdybyś to zrobił już dzisiaj. Odłóż chroninę na chwilę. Walcz z nią.

– Śpiewać wesołe piosenki? – spytał sarkastycznie.

– Może nie to. Nie proszę cię, żebyś całkiem wymazał przeszłość czy udawał, że nic nigdy się nie zdarzyło. Ale spróbuj znaleźć coś również w teraźniejszości. Wiesz, że ona nie może być tak pusta, jak to sobie wmawiasz. Nic nie jest czarno-białe w tak prosty sposób. Winters miał trochę racji – istnieją jeszcze dobre rzeczy. Zapominasz o tym.

– Naprawdę? O czym to ja zapominam?

Zawahałem się. Nie ułatwiał mi zadania.

– No cóż... ciągle jeszcze lubisz śpiewać. Wiesz o tym. A mógłbyś jeszcze coś znaleźć. Podobało ci się pisanie własnych kawałków. Dlaczego nie popracujesz nad jakimiś nowymi piosenkami? Od Wybuchu nie napisałeś nic godnego uwagi.

Keith podniósł garść liści i ofiarowywał je wiatrowi, jeden po drugim.

– Myślałem o tym. Nawet nie podejrzewasz jak często o tym myślałem, Gary. I próbowałem. Ale nic z tego nie wyszło. – Głos mu nagle zmiękł. – Kiedyś to wyglądało inaczej. Wiesz przecież dla-



Piękna a BESTIA

Chris Achilleos



czego. Sandi siedziała na widowni za każdym razem, gdy śpiewałem. A gdy wykonałem coś nowego, coś własnego, widziałem jak się rozjaśniała. Jeśli to było dobre, wiedziałem o tym po prostu ze sposobu, w jaki się uśmiechała. Była dumna ze mnie i moich piosenek.

Potrząsnął głową.

– Teraz jest inaczej, Gary. Piszę piosenkę i śpiewam ją, i... co z tego? Kogo to obchodzi? Ciebie? Tak, może ty i kilku innych podchodzicie potem do mnie i mówicie „Hej, Keith. To było dobre". Ale to nie to samo. Dla Sandi moje piosenki były w a ż n e, tak samo jak jej aktorstwo było ważne dla mnie. A teraz moje piosenki nie są ważne dla nikogo. Powtarzam sobie, że to się nie liczy. Mogę mieć z komponowania swoje własne radości, nawet nikt inny ich nie ma. Powtarzam to sobie wiele razy. Ale mówienie o tym nie znaczy, że tak jest.

Czasem sobie myślę, że właśnie wtedy powinienem powiedzieć Keithowi, że dla mnie jego piosenki były najważniejszą rzeczą na świecie. Ale, do diabła, nie były. A Keith był przyjacielem i nie powinienem karmić go kłamstwami, nawet jeśli ich potrzebował.

Poza tym nie uwierzyłby mi. Miał jakiś sposób na rozpoznawanie prawdy.

Więc zamiast tego brnąłem dalej.

– Keith, jeślibyś się postarał, mógłbyś jeszcze raz znaleźć kogoś takiego. W komunie są dziewczyny równie dobre jak Sandi, jeśli się przed nimi otworzysz. Mógłbyś znaleźć kogoś innego.

Keith spojrzał na mnie spokojnie, wzrokiem bardziej mrożącym niż wiatr.

– Gary, ja nie potrzebuję nikogo innego – powiedział. Podniósł pudełko po cygarach, otworzył je i pokazał mi igłę. – Mam Sandi.

W tym tygodniu Keith odbył jeszcze dwie podróże. I w obu przypadkach podążał na nie w gorączkowym pośpiechu. Zwykle odczekiwał godzinę czy coś koło tego po zakończeniu koncertu i dyskretnie wymykał się nad strumień. Ale teraz przynosił pudełko ze sobą i odchodził zanim jeszcze przebrzmiały ostatnie nuty „Me and Bobby McGee".

Nikt nic oczywiście nie powiedział. Wiedzieliśmy wszyscy, że podróżuje i wiedzieliśmy również, że kończy mu się chronina. Więc zrozumieliśmy i wybaczyliśmy mu. Wszyscy zrozumieliśmy, z wyjątkiem Pete'a, byłego kaprala Wintersa. On, podobnie jak Winters i Szalony Harry, nie został jeszcze wtajemniczony. Pewnego jednak wieczoru zauważyłem, że przygląda się z ciekawością pudełku po cygarach, leżącemu koło stopy Keitha. Powiedział coś do Jan, dziewczyny, z którą sypiał. A ona mu coś odpowiedziała. Domyśliłem się, że się dowiedział.

I miałem rację.

Winters i Szalony Harry wrócili tydzień po odjeździe, z dokładnością do jednego dnia. Nie byli sami. Przywieźli ze sobą trójkę nastolatków, chłopaka i dwie dziewczyny, których znaleźli na zachodzie, w towarzystwie bandy szczurów. „W towarzystwie" jest oczywiście eufemizmem. Dzieciaki były niewolnikami. Winters i Szalony Harry uwolnili je.

Nie pytałem, co się stało ze szczurami. Mogłem się domyślić.

Tego wieczoru i następnego było dużo szumu i podniecenia. Dzieciaki trochę się nas bały i sporo wysiłku musieliśmy włożyć w przekonanie ich, że tutaj rzeczy będą się miały inaczej niż u szczurów. Winters zdecydował, że powinny mieć swój dom i wraz z Pete'em zaraz przystąpili do jego planowania. Pierwszy dom był już niemal skończony.

Jak się wkrótce okazało, Winters i Petę rozmawiali nie tylko o budowie domu. Powinienem się był tego domyślić, gdyż przynajmniej dwokrotnie zauważyłem, jak Winters przypatruje się Keithowi z intensywną uwagą i ciekawością.

Ale się nie domyśliłem. Jak wszyscy pozostali byłem zajęty poznawaniem nowo przybyłych i pracą nad tym, żeby się wyzbyli strachu. A to wcale nie było łatwe.

Nie wiedziałem więc, co się dzieje aż do czwartego wieczoru po powrocie Wintersa. Byłem na zewnątrz, słuchając śpiewu Keitha. Ledwo skończył „They Called the Wind Maria" i właśnie miał zamiar zacząć drugą piosenkę, gdy do wnętrza kręgu weszła grupa ludzi. Prowadził ich Winters, tuż za nim szedł Szalony Harry z trójką tych nowych dzieciaków. Był tam również Pete, otaczając ramieniem Jan. A także kilkoro innych, którzy nie byli na początku koncertu, ale wyszli z domu za Wintersem.

Keith myślał, że przyszli słuchać, jak sądzę. Zaczął grać. Ale Winters mu przeszkodził.

– Nie, Keith – powiedział. – Nie w tej chwili. Mamy pewną sprawę, o której musimy porozmawiać i to wtedy, gdy wszyscy są razem. I chcemy, żeby ta rozmowa odbyła się dzisiaj.

Palce Keitha zatrzymały się, muzyka umilkła. Jedynymi dźwiękami były szum wiatru i trzaski płonących w pobliżu liści. Każdy patrzył na Wintersa.

– Chcę porozmawiać o podróżach w czasie – powiedział Winters.

Keith odłożył gitarę i spojrzał na pudełko po cygarach, leżące u podnóża skały.

– Rozmawiaj – powiedział.

Winters rozejrzał się po okręgu, przyglądając się beznamiętnym twarzom, jakby oceniając je przed powiedzeniem tego, co chciał powiedzieć. Ja także się rozejrzałem.

– Powiedziano mi, że komuna posiada zapas chroniny – zaczął. – I że ty jej używasz do podróżowania w czasie. Czy to prawda, Keith?

Keith pogładził brodę, jak zawsze gdy był podenerwowany lub zamyślony.

– Tak – powiedział.

– I to jest j e d y n e zastosowanie, jakie ta chronina kiedykolwiek miała? – spytał Winters. Jego poplecznicy zgromadzili się za nim, tworząc coś, co przypominało falangę.

Wstałem. Nie czułem się dobrze, mówiąc z ziemi.

– Keith był pierwszym, który znalazł chroninę – powiedziałem. – Przeszukiwaliśmy szpital miejski, jak armia już dała sobie z nim spokój. Zostało tam tylko kilka opakowań z lekarstwami. Większość z nich leży wśród zapasów komuny, na wypadek gdybyśmy ich potrzebowali. A chroninę chciał Keith. Daliśmy mu ją. Nikomu na niej nie zależało.

Winters kiwnął głową.

– Rozumiem to – powiedział pojednawczym tonem. – Nie krytykuję tej decyzji. Być może jednak nie zdawaliście sobie sprawy, że chronina ma również inne zastosowania.

Umilkł na chwilę.

– Posłuchajcie i spróbujcie sprawiedliwie mnie ocenić, tylko o to proszę. – Spojrzał kolejno na każdego z nas. – Chronina jest potężnym narkotykiem, dla nas wszystkich, bo my teraz potrzebujemy wszystkich naszych zasobów. Podróżowanie w czasie – przez kogokolwiek – jest n a d u ż y w a n i e m tego narkotyku. Nie po to on został wynaleziony.

To był błąd ze strony Wintersa. Wykłady na temat nadużywania narkotyków nie miały wielkich szans na zrobienie kariery w komunie. Czułem, jak w ludziach wokół mnie rośnie napięcie.

Rick, wysoki, chudy facet z kozią bródką, który przychodził na koncerty każdego wieczoru, nie podnosząc się z ziemi wyciągnął palec ku Wintersowi.

– Zwykłe pieprzenie – powiedział. – Chronina to podróże w czasie, pułkowniku. Wymyślono ją, żeby podróżować.

– Słusznie – dodał ktoś inny. – A myśmy ją dali Keithowi. Ja nie chcę podróżować, a on chce. I co w tym złego?

Winters szybko rozładował wrogi nastrój.

– Nic – powiedział. – Jeżeli mielibyśmy nieograniczony zapas chroniny. A nie mamy. Prawda, Keith?

– Nie – odpowiedział Keith spokojnie. – Zostało już tylko trochę.

Gdy Winters patrzył na Keitha, w jego oczach odbijał się ogień. Utrudniało to odczytanie ich wyrazu. Jednak jego głos brzmiał twardo.

– Keith, wiem co dla ciebie znaczą te podróże. I nie chcę cię skrzywdzić, naprawdę nie chcę. Ale my potrzebujemy tej chroniny, wszyscy.

– Po co? – To ja. Chciałem, żeby Keith oddał chroninę, ale wolałbym być przeklęty niż pozwolić, żeby mu ją zabrano. – Po co ona jest nam tak potrzebna?

– Chronina nie jest maszyną czasu – powiedział Winters. – To narkotyk, oddziałujący na pamięć. A są rzeczy, które m u s i m y pamiętać. – Rozejrzał się wokół. – Czy jest tu ktoś, kto kiedykolwiek pracował w szpitalu? Sanitariusz? Noszowy? Nieważne. Mogą być, w tak dużej grupie. I oni widzieli różne rzeczy. Gdzieś w zapadłym kącie ich czaszek siedzi wiedza, której my potrzebujemy. Założę się, że niektórzy z was pracowali dorywczo w średniej

żytecznych rzeczy. Ale ile z nich pamiętacie? Z pomocą chroniny możecie sobie wszystko przypomnieć. Możemy tu mieć kogoś, kto kiedyś nauczył się robić strzały. Możemy mieć garbarza. Możemy mieć kogoś, kto wie jak zbudować generator. Możemy mieć *lekarza*!

Winters zamilkł i pozwolił, żeby sens tych słów dotarł do wszystkich. Ludzie poruszali się niespokojnie i zaczęli szemrać. W końcu Winters znowu zaczął mówić.

– Gdybyśmy znaleźli bibliotekę, nie palilibyśmy książek, żeby się ogrzać, bez względu na to jak by było zimno. Ale przecież to robimy, pozwalając Keithowi podróżować. My jesteśmy biblioteką – każdy z nas tutaj ma w głowie książki. A przeczytać je można tylko przy pomocy chroniny. Powinniśmy jej używać, żeby przypomnieć sobie rzeczy, które teraz musimy wiedzieć. Powinniśmy strzec jej jak skarbu, starannie planować każdą sesję przypomnieniową i być pewnym – *absolutnie* pewnym – że nie marnujemy ani grama.

Skończył. Zapadła długa, długa cisza – dla Keitha ciągnąca się w nieskończoność. W końcu znowu odezwał się Rick.

– Nigdy o tym nie myślałem – powiedział z ociąganiem. – Może faktycznie coś w sobie mamy. Mój ojciec był lekarzem, jeśli to cokolwiek znaczy.

Potem inny głos, i następny, potem tłum ludzi, mówiących naraz, wyrzucających z siebie na wpół zapomniane doświadczenia, które mogły być cenne, mogły się przydać. Winters strzelił gola.

Nie uśmiechał się jednak. Patrzył na mnie. Nie chciałem spotkać jego wzroku. Nie mogłem. Miał rację – okropną, straszną rację. Nie przychodziło mi jednak do głowy nic, co mógłbym powiedzieć.

W końcu oczy Wintersa poruszyły się. Spojrzał na skałę. Keith siedział tam, patrząc na pudełko po cygarach.

Hałas trwał przynajmniej pięć minut, ale w końcu siłą rzeczy wypalił się. Mówiący, jeden po drugim spoglądali na Keitha, przypominali sobie i zapadali w pełną zakłopotania ciszę. Gdy było już zupełnie cicho, Keith wstał i rozejrzał się wokół jak człowiek obudzony z koszmarnego snu.

– Nie – powiedział. W jego głosie brzmiała niewiara i uraza, oczy wędrowały od jednej osoby do drugiej. – Nie możecie. Ja nie... nie marnuję chroniny. Wiecie to, wszyscy z was. Odwiedzam Sandi, a to nie jest marnowanie. Potrzebuję Sandi, a jej już nie ma. Muszę do niej wracać. I to jest jedyny sposób, moja maszyna czasu. – Potrząsnął głową.

Moja kolej.

– To prawda – powiedziałem tak mocno, jak potrafiłem – Keith ma rację. Marnowanie to kwestia punktu widzenia. Jeśli o mnie chodzi, to największym marnowaniem będzie wysyłanie ludzi, żeby przesypiali po raz drugi wykłady na uczelni.

Śmiech. Potem poparły mnie inne głosy.

– Jestem z Garym – ktoś powiedział. – Keith potrzebuje Sandi, a my potrzebujemy Keitha. To proste. Twierdzę, że ma zatrzymać chroninę.

– Nie ma mowy – sprzeciwił się ktoś inny. – Mam tyle samo współczucia, co każdy, ale do diabła – ilu naszych ludzi umarło w ciągu tych kilku lat, gdyż spartaczyliśmy ich leczenie? Pamiętacie Douga, dwa lata temu? Nie potrzeba chroniny, żeby to pamiętać. Atak wyrostka i chłopak umiera. Zaszlachtowaliśmy go, próbując ten wyrostek wyciąć. Jeżeli jest jakaś szansa, żeby temu w przyszłości zapobiec – nawet bardzo niewielka – twierdzę, że musimy z niej skorzystać.

– Nie ma żadnej gwarancji, że i tak to się nie zdarzy – powrócił wcześniejszy głos. – Musisz trafić na właściwe wspomnienia, jeśli chcesz coś osiągnąć, a nawet one mogą nie być tak przydatne, jak byś sobie życzył.

– Gówno. Musimy chociaż próbować...

– Myślę, że jesteśmy Keithowi coś dłużni...

– Myślę, że Keith nam jest coś dłużny...

I nagle wszyscy znowu dyskutowali, przekrzykując się wzajemnie, a Winters, Keith i ja staliśmy i słuchaliśmy. Ciągnęło się to bez końca, obracało wokół tych samych argumentów. Aż przemówił Pete. Wyszedł zza Wintersa, obejmując Jan.

– Dość już się nasłuchałem – powiedział. – Nie myślę, żeby było się o co kłócić. Jan mi mówi, że będzie miała mojego dzieciaka. I ja nie podejmę żadnego pieprzonego ryzyka, że ona czy dziecko umrą. Jeśli możemy nauczyć się jak robić, żeby rodzenie było bardziej bezpieczne, to spróbujmy. A szczególnie nie mam zamiaru podejmować ryzyka dla pieprzonego mięczaka, który nie potrafi pogodzić się z tym co jest. Do diabła, Keith nie był jedynym, którego to trzasnęło, więc dlaczego właśnie on ma się liczyć? Ja też straciłem w Wybuchu kociaka, ale nie błagam o chroninę, żeby ją sobie znowu wyśnić. Zamiast tego mam nowego. Łlepiej ty też tak zrób, Keith.

Keith stał bardzo spokojnie, ale ze ściśniętymi mocno pięściami.

– Są pewne różnice, Pete – powiedział powoli. – Bardzo duże. Moja Sandi nie była kociakiem, to po pierwsze. I kochałem ją, być może bardziej niż jesteś w ogóle w stanie pojąć. Wiem, że nie masz zrozumienia dla bólu, Pete. Uodporniłeś się nań, jak wielu innych ludzi, udając, że on nie istnieje. No więc przekonałeś wszystkich, że jesteś twardym facetem, prawdziwym mężczyzną, naprawdę niezależnym. I przy okazji straciłeś część swego człowieczeństwa. – Uśmiechnął się, całkowicie już nad sobą panując, jego głos brzmiał pewnie i spokojnie. – Ale ja nie zagram w tę grę. Będę trwał przy moim człowieczeństwie i walczył o nie, jeśli będę musiał. Kiedyś kochałem, naprawdę kochałem. A teraz cierpię. Nie zaprzeczam żadnej z tych rzeczy ani nie udaję, że znaczą dla mnie mniej niż jest naprawdę.

Spojrzał na Wintersa.

– Poruczniku, chcę mojej Sandi i nie pozwolę panu mi jej zabrać. Niech rozstrzygnie głosowanie.

Winters skinął głową.

Było blisko, bardzo blisko. Różnica wynosiła tylko trzy głosy. Keith miał wielu przyjaciół.

Ale Winters wygrał.

Keith przyjął to spokojnie. Podniósł pudełko, podszedł i wręczył je Wintersowi. Pete uśmiechnął się radośnie, ale usta Wintersa nawet nie drgnęły.

– Przykro mi, Keith – powiedział.

– Jasne – powiedział Keith. – Mnie również.

Na jego twarzy były łzy. Keith nigdy nie wstydził się płakać.

Tego wieczoru nie było śpiewania.

Winters nie podróżował. Wysyłał innych na „ekspedycje badawcze" w przeszłość, wszystkie starannie zaplanowane pod kątem minimalnego ryzyka i maksymalnego zysku.

Nie zyskaliśm[illegible]ki temu lekarza. Rick wykonał trzy podróże nie przynosząc z nich żadnych przydatnych wspomnień. Ale jeden z chłopaków po wizycie w biolaboratorium przypomniał sobie trochę pożytecznych rzeczy o ziołach leczniczych, a inna podróż dała marginalnie wartościowe informacje o elektryczności.

Winters jednak nie tracił optymizmu. Zaczął przeprowadzać wywiady, żeby zdecydować, kto następny powinien użyć chroniny. Był bardzo dokładny, bardzo dociekliwy i zawsze zadawał właściwe pytania. Nikt nie wracał w przeszłość bez jego aprobaty. Do czasu, aż ktoś ją uzyskał chronina leżała w nowym domu, gdzie Pete miał na nią oko.

A Keith? Keith śpiewał. Tego wieczoru, gdy się kłóciliśmy, obawiałem się, że może z tym skończyć, ale się myliłem. Nie mógł się rozstać ze śpiewaniem, nie łatwiej niż mógł rozstać się z Sandi. Wrócił na skałę koncertową już następnego wieczoru i śpiewał dłużej i z większą pasją niż kiedykolwiek przedtem. A dzień później był jeszcze lepszy.

W czasie dnia wykonywał swoją pracę z wymuszoną wesołością. Dużo się uśmiechał, dużo mówił, ale nigdy zbyt wiele nie *powiedział*. I nigdy nie wspomniał o chroninie ani o podróżach, ani o kłótni.

Ani o Sandi.

Ciągle jednak spędzał noce nad strumieniem. Robiło się coraz zimniej, jemu to jednak jakby nie przeszkadzało. Wziął po prostu kilka koców i swój śpiwór i ignorował wiatr, zimno i coraz częstsze deszcze.

Poszedłem z nim parę razy, żeby posiedzieć i porozmawiać. Keith był w miarę serdeczny. Nigdy jednak nie poruszył tematów, które były naprawdę ważne, a ja nie mogłem się zmusić, żeby sprowadzać rozmowę na obszary, na które on najwyraźniej nie chciał się zapuszczać.

Zamiast swego pudełka po cygarach przynosił teraz nad strumień gitarę. Nigdy nie grał, gdy tam byłem, ale słyszałem go z pewnej odległości, wracając do domu po którejś z naszych bezowoc-

nych rozmów. Żadnego śpiewu, tylko muzyka. Dwie melodie powtarzane w kółko. Wiecie które.

A po pewnym czasie tylko jedna. „Me and Bobbie McGee". Noc po nocy, samotny i opętany, Keith grał tę melodię, siedząc nad wyschniętym strumieniem w lesie odartym z liści. Zawsze ją lubiłem, ale teraz zaczynałem się jej bać i ciarki mnie przechodziły, ilekroć słyszałem te nuty wypuszczane na mroźny, jesienny wiatr.

W końcu pewnej nocy powiedziałem mu o tym. To była krótka rozmowa, ale myślę, że tylko wtedy, w całym tym okresie po kłótni, Keith i ja naprawdę się porozumieliśmy.

Przyszedłem z nim nad strumień i otuliłem się ciężkim, wełnianym kocem, chroniąc się przed zimną, wilgotną mżawką, spadającą z nieba. Keith leżał pod drzewem, do połowy zanurzony w śpiwór, z gitarą na brzuchu. Nie zatroszczył się nawet o to, żeby ją osłonić przed wilgocią, co mnie trochę niepokoiło.

Rozmawialiśmy o niczym, aż w końcu wspomniałem jego samotne koncerty nad strumieniem. Uśmiechnął się.

– Wiesz dlaczego gram tę piosenkę – powiedział.

– Tak – odpowiedziałem. – Ale chciałbym, żebyś przestał.

Odwrócił głowę.

– Przestanę. Pojutrze. Ale dzisiaj ją zagram, Gary. I nie spieraj się ze mną, proszę. Po prostu słuchaj. Ta piosenka jest wszystkim, co mi zostało, wszystkim, co pomaga mi myśleć. I potrzebowałem jej, gdyż dużo rozmyślałem.

– Ostrzegałem cię przed myśleniem – powiedziałem, próbując żartować.

On jednak się nie zaśmiał.

– Tak. Miałeś zresztą rację. Albo ja miałem, albo Szekspir... komukolwiek chcesz przypisać to ostrzeżenie. Czasami jednak nie mogę się powstrzymać od myślenia. To część tego, że jest się człowiekiem. Prawda?

– Chyba tak.

– Na pewno. Więc ja myślę z moją muzyką. Nie ma wody, nad którą można by rozmyślać, i wszystkie gwiazdy są zakryte. I Sandi odeszła. Teraz już naprawdę. Wiesz, Gary... gdybym się starał, każdego dnia, i nie myślał o niej tyle, mógłbym chyba ją zapomnieć. Mógłbym nawet zapomnieć jak wygląda. Sądzisz, że Pete pamięta swego kociaka?

– Tak – powiedziałem. – I ty pamiętałbyś Sandi. Jestem tego pewien. Tylko może nie do tego stopnia... i chyba tak by było najlepiej. Czasami dobrze jest zapomnieć.

Spojrzał na mnie. Prosto w oczy.

– Ale ja n i e c h c ę zapominać, Gary. I nie zapomnę. Nigdy.

Potem zaczął grać. Tę samą piosenkę. Raz. Drugi. Trzeci. Próbowałem mówić, ale nie słuchał. Jego palce poruszały się, gwałtownie, niezmordowanie. Muzyka i wiatr zmywały moje słowa.

W końcu dałem spokój i odszedłem. Do domu była długa droga i gitara Keitha szła za mną poprzez mżawkę.

Obudził mnie Winters, wytrząsając z mego łóżka we wspólnym domu i stawiając przed ponurym, szarym obliczem poranka. Jego twarz była jeszcze bardziej szara. Nic nie mówił; jak sądzę nie chciał obudzić innych. Skinął mi po prostu ręką, żebym wyszedł na zewnątrz.

Ziewnąłem, przeciągnąłem się i poszedłem za nim. Tuż za drzwiami Winters schylił się, podniósł i podał mi złamaną gitarę.

Przyjrzałem się jej pustym wzrokiem, potem znów spojrzałem na Wintersa. Na mojej twarzy musiało być wypisane pytanie.

– Złamał ją na głowie Pete'a – powiedział. – I zabrał chroninę. Pete ma chyba lekki wstrząs mózgu, ale prawdopodobnie wszystko będzie dobrze. Miał szczęście. Niewiele brakowało, a byłby teraz martwy.

Trzymałem gitarę przed sobą. Była zdruzgotana, drewno połamało się i porozszczepiało, struny popękały. To musiało być piekielne uderzenie. Nie mogłem w to uwierzyć.

– Nie – powiedziałem. – Keith... nie, on by tak nie potrafił...

– To jego gitara – stwierdził Winters. – I kto poza nim zabrałby chroninę? – Jego twarz złagodniała. – Przykro mi, Gary. Naprawdę przykro. Wydaje mi się, że rozumiem dlaczego to zrobił. Jednak chcę go złapać. Domyślasz się, gdzie on może być?

Oczywiście wiedziałem. Ale byłem naprawdę przestraszony.

– Co... co masz zamiar zrobić?

– Żadnej kary – powiedział. – Nie martw się. Chcę po prostu odzyskać chroninę. Następnym razem będziemy ostrożniejsi.

Skinąłem głową.

– Dobrze. Ale Keithowi nic się nie stanie. Jeśli złamiesz słowo, będzie walka. Ze mną i z innymi również.

Spojrzał tylko na mnie, ze smutkiem, jakby był zawiedziony, że mu nie ufałem. Nic nie powiedział. Milę, dzielącą nas od strumienia przeszliśmy w milczeniu, ja ciągle z gitarą w rękach.

Keith oczywiście tam był. Owinięty w śpiwór, z pudełkiem po cygarach przy boku. Zostało w nim kilka torebek proszku. Zużył tylko jedną.

Pochyliłem się, żeby go obudzić. Jednak gdy go dotknąłem i przewróciłem na plecy, uderzyły mnie dwie rzeczy. Zgolił brodę. I był zimny, bardzo zimny.

Wtedy zauważyłem pustą fiolkę.

Wraz z chroniną znaleźliśmy również inne narkotyki i lekarstwa. W komunie każdy mógł je wziąć, nie były pilnowane. Keith wziął pigułki nasenne.

Wyprostowałem się, nie mówiąc ani słowa. Nie musiałem niczego wyjaśniać. Winters bardzo szybko zrozumiał. Obejrzał ciało i potrząsnął głową.

– Ciekawe, dlaczego się ogolił? – powiedział w końcu.

– Ja wiem – powiedziałem. – Kiedyś, wtedy gdy był z Sandi nie nosił brody.

– Tak. No cóż, wszystko pasuje.

– Co?

– Samobójstwo. Zawsze wydawał się niezrównoważony.

– Nie, poruczniku – powiedziałem. – Źle pan to zrozumiał. Keith nie popełnił samobójstwa.

Winters zmarszczył brwi. Uśmiechnąłem się.

– Jeżeli pan by to zrobił, to byłoby samobójstwo. Pan uważa chroninę tylko za wywołujący wizje narkotyk. Keith jednak uważał ją za maszynę czasu. On się nie zabił. To nie było w jego stylu. Po prostu wrócił do Sandi. I tym razem upewnił się, że z nią zostanie.

Winters znowu popatrzył na ciało.

– Tak – powiedział. – Być może. – Milczał przez chwilę. – Mam nadzieję, że się pan nie myli, przez wzgląd na niego.

Lata, które upłynęły od tamtych wydarzeń były dobrymi latami, jak sądzę. Winters jest lepszym przywódcą, niż byłem ja. Podróże w czasie nigdy nie przyniosły wiedzy, która była warta złamany grosz, ale ekspedycje badawcze w teraźniejszości okazały się owocne. W osadzie jest teraz ponad dwustu ludzi, większość z nich sprowadził Winters.

I jest to teraz prawdziwa osada, prawie miasto. Mamy elektryczność i bibliotekę, i dużo pożywienia. I lekarza – prawdziwego lekarza, którego Winters znalazł sto mil stąd. Powodziło nam się tak dobrze, że usłyszeli o tym Synowie Wybuchu. Wrócili, żeby się trochę zabawić. Winters i jego milicja dali im łupnia, a potem polowali na tych, którzy usiłowali uciec.

Nikt, poza członkami starej komuny, nie pamięta już Keitha. Wciąż jednak mamy muzykę i śpiew. W czasie jednej z ekspedycji Winters znalazł chłopaka o imieniu Ronnie, który miał własną gitarę. Nie jest oczywiście tak dobry jak Keith, ale bardzo się stara i wszyscy dobrze się bawią. Nauczył też gry na gitarze kilkoro dzieci.

Jedna tylko rzecz – Ronnie lubi pisać własne kawałki, więc nie słyszymy już właściwie starych piosenek. Zamiast nich mamy muzykę powojenną. Teraz na przykład najpopularniejsza jest długa ballada, opowiadająca o tym, jak nasza armia zmiotła Synów Wybuchu.

Winters twierdzi, że to zdrowy objaw, mówi o nowej muzyce dla nowej cywilizacji. Może ma trochę racji. Jestem pewien, że w miejsce tej, która umarła, z czasem powstanie nowa kultura. Ronnie, tak jak Winters, ofiarowuje nam przyszłość.

Jednak ma ona swoją cenę.

Pewnego wieczora poprosiłem Ronniego, żeby zaśpiewał „Me and Bobby McGee". Nikt nie pamiętał słów.

Przełożył Darosław J. Toruń

Jak jeden mąż

(Let's Be Frank)

Brian W. Aldiss

Cztery lata po tym jak Anna Boleyn została ścięta w londyńskim Tower, w rodzinie Gladwebb przyszło na świat dziecko – niezwykłe dziecko.

Tego ranka cztery osoby czekały w zimnym przedsionku sypialni milady, gdzie odbywał się poród – matka milady, ciotka , szwagierka i paź. Mąż milady, młody Sir Frank Gladwebb, był nieobecny – przebywał na polowaniu. W końcu nadszedł długo oczekiwany moment, gdy położna pośpieszyła ogłosić oczekującej pod drzwiami czwórce, że Wszechmogący (który ostatnio przeszedł na protestantyzm) uznał za stosowne pobłogosławić milady synem.

– Czemuż zatem nie słyszymy płaczu tego dziecięcia, kobieto? – oburzyła się matka milady, Cynthia Chinfont St. Giles i stanowczym krokiem weszła do komnaty córki. Tam też powody, dla których dziecko nie płakało, stały się zrozumiałe: dziecko spało.

Pozostało w tym „śnie" przez 19 lat.

Cierpliwość nie była dominującą cechą charakteru młodego Sir Franka. W tym tak ambitnym okresie historycznym Sir Frank cierpiał właśnie z powodu ambicji i wszystko, co stało między nim a karierą było natychmiast usuwane z drogi. Przerwanie polowanie tylko po to, by zobaczyć pierworodnego w stanie śpiączki bynajmniej nie ucieszyło Sir Franka. Sytuacja została jednak załagodzona narodzinami drugiego syna w rok później i trojga następnych dzieci w ciągu czterech kolejnych lat. Całe to potomstwo prezentowało się jak najbardziej normalnie, a jeden z chłopców przyjął później święcenia kapłańskie i został w ostateczności opatem St. Duckwirt, gdzie symonia uzupełniała i tak już obfite dochody.

Śpiące dziecko spało i rosło. Poruszało się we śnie, czasami ziewało i nie gardziło butelką mleka. Sir Frank trzymał je w pokoju gdzieś na tyłach rezydencji i wyznaczył do opieki nad swoją latoroślą służącą o imieniu Nan i wyglądzie wiedźmy. W chwilach ślepego gniewu, lub też gdy był pijany, Sir Frank zarzekał się, że przeszyje dziecko mieczem, lecz były to czcze słowa, o czym przekonali się wkrótce jego bliscy. Między Sir Frankiem a śpiącym dzieckiem istniała dziwna więź. Chociaż więc widywał je rzadko, nigdy o nim nie zapominał.

W dniu trzecich urodzin dziecka Sir Frank poszedł je zobaczyć. Leżało na środku łoża z baldachimem, a na jego twarzyczce malował się spokój. Kierowany przypływem tkliwości Sir Frank wziął je na ręce i pokołysał, słabe i bezbronne, w ramionach.

– To śliczny chłopaczek, panie – rzekła Nan. W tym momencie dziecko otworzyło oczy i wlepiło je w twarz ojca. Z okrzykiem przerażenia Sir Frank przechylił się do tyłu, niby odrzucony, przygnieciony rozmiarem tego niezwykłego wydarzenia. Runął na łóżko, trzymając dziecko tak, by nie zrobić mu krzywdy. Kiedy odurzenie minęło, spojrzał na syna i zobaczył, że jego oczy są już zamknięte. I takimi pozostały przez dość długi czas.

Mijały kolejne wiosny i zimy panowania dynastii Tudorów. Śpiące dziecko nie widziało ani jednej z nich. Wyrosło w tym czasie na przystojnego młodzieńca, który otrzymał teraz służącego. Jednak jego oczy nie otwierały się nigdy, może z wyjątkiem rzadkiej okazji, gdy jego ojciec – zajęty teraz na dworze królewskim – przychodził w odwiedziny. Z powodu słabości, jakie nawiedzały Sir Franka w tym okresie, ograniczał on te wizyty do minimum.

Zmarł dobry król Henryk, sukcesja przeszła w ręce kobiet i dzieci, Sir Frank wstąpił w służbę Roberta Devereux, hra-

biego Essex, a w roku koronacji Elżbiety śpiące dziecko obudziło się.

Sir Frank, czterdziestojednoletni teraz mężczyzna, cieszący się ogólnym poważaniem, przybył, żeby zobaczyć pierworodnego po raz pierwszy od trzydziestu miesięcy. Na łożu z baldachimem leżał młodzieniec lat dziewiętnastu, na którego policzkach sypał się pierwszy zarost będący zapowiedzią brody równie eleganckiej jak u jego ojca. Służącego nie było w komnacie.

Czując dziwne zaniepokojenie, tak jakby coś nieokreślonego czaiło się tuż pod powierzchnią jego świadomości, Sir Frank podszedł do łóżka i położył ręce na ramionach chłopca. Wydawało mu się, że stoi na skraju przepaści.

– Frank – wyszeptał, bo śpiące dziecko nosiło jego imię. – Frank, dlaczego się nie budzisz?

W odpowiedzi na te słowa oczy młodzieńca otworzyły się. Charakterystyczne dla nich nieprzytomne spojrzenie zniknęło jak płomień zdmuchniętej świecy. Sir Frank uświadomił sobie, że patrzy w swoje własne oczy.

Uświadomił sobie coś więcej.

Odkrył nagle, że jest dziewiętnastoletnim młodzieńcem, którego jestestwo pozostawało dotychczas w zamknięciu. Odkrył, że może usiąść, przeciągnąć się, przejechać ręką po włosach i krzyknąć: „Na Boga!". Odkrył, że może wstać, popatrzeć na kipiący zielenią świat za oknem, a potem odwrócić się i spojrzeć na samego siebie.

A w tym samym czasie „on sam" oglądał całe to przedstawienie swoimi własnymi oczyma. Drżąc, ojciec i syn usiedli razem na łożu.

– Co to za czary? – wykrztusił Sir Frank.

To nie były czary, a przynajmniej nie w tym sensie, w jakim rozumiał je dziedzic Gladwebb. Po prostu zdobył on jeszcze jedno ciało dla własnego ego. Nie był to taki przypadek, w którym dusza wybiera sobie od czasu do czasu inne ciało. Sir Frank był w obydwu ciałach jednocześnie. Bo kiedy syn odzyskał w końcu świadomość, była ona świadomością jego ojca.

Tegoż dnia i przez kilka następnych, podczas gdy całe domostwo radowało się przebudzeniem młodego panicza, Sir Frank przeprowadzał ostrożne eksperymenty ze swoim nowym ciałem i odkrył, że potrafi on robić wszystko to, co on sam potrafił: potrafiło jeździć konno, uprawiać szermierkę i uprawiać miłość z dziewką kuchenną; zaiste, potrafiło robić te rzeczy lepiej niż stare ciało, które w miarę upływu lat zaczynało już trochę tracić swoją dawną giętkość. Jego doświadczenie i wiedza służyły teraz w równym stopniu drugiemu ciału. Sir Frank był właściwie dwiema osobami równocześnie.

Późniejsze pokolenia byłyby zapewne w stanie wytłumaczyć ten fakt Sir Frankowi, chociaż wyjaśnienie to operowałoby terminami, których nasz bohater mógłby nie zrozumieć. Mimo że wiedział on wystarczająco dużo o teorii dziedzicznych cech i podobieństwa w rodzinie, nikt nie potrafiłby sprawić, by zrozumiał zawiłości nauki o chromosomach, które niesie ze sobą powyższa teoria. Nie chodzi tu bynajmniej o takie powierzchowne sprawy jak kolor włosów i temperament. Jest to kwestia tajemnej wiedzy o tym jak oddychać, jak poruszać mięśniami i układem kostnym, jak dojrzewać, jak zapamiętywać, jak kierować procesami myślowymi – kwestia nieskończonej liczby czynności, które trzeba sobie przyswoić po to, by wznieść się ponad poziom życia jamochłonów.

Dziwaczny chromosom Sir Franka sprawił, że poznał on nie tylko normalne procesy ludzkiego życia, lecz także tajemnicę swojej świadomości.

Było to niesamowite. Być w dwóch miejscach jednocześnie i robić dwie zupełnie inne rzeczy. Było to niesamowite, lecz bynajmniej nie kłopotliwe. Sir Frank miał po prostu dwa ciała uzupełniające się i zgrane ze sobą niczym dwie ręce.

Frank II używał życia na całego: młodość i doświadczenie, zdolność przewidywania i młodzieńczy wygląd połączone zostały jak nigdy przedtem. Taka kombinacja była nie do odparcia. Dziewicza królowa dobiegająca wówczas trzydziestki wezwała go kiedyś przed swoje oblicze i westchnęła głęboko. Następnie, schwyciwszy spojrzenie hrabiego Essexa, oddaliła od siebie pokusę, wysyłając młodego Franka w służbę dyplomatyczną na dwór swojego szwagra Filipa.

Frank II polubił Hiszpanię. Stolica króla Filipa była o wiele weselsza, cieplejsza i posiadała klimat zdrowszy od londyńskiego. Uroki i radości obydwu dworów królewskich, przeżywane jednocześnie, mogły niejednego przyprawić o zawrót głowy. Sytuacja ta była niezwykle korzystna: wspólna świadomość Franka I i II była bezkonkurencyjnie najlepszym środkiem komunikacji pomiędzy zwaśnionymi państwami i przynosiła niezłe dochody. Frank nie zdradził nikomu swojej tajemnicy, jakkolwiek nie taił, że posiada armię zręcznych szpiegów, którzy bez żadnego ryzyka podróżują między Anglią a Hiszpanią. Dzięki temu Frank cieszył się wielkimi względami zarówno lorda Burleigha, jak i księcia Mediny Sidoni.

Bycie dwiema osobami równocześnie było zajęciem tak fascynującym, że Frank I nie spieszył się zbytnio z dokonaniem systematycznej analizy ukrytych możliwości płynących z jego sytuacji. Pechowy upadek z konia dał mu jednak w końcu szansę dłuższej medytacji. I nawet wtedy Sir Frank mógł był opuścić jakiś ważny punkt, gdyby nie pewne wydarzenie, które miało miejsce w Madrycie.

Urodził się Frank III.

Frank II przekazał światu zdradziecki chromosom przez pewną hiszpańską kurtyzanę. Dziecka, które nazwano Sancha, nie trapiła żadna śpiączka. Pokrzykiwało ono zdrowo od samego początku, tak jakby urągało powadze tajemnicy, która niczym zasłona strzegła prawdy o jego narodzinach. No i oczywiście dziecko to posiadało wspólną świadomość swojego ojca i dziadka.

Było to doprawdy przedziwne uczucie, otwieranie nowej księgi życia i poznawanie świata przez całą słabość i bezradność wieku dziecięcego. Frank I przeżywał wiele frustracji, lecz zarazem ileż radości! – wystarczy wspomnieć o intymnej bliskości z uroczą mamusią.

Te narodziny uświadomiły Frankowi pewien fakt: tak długo jak chromosom reprodukował się sam w wystarczających ilościach – Frank był nieśmiertelny! Kwestia ta nie przedstawiała się jemu, żyjącemu w czasach o niewielkich osiągnięciach naukowych, tak jasno, lecz rozumiał ją wystarczająco dobrze, by dostrzec możliwość przenoszenia własnej świadomości z pokolenia na pokolenie.

Tak się szczęśliwie złożyło, że Frank wydał jedną ze swoich córek za architekta nazwiskiem Tanyk. Ze związku tego przyszła na świat dziewczynka mniej więcej w dwa tygodnie po narodzinach Franka III (jego dziadek prawie nigdy nie myślał o nim jako o Sanchy). Frank I i Frank II uzgodnili, iż Frank III powinien przybyć do Anglii i poślubić pannę Tanyk, gdy tylko obydwoje znajdą się w odpowiednim wieku – żywotny chromosom z pewnością spał przyczajony w ich organizmach i powinien ujawnić się w następnym pokoleniu.

W związku z tym, że pogorszyły się stosunki między Anglią i Hiszpanią, Frank II powrócił wkrótce do domu wraz z Frankiem III grającym rolę jego pazia. Owoce kilku innych romansów pozostały ze swoimi matkami – żadne z tych dzieci nie posiadało wspólnej świadomości, w ich żyłach płynęła tylko dobra angielska krew.

Frank II przebywał był w kraju ojczystym zaledwie kilka miesięcy, gdy jedna z zaprzyjaźnionych dam obdarzyła go

był dziewczynką, ochrzczoną imieniem Berenice. Śpiączka, która nie opuszczała Franka II przez tak długi okres jego życia, nie dotknęła ani Berenice, ani żadnego z jego potomków.

Narodziny Berenice wymagały od Franka konieczności przystosowania się do zupełnie nowej sytuacji, która wynagrodziła mu wszystkie trudności: Frank był pierwszym mężczyzną w dziejach ludzkości patrzącym na świat z punktu widzenia kobiety.

Wydarzenia następowały jedno po drugim. Zmarła żona Sir Franka. Opactwo St. Duckwirt kwitło. Frank II wyruszył na zamorską wyprawę do kolonii hiszpańskich w Ameryce. Wielka Armada natomiast wyruszyła ku angielskim brzegom i została odparta. A następnego roku Frank III (Sancha), ze swoim hiszpańskim wyglądem i angielską fortuną, zdobył rękę Rosalynd Tanyk, tak jak to zostało wcześniej uzgodnione. Kiedy jego ojciec powrócił z Nowego Świata (z angielskim wyglądem i hiszpańską fortuną) zdążył akurat w sam raz, by zobaczyć ślub swojej córki Berenice, alias Franka IV.

Frank I był już wtedy posiwiałym starcem i rezydował na wsi. Podczas gdy doznawał wątpliwych uroków starczego żywota we własnym ciele, przeżywał wiek średni w ciele syna oraz rozkosze małżeństwa obojga wnucząt.

Sir Frank czekał niecierpliwie na owoce małżeństwa Franka III (Sanchy) z jego kuzynką Rosalynd. Potomstwa było tam dość! Jedno dziecko w roku 1590. Bliźnięta w 1591. W sumie, trójka rozkosznych maleństw, ale niestety, zwykłych śmiertelników, bez cienia wspólnej świadomości. Jednakże w dwa lata później, podczas przedstawienia krwawej i okrutnej tragedii „Tytus Andronikus" Rosalynd dostała bóli porodowych i wydała na świat – w tawernie w Cheapside – Franka V.

W dwóch następnych latach urodziła Franka VI i VIII. Frank VII wyszedł z łona Berenice (Franka IV) i tak też uczynił Frank IX. Dziwaczny chromosom rozpoczął regularny cykl produkcyjny.

Ciało Sir Franka zeszło z tego świata w wieku dość zaawansowanym. Dyfteryt, który wtrącił go do grobu, naraził go na takie same cierpienia jak innych, normalnych ludzi. Umieranie nie było ułatwione przez żaden szczególny dar. Sir Frank roztopił się w wiecznych ciemnościach, lecz jego świadomość żyła dalej, bezpieczna w ośmiu innych ciałach.

Byłoby rzeczą niezwykle interesującą prześledzić dzieje owych ośmiu Franków (z których każdy nosił własne, odmienne imię i nazwisko), lecz nie miejsce po temu. Dość powiedzieć, że przeżywali zmienne koleje losu. Stara królowa uwięziła Franka II w Tower. Franka VI powaliła wstydliwa choroba. Franka IX zrujnowała hodowla asparagusów sprowadzonych niedawno z Azji. Pomimo tego wszystkiego, wspólna świadomość rozprzestrzeniała się. Pięć osób, które dzieliły ją w trzecim pokoleniu, wydało na świat dzieci o takich samych zdolnościach.

Liczby rosły. Dwunastu w czwartym pokoleniu, dwudziestu dwóch w piątym, pięćdziesięciu w szóstym, a w siódmym pokoleniu, w chwili wstąpienia na tron Wilhelma i Marii, wspólną świadomość dzieliły równo sto dwadzieścia cztery osoby.

Ludzie ci, rozproszeni po całej Anglii (a niektórzy nawet po kontynencie), nie różnili się niczym od zwykłych śmiertelników. Ich rodziny i przyjaciele nie domyślali się nawet łączących ich związków. Zresztą związki te nigdy nie były ujawniane – Frankowie nie spotykali się ze sobą. Niektórzy z nich stali się kupcami, kapitanami statków handlujących z Indiami, niektórzy żołnierzami, parlamentarzystami, farmerami. Jedni rzucali się w wir walk politycznych, które wstrząsały siedemnastowieczną Anglią, inni trzymali się od tego z daleka. Lecz wszyscy byli, bez wyjątku, mężczyźni i kobiety, Frankami. Ciągnęli nieopisane korzyści z ponad stusiedemdziesięcioletniego doświadczenia swojego antenata, i nie tylko z jego, lecz z doświadczeń wszystkich poprzednich Franków. Nie ma więc nic niezwykłego w tym, że z małymi wyjątkami, w każdej dziedzinie życia, którą się zajmowali, powodziło im się nadzwyczaj dobrze.

W chwili kiedy na tron wstąpił Jerzy III, a w koloniach brytyjskich w Ameryce wybuchła rewolucja, dziesiąte pokolenie liczyło 2160 Franków.

Ambicje pierwszego Franka nie zgasły, stały się jednak bardziej wyszukane. Ambicja przerodziła się w przemożną chęć zakosztowania wszystkiego. Im więcej powłok cielesnych służyło tej idei, tym szybciej rosła jej atrakcyjność. Faktem jest, że wiele z ludzkich doświadczeń nie zostaje nigdy powtórzonych, a wiele wymyka się nam, nim zdążymy je zauważyć i zakosztować ich – albowiem tak krótka bywa epoka, która stwarza te doświadczenia.

Taka właśnie była epoka rządów króla Edwarda w latach 1901–1911. Odpowiadała ona bardzo elżbietańskiemu duchowi Franka ze względu na swój chełpliwy i wyuzdany charakter, no i londyńskie ulice zatłoczone konnymi pojazdami. Frankowie prosperowali wtedy świetnie – w chwili wybuchu I wojny światowej osiągnęli liczbę trzech i pół miliona.

Wojna, która tak bardzo zmieniła wygląd świata i przyśpieszyła rozwój techniki, miała rujnujący wpływ na rozprzestrzenioną tak szeroko wspólną świadomość Franka. Wielu Franków z szesnastego pokolenia zostawiło martwe ciała w błocie okopów. Frank umierał wiele, wiele razy, wykształcając w umyśle obsesyjną wręcz nienawiść do wojny, które to uczucie miało go już nigdy nie opuścić.

W czasie, kiedy Ameryka przystępowała do wojny, myśli Franka skierowały się ku polityce.

Nie była to łatwa sprawa. Aż do tej chwili koncentrował się on na różnorodnych rodzajach działalności i delektował się każdą z osobna. Ujeżdżał konie na południu Francji, grał w orkiestrze La Scali w Mediolanie, budował zapory wokół Jeziora Zurychskiego, kręcił filmy z Réne Clairem, łowił ryby w wodach Zatoki Biskajskiej, głosił ewangelię z ambony wiedeńskiej katedry i prowadził spory z założycielami akademii Bauhaus. Teraz kierował jednego z przedstawicieli dorastającego pokolenia wspólnej świadomości na wysokie stanowisko rządowe, rekompensując w ten sposób innym nudę i szarość ich codziennych obowiązków i mając nadzieję na szybką zmianę sytuacji.

Plany te nie zaszły jednak zbyt daleko, wybuchła II wojna światowa. Świadomość Franka, dzielona teraz przez jedenastomilionową rzeszę, cierpiała, od Plymouth i Guernsey do Syjamu i Hongkongu. Tego już było za wiele. Z chwilą gdy skończyła się wojna, głównym celem Franka stała się dominacja nad całym światem.

Chromosom rozwijał się teraz jak nigdy przedtem. Grupa krwi, wyznanie, kolor skóry – nic nie mogło mu stanąć na przeszkodzie. Liczba ludzi ze wspólną świadomością, rozmażających się bez żadnych ograniczeń, potrajała się w każdym nowym pokoleniu.

17 pokolenie – 11 milionów w roku 1940.
18 pokolenie – 33 miliony w roku 1965.
19 pokolenie – 100 milionów w roku 1990.
20 pokolenie – 300 milionów w roku 2015.

Frank miał wspaniałą pozycję wyjściową w wyborach do parlamentu – każdy z jego alter ego mógł na niego głosować. Frank występował zresztą w roli kilku członków parlamentu, z których jeden został w końcu premierem, lecz sprawowanie władzy wprowadziło go w głęboką depresję. Istniał przecież o wiele łatwiejszy i pewniejszy sposób kontroli nad krajem – rozmnażanie się.

Do tego zadania wszyscy Frankowie przyłożyli się z ochotą.



Piękna, a BESTIA

mis Royo





Z początkiem XXI wieku ludność Wielkiej Brytanii składała się wyłącznie z Franków. Niby nieograniczona liczba zwierciadeł patrzyli oni na siebie nad ladą w sklepie czy też w klubie, młodzi i starzy, grubi i szczupli, bogaci i biedni, wszyscy, jak jeden mąż, dzielili wspólną, wielką świadomość.

W życiu publicznym i prywatnym zaszło wiele zmian. Intymność życia prywatnego zmarła śmiercią naturalną, wszystkie domy budowano ze szkła, wyrzucono zasłony, zburzono ściany. Aparat policyjny i wymiar sprawiedliwości zniknęły prawie z dnia na dzień – człowiek nie szkodzi przecież samemu sobie. Pozostała parodia parlamentu, która zajmowała się polityką zagraniczną, lecz partie z ich przywódcami i wybory opisywane dotychczas w każdej gazecie (jak i same gazety) przestały istnieć. Zniknęło zainteresowanie sztuką. Żaden z przedstawicieli klanu Franków nie był zainteresowany oglądaniem innego Franka na scenie. Po telewizji i wytwórniach filmowych nie został ślad.

Zbywający w kraju Frankowie, uwolnieni od powyższych instytucji i od wielu innych podobnego pokroju, udali się za granicę, by płodzić nowych Franków.

Te radykalne zmiany w zwyczajach przysłowiowo konserwatywnych Brytyjczyków zostały zauważone w innych krajach, a w szczególności zainteresowali się nimi Amerykanie i Kanadyjczycy, którzy wysłali do Europy własnych obserwatorów.

Wkrótce fala zmian ogarnęła całą Europę. Pokój był zagwarantowany.

Z końcem następnego stulecia Rosja i Azja zostały zalane taką samą powodzią za pomocą takiej samej pokojowej metody. Miliardy ludzi – jedna świadomość.

I wtedy zdarzyło się pierwsze niepowodzenie, jakiego doświadczył Frank podczas stuleci wielorakiej egzystencji. Zwrócił swoje siły rozrodcze ku Ameryce i został odrzucony.

Od Argentyny po Alaskę, przez wszystkie porty leżące po drodze, zdobywczy chromosom odnosił porażkę za porażką.

Zwarty, olbrzymi intelekt zaczął analizować sytuację i wkrótce wyciągnął właściwy wniosek. Jakiś obcy chromosom dotarł do Ameryki jako pierwszy. Przypuszczenie to zostało niebawem potwierdzone, kiedy drastyczna fala zmian w życiu publicznym i prywatnym, podobna tej, która zalała była Stary Świat, opanowała obie Ameryki. Istniała druga wspólna świadomość.

Na podstawie różnorakich przemyśleń Frank wywnioskował, iż Frank II, przebywając zbyt długo w zamorskich posiadłościach Hiszpanii, rozrzucił tam nieco żywotnego chromosomu, który, niezbyt jeszcze stabilny w tym czasie, rozprzestrzenił się po całym kontynencie amerykańskim w ten sam sposób, w jaki chromosom Franka zawojował resztę świata.

Sytuacja była niezmiernie trudna do wyjaśnienia. Frankowie i Amerykanie dzielili między sobą świat nie mówiąc do siebie ani słowa. Po latach intensywnych poszukiwań Frankowie znaleźli wyjście z impasu: zbudowali flotę statków kosmicznych i wyruszyli w bezdroża systemu słonecznego.

I to jest właśnie, panie, panowie i obojnaki, krótka historia dziwnej rasy, która wylądowała ostatnio na naszej planecie, Wenus, jak ją nazywają. Myślę, że możemy sobie pogratulować, iż nasz sposób zachowania gatunku jest tak różny od metod przez nich praktykowanych. W innym przypadku, nic nie zdołałoby nas obronić przed tak zdradziecką formą podboju.

1968

Przełożyła Barbara Flisiuk

Głównodowodzący, generał Fetterer, wkroczył do sali dowodzenia z krótkim „Spocznij!". Trzej generałowie posłusznie stanęli na spocznij.

– Mamy niewiele czasu – powiedział Fetterer spoglądając na zegarek. – Powtórzmy sobie jeszcze raz plan bitwy.

Podszedł do ściany i rozwinął ogromną mapę Sahary.

– Zgodnie z najbardziej wiarygodnymi informacjami teologicznymi, Szatan wystawi swoje siły na tych koordynatach. – Pokazał grubym palcem. – W pierwszej linii staną diabły, demony, sukuby, inkuby i cała reszta. Bael będzie dowodził prawą flanką, Buer lewą. Jego diabelska wysokość będzie trzymał centrum.

– Dość średniowieczne – mruknął generał Dell.

Wszedł adiutant generała Fetterera z twarzą rozjaśnioną myślą o Powtórnym Przyjściu.

– Panie generale – powiedział – przyszedł znów ten ksiądz.

– Baczność, żołnierzu! – rzucił Fetterer surowo. – Musimy jeszcze stoczyć i wygrać tę bitwę.

– Tak jest, panie generale. – Adiutant wyprężył się i część radości odpłynęła z jego oblicza.

BIT

– Ksiądz, powiadasz? – Głównodowodzący w zamyśleniu zatarł dłonie. Od chwili Przyjścia, odkąd stało się jasne, że zbliża się Ostatnia Bitwa, pracownicy kultów religijnych całego świata stali się wyjątkowo natrętni. Zaprzestali starych sporów, co jest godne pochwały, ale teraz próbują się wtrącać do spraw wojskowych.

– Odeślijcie go – powiedział Fetterer. – Wie przecież, że przygotowujemy się do Armageddonu.

– Tak jest. – Adiutant dziarsko zasalutował, zrobił w tył zwrot i wyszedł.

– Kontynuujmy – powiedział generał Fetterer. – Za pierwszą linią obrony Szatana będą rozmieszczeni zmartwychwstali grzesznicy i różne elementarne siły diabelskie. Upadłe anioły będą działać jako lotnictwo bombardujące. Zajmą się nimi automatyczne myśliwce Della.

Generał Dell uśmiechnął się złowieszczo.

– Po nawiązaniu kontaktu, zrobotyzowanie siły pancerne McFee uderzą w kierunku centrum – ciągnął Fetterer – przy wsparciu automatycznej piechoty generała Ongina. Dell przeprowadzi wodorowe bombardowanie odwodów nieprzyjaciela na pozycjach wyjściowych. Ja uderzę kawalerią zmechanizowaną tutaj i tutaj.

Adiutant wrócił i stanął sztywno na baczność.

– Panie generale – powiedział. – Ksiądz nie chce odejść. Twierdzi, że musi mówić z panem generałem.

Głównodowodzący zawahał się, zanim powiedział nie. Przypomniał sobie, że to jest Ostatnia Bitwa i że pracownicy kultów mają z tym pewien związek. Postanowił poświęcić temu człowiekowi pięć minut.

– Wprowadźcie – powiedział.

Ksiądz był w zwykłym garniturze dla podkreślenia, że nie reprezentuje żadnej określonej religii. Jego twarz wyrażała zmęczenie, ale i determinację.

– Panie generale – odezwał się – reprezentuję wszystkich duchownych całego świata: księży, rabinów, pastorów, mułłów i całą resztę. Prosimy pana, generale, żeby nam pan pozwolił wziąć udział w bitwie Naszego Pana.

Głównodowodzący nerwowo zabębnił palcami po pulpicie. Wolał utrzymać dobre stosunki z tymi ludźmi. Nawet on, Wódz Naczelny, może potrzebować słowa wstawiennictwa, kiedy przyjdzie co do czego...

– Chyba pan rozumie moją sytuację? – powiedział Fetterer ze skargą w głosie. – Jestem generałem i mam stoczyć bitwę.

– Ale to jest Ostatnia Bitwa – odparł ksiądz – i powinna to być bitwa ludzi.

– I tak jest – powiedział Fetterer. – Żołnierze stoczą ją w ich imieniu.

Duchowny nie wyglądał na przekonanego.

– Nie chciałby pan chyba, żebyśmy przegrali tę bitwę, prawda? Żeby Szatan zwyciężył?

– Oczywiście, że nie – mruknął ksiądz.

– Więc nie wolno nam ryzykować. Wszystkie rządy zgodziły się co do tego, prawda? Bardzo pięknie byłoby stoczyć Ostatnią Bitwę siłami ludzkimi. Symbolicznie, można by powiedzieć. Ale czy mielibyśmy pewność zwycięstwa?

Duchowny usiłował coś wtrącić, ale Fetterer nie dopuścił go do słowa.

– Skąd możemy znać siłę wojsk szatańskich? Musimy użyć wszystkiego, co mamy najlepsze z wojskowego punktu widzenia. A to oznacza armie automatów, zrobotyzowane samoloty i czołgi, bomby wodorowe.

Duchowny nie wyglądał na przekonanego.

Robert Sheckley

WA

(The Battle)

– Ale tak być nie powinno – powiedział. – Chyba mozecie znaleźć w swoich planach jakieś miejsce dla ludzi?

Fetterer zastanowił się, ale żądanie było nierealne. Plan bitwy był zapięty na ostatni guzik, piękny, nieodparty. Każde wprowadzenie niepewnego elementu ludzkiego spowodowałoby tylko zamieszanie. Żaden biologiczny organizm nie wytrzymałby hałasu tego mechanicznego ataku, potencjałów energii wypełniającej powietrze, przepotężnej siły ognia. Istota ludzka, która zbliżyłaby się na sto mil do pola bitwy, zginęłaby, zanim zobaczyłaby nieprzyjaciela.

– Niestety nie – powiedział Fetterer.

– Są tacy – stwierdził surowo duchowny – którzy uważają, że błędem było oddanie tego w ręce wojskowych.

– Trudno – powiedział Fetterer dziarsko. – To tylko defetystyczne gadanie. A teraz, jeżeli pan pozwoli... – wskazał drzwi. Duchowny wyszedł przygnębiony.

– Ci cywile – pokręcił głową Fetterer. – Do rzeczy, panowie. Czy wasze wojska są gotowe?

– Jesteśmy gotowi walczyć za Niego – powiedział z entuzjazmem generał McFee. – Ręczę za każdy automat pod moją komendą. Metal lśni, przekładnie naoliwione, akumulatory naładowane. Czekają niecierpliwie na rozkaz do ataku!

Generał Ongin ocknął się z zamyślenia.

– Oddziały lądowe gotowe, panie generale.

– Wojska powietrzne gotowe – zameldował generał Dell.

– Znakomicie – podsumował generał Fetterer. – Wszystkie inne przygotowania też zostały zakończone. Cała ludność świata ma dostęp do transmisji telewizyjnych. Wszyscy, bogaci i biedni, będą mogli obejrzeć Ostatnią Bitwę.

– A po Bitwie... – zaczął generał Ongin i urwał. Spojrzał na Fetterera.

Fetterer zamyślił się. Nie wiedział, co ma się stać po Bitwie. Te sprawy znajdowały się zapewne w rękach organizacji religijnych.

– Myślę, że odbędzie się prezentacja, czy coś takiego – powiedział wymijająco.

– Czy to znaczy, że zobaczymy Jego? – spytał generał Dell.

– Naprawdę nie wiem – powiedział Fetterer. – Ale myślę, że tak. Ostatecznie, no, wiecie, co mam na myśli.

– Ale jaki strój obowiązuje? – spytał McFee z paniką w głosie. – Co się nosi na taką okazję?

– A jak są ubrani aniołowie? – spytał Fetterer Ongina.

– Nie mam pojęcia – odparł Ongin.

– Chyba w długie szaty? – podsunął generał Dell.

– Nie – zarządził Fetterer surowo. – Wystąpimy w mundurach galowych bez odznaczeń.

Generałowie skinęli głowami. To było dobre wyjście.

A potem wybiła godzina.

Wspaniałe w swoim szyku bitewnym legiony Piekieł zstąpiły na pustynię. Zagrały piekielne dudy, zahuczały kotły i potężne zastępy ruszyły z miejsca.

W oślepiającej chmurze pyłu automatyczne czołgi generała McFee rzuciły się na szatańskiego wroga. Natychmiast w górze zawyły automatyczne bombowce Della, zasypując bombami stłoczone hordy potępieńców. Fetterer śmiało uderzył swoją automatyczną kawalerią.

Ruszyła w dym bitwy automatyczna piechota Ongina i metal dawał z siebie wszystko, co metal potrafi.

Potępieńcy przerwali front, szarpiąc na sztuki czołgi i roboty. Automaty ginęły bohatersko, broniąc każdej piędzi piasku. Bombowce Della padały strącone z nieba przez upadłych aniołów pod komendą Markocjasa, którego nietoperze skrzydła wzniecały trąby powietrzne.

Cienka linia pokiereszowanych robotów stawiała czoła gigantycznym mocom, które je miażdżyły i roztrącały, siejąc przerażenie w sercach telewidzów, zgromadzonych przed ekranami na całym świecie. Roboty walczyły jak ludzie, jak bohaterowie, odpierając ataki sił ciemności.

Astaroth wrzasnęła i Behemoth ruszył do przodu. Beal, prowadząc za sobą klin diabłów przypuścił atak na nadwątloną lewą flankę generała Fetterera. Rozległ się zgrzyt metalu i wycie elektronów.

Generał Fetterer spływał potem i drżał z napięcia tysiąc mil za linią frontu. Ale systematycznie i na zimno kierował naciskaniem guzików i dźwigni.

Jego wspaniała armia nie zawiodła. Śmiertelnie uszkodzone roboty podrywały się do walki. Miażdżone, tratowane, niszczone przez wyjące diabelstwo roboty utrzymywały swoje pozycje. Wtedy do kontrataku ruszył doborowy Piąty Korpus i front nieprzyjacielski został przerwany.

Z odległości tysiąca mil generałowie kierowali operacją oczyszczania pola walki.

– Bitwa jest wygrana – szepnął generał Fetterer odwracając się od ekranów. – Gratuluję wam, panowie.

Zmęczone twarze generałów rozjaśnił uśmiech.

Potem spojrzeli na siebie i wydali okrzyk radości. Armageddon był wygrany, siły Szatana rozbite.

Ale na ekranach monitorów coś się działo.

– Czy to jest... czy to jest... – zająknął się generał McFee i słowa utknęły mu w gardle.

Bo na polu bitwy pojawił się On, idąc między stosami poskręcanego, nadtopionego metalu.

Generałowie zamilkli.

Dotknął rozbitego automatu i na całej zasnutej dymem pustyni roboty zaczęły ożywać. Poskręcane, nadwęglone, stopione maszyny zaczęły się prostować.

Po chwili wszystkie roboty stały na nogach.

– McFee – szeptem powiedział głównodowodzący – wypróbuj zdalne sterowanie. Każ tym robotom uklęknąć albo coś takiego.

Generał spróbował, ale sterowanie nie działało.

Tymczasem roboty zaczęły unosić się w powietrzu. Podtrzymywane przez Aniołów Pańskich automatyczne czołgi, żołnierze i bombowce wzlatywały coraz wyżej i wyżej.

– On je bierze do Nieba! – krzyknął histerycznie Ongin. – On zbawia roboty!

– Zaszła pomyłka! – powiedział Fetterer. – Szybko. Wyślijcie łącznika... Nie, polecimy osobiście!

Szybko podstawiono im samolot i natychmiast polecieli na pobojowisko. Ale było już za późno, bo Armageddon się skończył, roboty znikły, a Pan ze swoimi zastępami wrócił do siebie.

Przełożył **Lech Jęczmyk**

Andrzej Sapkowski

Droga
z której się nie wraca

I

Ptak o pstrokatych piórkach, siedzący na ramieniu Visenny, zaskrzeczał, zatrzepotał skrzydełkami, z furkotem wzbił się i poszybował między zarośla. Visenna wstrzymała konia, nasłuchiwała chwilę, potem ostrożnie ruszyła wzdłuż leśnej dróżki.

Mężczyzna zdawał się spać. Siedział opierając się plecami o słup pośrodku rozstaju. Z bliższej odległości Visenna zobaczyła, że oczy ma otwarte. Już wcześniej spostrzegła, że jest ranny. Prowizoryczny opatrunek, pokrywający lewe ramię i biceps, przesiąknięty był krwią, która jeszcze nie zdążyła sczernieć.

– Witaj, młodzieńcze – odezwał się ranny, wypluwając długie źdźbło trawy. – Dokąd zmierzasz, jeśli wolno spytać?

Visennie nie spodobał się „młodzieniec". Odrzuciła kaptur z głowy.

– Spytać wolno – odpowiedziała – ale wypadałoby uzasadnić ciekawość.

– Wybaczcie, pani – rzekł mężczyzna, mrużąc oczy. – Nosicie męski strój. A co do ciekawości, to jest ona uzasadniona, a jakże. To jest niezwykłe rozdroże. Spotkała mnie tu interesująca przygoda...

– Widzę – przerwała Visenna, patrząc na nieruchomy, nienaturalnie skręcony kształt, leżący na wpół zagrzebany w poszyciu nie dalej niż dziesięć kroków od słupa.

Mężczyzna podążył za jej spojrzeniem. Potem ich oczy spotkały się. Visenna, udając, że odgarnia włosy z czoła, dotknęła diademu, ukrytego pod opaską z wężowej skóry.

– A tak – rzekł ranny spokojnie. – Tam leży nieboszczyk. Bystre macie oczy. Pewnie uważacie mnie za rozbójnika? Mam rację?

– Nie masz – powiedziała Visenna, nie odejmując ręki od diademu.

– A... – zająknął się mężczyzna. – Tak. No...

– Twoja rana krwawi.

– Większość ran ma taką dziwną właściwość – uśmiechnął się ranny. Miał ładne zęby.

– Pod opatrunkiem, zrobionym jedną ręką, będzie krwawić długo.

– Czyżbyście chcieli zaszczycić mnie swoją pomocą?

Visenna zeskoczyła z konia, drążąc obcasem miękką ziemię.

– Nazywam się Visenna – powiedziała. – Nie zwykłam robić nikomu zaszczytów. Poza tym, nie cierpię, kiedy ktoś zwraca się do mnie w liczbie mnogiej. Zajmę się twoją raną. Możesz wstać?

– Mogę. A muszę?

– Nie.

– Visenna – powiedział mężczyzna, unosząc się z lekka, by ułatwić jej odwinięcie płótna. – Ładne imię. Mówił ci już ktoś, Visenna, że masz piękne włosy? Ten kolor nazywa się miedziany, prawda?

– Nie. Rudy.

– Aha. Jak skończysz, ofiaruję ci bukiet z łubinu, o, tego, co rośnie w rowie. A w czasie operacji opowiem ci, ot tak, dla zabicia czasu, co mi się przydarzyło. Widzisz, nadszedłem tą samą drogą, co i ty. Widzę, stoi na rozstaju słup. O, właśnie ten. Do słupa przymocowana deska. To boli.

– Większość ran ma taką dziwną właściwość. – Visenna oderwała ostatnią warstwę płótna, nie starając się być delikatną.

– Prawda, zapomniałem. O czym ja... Ach, tak. Podchodzę, patrzę, na desce napis. Strasznie koślawy, znałem kiedyś łucznika, który potrafił ładniejsze litery wysikać na śniegu. Czytam... A to co ma być, moja panno? Co to za kamyk? O, do licha. Tego się nie spodziewałem.

Visenna powoli przesunęła hematyt wzdłuż rany. Krwawienie ustało momentalnie. Zamknąwszy oczy, uchwyciła ramię mężczyzny oburącz, mocno dociskając brzegi skaleczenia. Odjęła ręce – tkanka zrosła się, pozostawiając zgrubienie i szkarłatną pręgę.

Mężczyzna milczał, bacznie się jej przypatrując. Wreszcie zdjął ostrożnie ramię, rozprostował je, potarł szramę, pokręcił głową. Naciągnął skrwawiony strzęp koszuli i kubrak, wstał, podjął z ziemi pas z mieczem, kiesą i manierką, spinany klamrą w kształcie smoczego łba.

– Tak, to się nazywa mieć szczęście – powiedział, nie spuszczając z Visenny oka. – Trafiłem na uzdrowicielkę w samym środku puszczy, w widłach Iny i Jarugi, gdzie zwykle łatwiej o wilkołaka, albo, co gorsza, pijanego drwala. Jak będzie z zapłatą za leczenie? Chwilowo cierpię na brak gotówki. Wystarczy bukiet z łubinu?

Visenna zignorowała pytanie. Podeszła bliżej do słupa, zadarła głowę – deska przybita była na wysokości wzroku mężczyzny.

– „Ty, który nadejdziesz od zachodu – przeczytała na głos. – W lewo pójdziesz, wrócisz. W prawo pójdziesz, wrócisz. Wprost pójdziesz, nie wrócisz". Bzdury.

– Dokładnie to samo pomyślałem – zgodził się mężczyzna, otrzepując kolana z igliwia. – Znam te okolice. Prosto, to jest na wschód, idzie się ku przełęczy Klamat, na kupiecki trakt. Niby dlaczego nie można stamtąd wrócić? Takie ładne dziewczęta, spragnione zamążpójścia? Tania gorzałka? Wolne stanowisko burmistrza?

– Nie trzymasz się tematu, Korin.

Mężczyzna otworzył usta, zdumiony.

– Skąd wiesz, że nazywam się Korin?

– Sam mi to mówiłeś, przed chwilą. Opowiadaj dalej.

– Tak? – Mężczyzna spojrzał na nią podejrzliwie. – Doprawdy? No, może... Na czym skończyłem? Aha. Czytam więc, i dzi-

wię się, co za baran wymyślił ten napis. Naraz, słyszę, ktoś bełkoce i mruczy za moimi plecami. Oglądam się, babuleńka, siwiuteńka, zgarbiona, z kijaszkiem, a jakże. Pytam grzecznie, co jej jest. Ona mamroce: „Głodnam, cny rycerzyku, od świtania na ząb nie było co wziąć". Zgaduję, ma babuleńka jeszcze jeden ząb. Wzruszyłem się jak nie wiem co, biorę więc z sakwy chleba kąsek i połowę wędzonego leszcza, którego dostałem do rybaków nad Jarugą i daję starowince. Ta siada, mamle, chrząka, wypluwa ości. Ja nadal oglądam ten dziwny drogowskaz. Naraz babcia odzywa się: „Dobryś, rycerzyku, poratowałeś mnie, nagroda cię nie minie". Chciałem jej powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić swoją nagrodę, a babka mówi: „Zbliż się, mam ci coś rzec do ucha, ważną tajemnicę odkryć, jak wielu dobrych ludzi od nieszczęścia wybawić, sławę zyskać i bogactwo".

Visenna westchnęła, siadła obok rannego. Podobał jej się, wysoki, jasnowłosy, z pociągłą twarzą i wydatnym podbródkiem. Nie śmierdział, jak zwykle mężczyźni, których spotykała. Odpędziła natrętną myśl, że za długo włóczy się samotnie po lasach i gościńcach. Mężczyzna ciągnął:

– Ha, pomyślałem sobie, klasyczna okazja się trafia. Jeśli babka nie ma sklerozy, a ma wszystkie klepki, to może i będzie z tego zysk dla biednego wojaka. Schylam się, nadstawiam ucha, jak kto głupi. No i gdyby nie refleks, dostałbym prosto w grdykę. Odskoczyłem, krew sika mi z ramienia jak z fontanny pałacowej, a babka sunie z nożem, wyjąc, parskając i plując. Ciągle jeszcze nie uważałem, że to poważna sprawa. Poszedłem w zwarcie, by pozbawić ją przewagi, i czuję, że to nie żadna staruszka. Piersi twarde jak krzemienie...

Korin zerknął w stronę Visenny, by sprawdzić, czy się nie czerwieni. Visenna słuchała z grzecznym wyrazem zaciekawienia na twarzy.

– O czym to ja... Aha. Myślałem, zwalę ją z nóg i rozbroję, ale gdzie tam. Silna jak ryś. Czuję, za moment wysmyknie mi się jej ręka z nożem. Co było robić? Odepchnąłem ją, cap za miecz... Nadziała się sama.

Visenna siedziała milcząc, z ręką u czoła, niby w zadumie pocierała wężową opaskę.

– Visenna? Mówię, jak było. Wiem, że to kobieta i głupio mi, ale niech skonam, jeśli to była normalna kobieta. Natychmiast po tym, jak upadła, odmieniła się. Odmłodniała.

– Iluzja – rzekła Visenna w zamyśleniu.

– Że co?

– Nic – Visenna wstała, podeszła do zwłok leżących w paprociach.

– Tylko popatrz. – Korin stanął obok. – Baba jak posąg w pałacowej fontannie. A była zgarbiona i pomarszczona jak zad stuletniej krowy. Niech mnie...

– Korin – przerwała Visenna – nerwy masz mocne?

– Hę? A co mają do tego moje nerwy? Owszem, jeśli cię to interesuje, nie narzekam.

Visenna zdjęła opaskę z czoła. Klejnot w diademie rozjarzył się mlecznym blaskiem. Stanęła nad zwłokami, wyciągnęła ręce, zamknęła oczy. Korin przyglądał się z półotwartymi ustami. Visenna pochyliła głowę, szeptała coś, czego nie rozumiał.

– Grealghane! – krzyknęła nagle.

Paprocie zaszeleściły gwałtownie. Korin odskoczył, dobywając miecza, zamierając w obronnej pozycji. Zwłoki zatrzepotały.

– Grealghane! Mów!

– Aaaaaaaa! – rozległ się z paproci narastający ochrypły wrzask. Trup wygiął się w kabłąk, nieledwie lewitował, dotykając ziemi piętami i czubkiem głowy. Wrzask ścichł, zaczął się rwać, przechodzić w gardłowy bełkot, urywane jęki i krzyki, stopniowo nabierające kadencji, ale absolutnie niezrozumiałe. Korin poczuł na plecach zimną strużkę potu, drażniącą jak pełznąca gąsienica. Zaciskając pięści, by powstrzymać mrowienie w przedramionach, całą siłą woli walczył z przemożnym pragnieniem ucieczki w głąb lasu.

– Oggg... nnnn... nngarrrrr... – wybełkotał trup, drąc ziemię paznokciami, bulgocąc krwawymi bańkami, pękającymi na wargach. – Narrr... eeeggg...

– Mów!

Z wyciągniętych dłoni Visenny sączył się mętnawy strumień światła, w którym wirował i kłębił się kurz. Z paproci frunęły w górę suche listki i źdźbła. Trup zachłysnął się, zamlaskał i nagle przemówił, zupełnie wyraźnie:

– ...rozstajach sześć mil od klucza w południe najdalej. Poo... Posyłał. Kręgu. Chłopaka. Spra... ggg... azał. Kazał.

– Kto?! – krzyknęła Visenna. – Kto kazał? Mów!

– Fffff... ggg... genal. Wszystkie pisma listy amulety. Pier...ścienie.

– Mów!

– ...rzełęczy. Kościej. Ge... nal. Zabrać listy. Per...gaminy. Przyjdzie z maaaaaaaaaaa! Eeeeeeeee! Nyyyyyyyy!!!

Bełkotliwy głos zawibrował, rozpłynął się w przerażającym wrzasku. Korin nie wytrzymał, rzucił miecz, zamknął oczy i przycisnął dłonie do uszu. Stał tak, dopóki nie poczuł na ramieniu dotknięcia. Drgnął, potężnie, całym ciałem.

– Już po wszystkim – powiedziała Visenna, ocierając pot z czoła. – Pytałam, jakie masz nerwy.

– Co za dzień – wystękał Korin. Podniósł miecz, schował go do pochwy, starając się nie patrzeć w stronę nieruchomego już ciała. – Visenna?

– Słucham?

– Chodźmy stąd. Jak najdalej od tego miejsca.

II

Jechali we dwójkę na koniu Visenny leśnym duktem, zarośniętym i wyboistym. Ona z przodu, w siodle, Korin na oklep z tyłu, obejmując ją w talii. Visenna już dawno przywykła bez skrępowania cieszyć się drobnymi przyjemnościami, sporadycznie ofiarowywanymi przez los, z zadowoleniem opierała więc plecy o pierś mężczyzny. Milczeli oboje.

– Visenna – Korin zdecydował się pierwszy, po blisko godzinie.

– Słucham.

– Nie jesteś tylko uzdrowicielką. Jesteś z Kręgu?

– Tak.

– Sądząc po tym... pokazie, Mistrzem?

– Tak.

Korin puścił jej talię i przytrzymał się łęku siodła. Visenna zmrużyła oczy z gniewu. Oczywiście nie dostrzegł tego.

– Visenna?

– Słucham?

– Zrozumiałaś coś z tego co ta... co to – mówiło?

– Niewiele.

Znowu milczeli. Pstrokaty ptak, przelatujący nad nimi, wśród listowia, zaskrzeczał głośno.

– Visenna?

– Korin, zrób mi przyjemność.

– Hę?

– Przestań gadać. Chcę pomyśleć.

Dukt sprowadził ich stromo w dół, w wąwóz, w koryto płytkiego strumienia, leniwie przemykającego wśród głazów i czarnych pni w przenikliwym zapachu mięty i pokrzywy. Koń ślizgał się na kamieniach, pokrytych osadem gliny i mułu. Korin, by nie spaść, ponownie uchwycił talię Visenny. Odpędził natrętną myśl, że za długo włóczy się samotnie po lasach i gościńcach.

III

Osada była typową ulicówką, przytuloną do zbocza góry, rozwleczoną wzdłuż traktu – słomianą, drewnianą i brudną – przycupniętą wśród krzywych płotów. Gdy podjechali, psy podniosły jazgot. Koń Visenny człapał spokojnie środkiem drogi, nie zwracając uwagi na zajadłe kundle, wyciągające spienione pyski ku jego pęcinom.

Początkowo nie widzieli nikogo. Potem, zza płotów, z dróżek, wiodących na gumna, pojawili się mieszkańcy – podchodzili wolno, bosi i chmurni. Nieśli widły, drągi, cepy. Któryś schylił się, podniósł kamień.

Visenna wstrzymała konia. Uniosła rękę – Korin spostrzegł, że w dłoni trzyma mały, złoty nożyk w kształcie sierpa.

– Jestem uzdrowicielką – powiedziała wyraźnie i dźwięcznie, choć wcale nie głośno.

Chłopi opuścili broń, zaszemrali, popatrzyli po sobie. Było ich coraz więcej. Kilku bliższych zdjęło czapki.

– Jak zowie się to sioło?

– Klucz – padło z ciżby po chwili ciszy.

– Kto starszy nad wami?

– Topin, wielmożna pani. O, tamta chałupa.

Nim ruszyli, przez szpaler rolników przecisnęła się kobieta z niemowlęciem na ręku.

– Pani... – jęknęła, dotykając nieśmiało kolana Visenny. – Córka... Aż gorzeje z gorączki...

Visenna zeskoczyła z kulbaki, dotknęła główki dziecka, zamknęła oczy.

– Jutro będzie zdrowa. Nie owijaj jej tak ciepło.

– Dzięki, wielmożna... Stokrotne...

Topin, starszy osady, był już na podwórku i właśnie zastanawiał się, co począć z widłami, które trzymał w pogotowiu. Wreszcie zgarnął nimi ze schodów kurze łajno.

– Wybaczcie – rzekł, odstawiając widły pod ścianę chałupy. – Pani. I wy, wielmożny. Czas niepewny taki... Do środka proszę. Na poczęstunek upraszam.

Weszli.

Topinowa kobieta, holując uczepioną spódnicy dwójkę słomianowłosych dziewuszek, podała jajecznicę, chleb i zsiadłe mleko, po czym znikła w komorze. Visenna, w odróżnieniu od Korina, jadła mało, siedziała zasępiona i cicha. Topin przewracał oczami, drapał się w różne miejsca i gadał.

– Czas niepewny. Niepewny. Bieda nam, wielmożni. My owce na runo hodujem, na sprzedaż to runo, a nynie kupców nie ma, tedy wybijamy stada, runne owce bijem, by do garnka co włożyć. Dawniej kupce po jaszmę, po kamień zielony chodzili do Amellu, przez przełęcz, tamój kopalnie są. Tamój jaszmę dobywają. A jak szli kupce, to i runo brali, płacili, różne dobro ostawiali. Nie ma nynie kupców. Nawet soli nie ma, co ubijem, we trzy dni zjeść musim.

– Omijają was karawany? Dlaczego? – Visenna w zamyśleniu co jakiś czas dotykała opaski na czole.

– A omijają – burknął Topin. – Zamknięta droga do Amellu, na przełęczy rozsiadł się przeklęty kościej, żywej duszy nie przepuści. To jak tam kupcom iść? Na śmierć?

Korin zamarł z łyżką zawieszoną w powietrzu.

– Kościej? Co to jest kościej?

– A bo to ja wiem? Kościej, mówią, ludojad. Na przełęczy pono siedzi.

– I nie przepuszcza karawan?

Topin rozejrzał się po izbie.

– Niektóre ino. Mówią, swoje. Swoje puszcza.

Visenna zmarszczyła czoło.

– Jak to – swoje?

– Ano swoje – zamruczał Topin i pobladł. – Ludziskom z Amellu jeszcze gorzej niźli nam. Nas choć bór nieco pożywi. A tamci na gołej skale siedzą i ino to mają, co im kościejowi za jaszmę sprzedadzą. Okrutnie, po zbójecku pono za każde dobro płacić każą, ale co tamtym z Amellu czynić? Przecie jaszmy jeść nie będą.

– Jacy „kościejowi"? Ludzie?

– Ludzie, i Vrany, i insi. Zbiry to, pani. Oni do Amellu wożą to, co nam pobiorą, tam na jaszmę i kamień zielony mieniają. A nam siłą biorą. Po siołach, bywało, grabili, gwałcili dziewki, a przeciwił się kto, mordowali, z dymem puszczali ludzi. Zbiry. Kościejowi.

– Ilu ich? – odezwał się Korin.

– Kto by ich tam, panie wielmożny, liczył. Bronią się sioła, kupy trzymają. Co z tego, kiedy w nocy nalecą, podpalą. Lepiej już nieraz dać, czego chcą. Bo mówią...

Topin pobladł jeszcze bardziej, zadygotał cały.

– Co mówią, Topin?

– Mówią, że kościej, jeśli go rozeźlić, wylezie z przełęczy i pójdzie ku nam, ku dolinom.

Visenna wstała raptownie. Twarz miała zmienioną. Korina przeszył dreszcz.

– Topin – powiedziała czarodziejka. – Gdzie tu kuźnia najbliższa? Koń mój podkowę zgubił na trakcie.

– Za osadą dalej, pod lasem. Tamój kuźnia jest, i stajnia.

– Dobrze. Teraz idź, popytaj, gdzie kto chory lub ranny.

– Dzięki niech wam będą, dobrodziejko wielmożna.

– Visenna – odezwał się Korin, gdy tylko za Topinem zamknęły się drzwi. Druidka odwróciła się, spojrzała na niego.

– Twój koń ma wszystkie podkowy w porządku.

Visenna milczała.

– Jaszma to oczywiście jaspis, a zielony kamień to jadeit, z którego słyną kopalnie w Amell – ciągnął Korin. – A do Amell można dojść tylko przez Klamat, przez przełęcz. Drogą, z której się nie wraca. Co mówiła nieboszczka na rozdrożu? Dlaczego chciała mnie zabić?

Visenna nie odpowiedziała.

– Nic nie mówisz? Nie szkodzi. I tak wszystko zaczyna się pięknie wyjaśniać. Babuleńka z rozstaja czekała na kogoś, kto zatrzyma się przed głupim napisem, zakazującym dalszego marszu na wschód. To była pierwsza próba – czy przybysz umie czytać. Potem babka upewnia się jeszcze – któż, jeżeli nie dobry samarytanin z Kręgu Druidów wspomoże w dzisiejszych czasach głodną staruszkę? Każdy inny, głowę daję, odebrałby jej jeszcze i kijaszek. Chytra babcia bada dalej – zaczyna gaworzyć o biednych ludziach w nieszczęściu, potrzebujących pomocy. Podróżny, zamiast poczęstować ją kopniakiem i plugawym słowem, jak uczyniłby to zwykły, szary mieszkaniec tych okolic, słucha w napięciu. Tak, myśli babcia – to on. Druid, idący rozprawić się z bandą, prześladującą okolicę. A że ponad wszelką wątpliwość sama jest nasłana przez ową bandę, sięga po nóż. Ha! Visenna! Czyż ja nie jestem mądry?

Visenna nie odpowiedziała. Stała z głową odwróconą w stronę okna. Widziała – półprzezroczyste błony z rybich pęcherzy nie stanowiły przeszkody dla jej wzroku – pstrokatego ptaka, siedzącego na wiśniowym drzewku.

– Visenna?

– Słucham, Korin.

– Co to jest kościej?

– Korin – rzekła Visenna ostro, odwracając się ku niemu. – Dlaczego się mieszasz do nieswoich spraw?

– Posłuchaj – Korin ani trochę nie przejął się jej tonem. – Jestem już wmieszany w twoje, jak mówisz, sprawy. Tak wyszło, że chciano mnie zarżnąć zamiast ciebie.

– Przypadkowo.

– Myślałem, że czarodzieje nie wierzą w przypadki, tylko w magiczne przyciąganie, sploty wydarzeń i różne takie. Popatrz tylko, Visenna, co się dzieje – jedziemy na jednym koniu. Zróbmy dla śmiechu, żeby trwało to nadal. Oferuję ci pomoc w misji, której celu się domyślam. Odmowę potraktuję jako przejaw pychy. Mówiono mi, że wy, z Kręgu, mocno lekceważycie sobie zwykłych śmiertelników.

– To kłamstwo.

– Świetnie się składa – Korin wyszczerzył zęby. Nie traćmy zatem czasu. Jedźmy do kuźni.

IV

Mikula solidniej uchwycił pręt obcęgami i obrócił go w żarze.

– Dmij, Czop! – rozkazał.

Czeladnik zawisł na dźwigni miecha. Jego pucołowata twarz błyszczała od potu. Pomimo szeroko otwartych drzwi, w kuźni było nieznośnie gorąco. Mikula przerzucił pręt na kowadło, kilkoma mocnymi uderzeniami młota rozpłaszczył koniec.

Stelmach Radim, siedzący na nieobrobionym pieńku brzozowym, również się pocił. Rozpiął sukmanę i wyciągnął koszulę ze spodni.

– Dobrze wam gadać, Mikula – powiedział. – Wam bijatyka nie nowina. Każdy wie, żeście nie całe życie w kuźni kuli. Ponoć dawniej łby tłukliście, nie żelazo.

– To i cieszyć się powinniście, że takiego macie w gromadzie

ciąg dalszy na stronie 43

DROGA z której się nie wraca

ciąg dalszy ze strony 22

– rzekł kowal. – Po raz wtóry mówię wam, że nie będę więcej tamtym w pas się kłaniał. Ani robił na nich. Nie pójdziecie ze mną, zacznę sam, albo z takimi, co krew, nie podpiwek, mają w żyłach. W lasy zapadniem, będziem ich po jednemu prać, jak którego nadybiem. Ilu ich? Trzydziestu? Może i tego nie. A siół po tej stronie przełęczy ile? Chłopców mocnych? Dmij, Czop!

– Przecie dmę!

– Raźniej!

Młot dzwonił o kowadło, rytmicznie, nieledwie melodyjnie. Czop dął w miech. Radim wysmarkał się w palce, wytarł dłoń o cholewę.

– Dobrze wam gadać – powtórzył. – A ilu to z Klucza pójdzie?

Kowal opuścił młot. Milczał.

– Takem myślał – rzekł stelmach. – Nikt nie pójdzie.

– Klucz sioło małe. Mieliście wybadać w Porogu i w Kaczanie.

– Ano badałem. Mówiłem wam, jak jest. Bez wojaków z Mayeny ludzie nie ruszą. Niektórzy gadają tak – co nam tamci, Vrany, Bobołaki, tych na widły możemy we trzy migi wziąć, ale co czynić, gdy kościej na nas pójdzie? W bór umykać. A chałupy, dobytek? Na plecy nie weźmiemy. A na kościeja nie nasza moc, to wiecie.

– Skąd mam wiedzieć?! Widział go kto?! – krzyknął kowal. – Może wcale nie ma nijakiego kościeja? Tylko strachu chcą wam do rzyci nagonić, kmiotkom? Widział go kto?

– Nie gadajcie, Mikula. – Radim schylił głowę. – Sami wiecie, że z kupcami w ochronę nie byle jakie zabijaki chodziły, obwieszone żelazem, istne rezuny. A wrócił który z przełęczy? Ani jeden. Nie, Mikula. Trzeba czekać, mówię wam. Da komes z Mayeny pomoc, wtedy inna sprawa będzie.

Mikula odłożył młot, ponownie włożył pręt w palenisko.

– Nie przyjdzie wojsko z Mayeny – powiedział ponuro. – Pobili się panowie między sobą. Mayena z Razwanem.

– O co?

– A bo to wyrozumiesz, dlaczego się wielmożni biją?! Po mojemu, z nudów, kpy zaprzałe! – wrzasnął kowal. – Widzieliście, go komesa! Za co my jemu, gadowi, daninę płacim?

Wyrwał pręt z żaru, aż sypnęły się iskry, wywinął nim w powietrzu. Czop odskoczył. Mikula chwycił młot, walnął raz, drugi, trzeci.

– Jak komes chłopaka mojego wygnał, do Kręgu tamtejszego go posłałem, pomocy prosić. Do druidów.

– Do czarowników? – spytał stelmach z niedowierzeniem. – Mikula?

– Do nich. Ale chłopak nie wrócił jeszcze.

Radim pokręcił głową, wstał, podciągnął spodnie.

– Nie wiem, Mikula, nie wiem. Nie na moją to głowę. Ale i tak na to samo wychodzi. Czekać trzeba. Kończcie robotę, wraz jadą, trzeba mi...

Przed kuźnią, na podwórzu, zarżał koń.

Kowal zamarł z młotem wzniesionym nad kowadłem. Stelmach zaszczękał zębami, zbladł. Mikula spostrzegł, że drżą mu ręce, wytarł je bezwiednie o skórzany fartuch. Nie pomogło. Przełknął ślinę i ruszył ku wyjściu, w którym wyraźnie rysowały się sylwetki jeźdźców. Radim i Czop poszli za nim, bardzo blisko, z tyłu. Wychodząc, kowal oparł pręt o słup przy drzwiach.

Widział sześciu, wszystkich konno, w przeszywanicach, nabijanych żelaznymi płytkami, kolczugach, skórzanych hełmach ze stalowymi nosalami, wchodzącymi prostą linią metalu pomiędzy ogromne, rubinowoczerwone oczy, zajmujące połowę twarzy. Siedzieli na koniach nieruchomo, jakby niedbale. Mikula, biegając spojrzeniem od jednego do drugiego, widział ich broń – krótkie dzidy o szerokim ostrzu. Miecze z dziwacznie wykutą gardą. Berdysze. Zębate gizarmy.

Na wprost wejścia do kuźni stało dwóch. Wysoki Vran na siwku okrytym zielonym kropierzem, ze znakiem słońca na hełmie. I drugi...

– Mateńko – szepnął Czop za plecami kowala. I zachlipał.

Drugi jeździec był człowiekiem. Miał na sobie ciemnozielony, vrański płaszcz, ale spod dziobowatego hełmu patrzyły na nich blade, niebieskie – nie czerwone – oczy. W oczach tych kryło się tyle obojętnego, zimnego okrucieństwa, że Mikulę przeszył potworny strach, wdzierający się zimnem do trzewi, mdlący, spływający mrowieniem do pośladków. Nadal było cicho. Kowal słyszał bzykanie much, kłębiących się nad kupą nawozu za płotem.

Człowiek w hełmie z dziobem przemówił pierwszy.

– Który z was jest kowalem?

Pytanie było bezsensowne, skórzany fartuch i postura Mikuli zdradzały go na pierwszy rzut oka. Kowal milczał. Uchwycił okiem krótki gest, jaki bladooki wykonał do jednego z Vranów. Vran przechylił się na kulbace i machnął na odlew gizarmą, trzymaną w połowie drzewca. Mikula skurczył się, odruchowo kryjąc głowę w ramiona. Cios nie był jednak przeznaczony dla niego. Brzeszczot ugodził Czopa w szyję i wciął się skośnie, głęboko, druzgocąc obojczyk i kręgi. Chłopiec runął plecami na ścianę kuźni, zatoczył się na słup przy drzwiach i zwalił na ziemię, w samym wejściu.

– Pytałem – przypomniał człowiek w dziobowatym hełmie, nie spuszczając z Mikuli oka. Dłonią w rękawicy dotykał topora, zawieszonego u siodła. Dwaj Vranowie, stojący najdalej, krzesali ogień, zapalali smolne łuczywa, rozdawali innym. Spokojnie, bez pośpiechu, stępa, okrążali kuźnię, przykładali żagwie do strzechy.

Radim nie wytrzymał. Zakrył twarz dłońmi, zaszlochał i ruszył prosto przed siebie, pomiędzy dwa konie. Gdy zrównał się z wysokim Vranem, ten z rozmachem wbił mu dzidę w brzuch. Stelmach zawył, upadł, dwukrotnie podkurczył i rozprostował nogi. Znieruchomiał.

– No i co, Mikula, czy jak ci tam – powiedział bladooki. – Zostałeś sam. I po co ci to było? Ludzi buntować, po pomoc gdzieś tam posyłać? Myślałeś, że się nie dowiemy? Głupi jesteś. Są po wsiach i tacy, co doniosą, byle się przypodobać.

Strzecha na kuźni trzeszczała, stękała, buchała brudnym, żółtawym dymem, wreszcie huknęła, ryknęła płomieniami, sypnęła iskrami, czknęła potężnym oddechem żaru.

– Twojego czeladnika dopadliśmy, wyśpiewał, dokąd go posyłałeś. Na tego, co ma przyjść z Mayeny, też czekamy – kontynuował człowiek w hełmie z dziobem. – Tak, Mikula. Wepchnąłeś swój parszywy nos tam, gdzie nie należało go wpychać. Za to spotka cię zaraz poważna nieprzyjemność. Tak myślę, że warto by cię wbić na pal. Znajdzie się tu w obejściu jakiś przyzwoity pal? Albo jeszcze lepiej – zawiesimy cię za nogi na drzwiach stodoły i obedrzemy ze skóry, jak węgorza.

– Dobra, dosyć tego gadania – rzekł wysoki Vran ze słońcem na hełmie, ciskając swoją żagiew w otwarte drzwi kuźni. – Zaraz zleci się tu cała wieś. Kończmy z nim raz dwa, zabierajmy konie ze stajni i odjeżdżajmy. Skąd to się bierze w was, ludziach, to zamiłowanie do katowania, do zadawania męki? W dodatku niepotrzebnej? Dalej, kończ z nim.

Bladooki nie odwrócił głowy w stronę Vrana. Pochylił się w siodle, naparł koniem na kowala.

– Właź – powiedział. W jego bladych oczach tliła się radość mordercy. – Do środka. Nie mam czasu, aby oprawić cię, jak należy. Ale mogę cię przynajmniej usmażyć.

Mikula zrobił krok do tyłu. Na plecach czuł żar płonącej kuźni, huczącej padającymi ze stropu belkami. Jeszcze jeden krok. Potknął się o ciało Czopa i o pręt, który chłopak przewrócił, padając.

Pręt.

Mikula schylił się, błyskawicznie ucapił ciężkie żelazo i nie prostując się, z dołu, z całą siłą, jaką wyzwoliła w nim nienawiść, cisnął pręt prosto w pierś bladookiego. Dłutowato wykute ostrze przeszyło kolczugę.

Kowal nie czekał aż człowiek zwali się z konia. Runął do bie-

gu, na skos przez podwórze. Za nim wrzask, tętent. Dopadł drewutni, wczepił się palcami w kłonicę, opartą o ścianę, natychmiast, z półobrotu, na ślepo, uderzył. Cios spadł prosto na pysk siwka w zielonym kropierzu. Koń stanął dęba, zwalając w pył podwórka Vrana ze słońcem na hełmie. Mikula uchylił się, krótka włócznia huknęła w ścianę drewutni, zadygotała. Drugi Vran, dobywając miecza, spiął konia, uchodząc przed świszczącym zamachem kłonicy. Trzej następni szarżowali, wrzeszcząc, wywijając bronią. Mikula stęknął, otaczając się straszliwym młyńcem ciężkiego drąga. Trafił coś, znowu konia, który zarżał i zatańczył na tylnych nogach. Vran utrzymał się w siodle.

Nad płotem, od strony lasu, przeleciał koń, wyciągnięty w skoku, zderzając się z siwkiem w zielonym kropierzu. Siwek spłoszył się, targnął uzdą, przewracając wysokiego Vrana, usiłującego go dosiąść. Mikula, nie wierząc własnym oczom spostrzegł, że nowy jeździec rozdwaja się – na pokurcza w kapturze, schylonego nad końskim karkiem i na jasnowłosego mężczyznę z mieczem, siedzącego z tyłu.

Długa, wąska klinga miecza opisała dwa półkola, dwie błyskawice. Dwóch Vranów zmiotło z siodeł, runęli na ziemię w obłoku kurzu. Trzeci, zapędzony aż pod drewutnię, odwrócił się ku dziwnej parze i dostał sztych pod brodę, tuż ponad stalowy napierśnik. Ostrze miecza zalśniło, na moment wyzierając z tyłu karku. Jasnowłosy ześlizgnął się z konia i przebiegł przez podwórze, odciskając wysokiego Vrana od jego wierzchowca. Vran dobył miecza.

Piąty Vran kręcił się pośrodku podwórza, usiłując opanować tańczącego konia, boczącego się na płonącą kuźnię. Ze wzniesionym berdyszem rozglądał się, wahał. Wreszcie wrzasnął, uderzył konia ostrogami i runął na pokurcza, uczepionego końskiej grzywy. Mikula zobaczył, jak malec odrzuca kaptur i zrywa z czoła opaskę, spostrzegł pomyłkę. Dziewczyna wstrząsnęła rudą grzywą i krzyknęła niezrozumiale, wyciągając dłoń w stronę szarżującego Vrana. Z jej palców trysnęła cienka smużka światła, jasnego jak rtęć. Vran wyfrunął z siodła, zatoczył w powietrzu łuk i zwalił się na piasek. Jego ubranie dymiło. Koń, bijąc ziemię wszystkimi czterema kopytami, rżał, trząsł łbem.

Wysoki Vran ze słońcem na hełmie cofał się powoli przed jasnowłosym ku płonącej kuźni, zgarbiony, obie ręce – w prawej miecz – wysuwając przed siebie. Jasnowłosy przyskoczył, ścięli się raz, drugi. Miecz Vrana poleciał w bok, a on sam, głową do przodu, zawisł na przeszywającym go ostrzu. Jasnowłosy cofnął się, szarpnął, wyrwał miecz. Vran upadł na kolana, przechylił się, zarył twarzą w ziemię.

Jeździec, wysadzony z siodła błyskawicą rudowłosej, uniósł się na czworaki, macał dookoła w poszukiwaniu broni. Mikula otrząsnął się z zaskoczenia, zrobił dwa kroki, wzniósł kłonicę i spuścił ją na kark powalonego. Chrupnęła kość.

– Niepotrzebnie – usłyszał tuż obok siebie.

Dziewczyna w męskim stroju była piegowata i zielonooka. Na jej czole błyszczał dziwny klejnot.

– Niepotrzebnie – powtórzyła.

– Pani wielmożna – zająknął się kowal, trzymając swój drąg jak gwardzista halabardę. – Kuźnia... Spalili. Chłopaka zabili, zasiekli. I Radima. Zasiekli, zbóje. Pani...

Jasnowłosy obrócił nogą ciało wysokiego Vrana, przyjrzał mu się, po czym podszedł, chowając miecz.

– No, Visenna – powiedział – teraz to już wmieszałem się na dobre. Jedno, co mnie niepokoi, to czy aby porąbałem tych, co trzeba.

– Tyś jest kowal Mikula? – spytała Visenna, zadzierając głowę.

– Ja. A wyście z Druidzkiego Kręgu, wielmożni? Z Mayeny?

Visenna nie odpowiedziała. Patrzyła na skraj lasu, na zbliżającą się biegiem gromadę ludzi.

– To swoi – rzekł kowal. – Z Klucza.



– Dostalim trzech! – grzmiał czarnobrody przywódca grupy z Poroga, potrząsając kosą osadzoną na sztorc. – Trzech, Mikula! Za dziewkami na pola przygnali, i tam my ich... Jeden ledwo zdołał ujść, konia dopadł, psi syn!

Oddział, stłoczony na polanie, wewnątrz kręgu ognisk, znaczących czerń nocnego nieba punkcikami lecących iskier, wrzeszczał, pohukiwał, wymachiwał orężem. Mikula wzniósł ręce, uciszał, chcąc posłuchać dalszych relacji.

– Do nas wczoraj z wieczora przyskakało czterech – rzekł stary, chudy jak tyka sołtys z Kaczana. – Po mnie. Musiał ktoś donieść, żem się z wami zgadywał, kowalu. Zdążyłem na stryszek w stodole, drabinę wciągnąłem, widły w garść, chodźcie, wołam, psie krwie, no, który, wołam. Wzięli się stodółkę palić, już by po mnie było, ale ludziska nie strzymali, poszli na nich kupą. Tamci w konie, przebili się. Naszych parę padło, ale jednego z siodła zmietlim.

– Żyw? – spytał Mikula. – Słałem wam, żeby którego żywym wziąć.

– Eeee – żachnął się tykowaty. – Nie zdążylim. Baby wzięły wrzątku, podleciały pierwsze...

– Zawszem mówił, że w Kaczanie gorące baby – mruknął kowal, drapiąc się w kark. – A tego, co donosił?

– Znaleźlim – krótko rzekł chudzielec, nie wdając się w szczegóły.

– Dobrze. A teraz słuchajcie, gromada. Gdzie tamci siedzą, wiemy już. Na podgórzu, obok owczarskich szałasów, są jamy w skale. Tamój zbóje zapadły, i tam ich dostaniem. Siana, chrustu weźmiem na wozy, wykurzymy ich jak borsuków. Drogę zasiekiem zawalim, nie ujdą. Takem z tym oto rycerzem, co się zwie Korin, uradził. A i mnie, jako wiecie, wojaczka nie pierwszyzna. Z wojewodą Grozimem na Vranów chadzałem czasu wojny, zanim w Kluczu osiadłem.

Z ciżby znów rozległy się bojowe okrzyki, ale szybko ścichły, przyduszone słowem, zrazu wypowiadanym cicho, niepewnie. Potem coraz głośniej. Wreszcie zapadła cisza.

Visenna wysunęła się zza pleców Mikuli, stanęła u boku kowala. Nie sięgała mu nawet do ramienia. Tłum zaszemrał. Mikula znowu uniósł obie dłonie.

– Przyszedł czas taki – zawołał – że nie ma co dłużej w tajemnicy kryć, żem po pomoc posłał do druidów z Kręgu, gdy komes z Mayeny pomocy nam odmówił. Nie nowina mi, że mnodzy z was krzywo na to patrzą.

Tłum umilkł z wolna, lecz wciąż falował, pomrukiwał.

– Oto jest pani Visenna – rzekł Mikula wolno – z mayeńskiego Kręgu. Na pomoc nam pośpieszyła na pierwsze wezwanie. Ci, co są z Klucza, znają ją już, ludzi tam leczyła, uzdrawiała mocą swoją. Tak, chłopy. Pani to maleńka, ale moc jej wielka. Ponad zrozumienie nasze owa moc, i straszna nam, ale przecież ku pomocy nam posłuży!

Visenna nie odezwała się ani słowem, nie przemówiła ani nie uczyniła żadnego gestu w stronę zebranych. Ale ukryta moc tej małej, piegowatej czarodziejki była niewiarygodna. Korin ze zdumieniem poczuł, że przepaja go dziwny entuzjazm, że obawa przed tym czymś, co kryje się na przełęczy, obawa przed niewiadomym, znika, rozwiewa się, przestaje istnieć, staje się nieważna, tak długo, jak długo błyszczy świetlisty klejnot na czole Visenny.

– Tak widzicie – ciągnął Mikula – i na owego kościeja sposób się znajdzie. Nie sami idziemy, nie bezbronni. Ale wprzódy tamtych zbójów wybić mus nam!

– Mikula praw! – wrzasnął brodacz z Poroga. – Co nam, czary, nie czary! Na przełęcz, chłopy! Na pohybel kościejowym!

Tłum huknął jednym głosem, płomień ognisk rozbłysnął na ostrzach wzniesionych kos, pik, siekier i wideł.

Korin przedarł się przez ciżbę, wycofał pod las, odnalazł kociołek zawieszony nad ogniskiem, miskę i łyżkę. Wydrapał z dna kotła resztkę przypalonej kaszy ze skwarkami. Usiadł, oparł miskę na kolanach, jadł powoli, wypluwając łuski jęczmienia. Po chwili poczuł obok siebie czyjąś obecność.

– Siadaj, Visenna – powiedział z pełnymi ustami.

Jadł dalej, zerkając na jej profil, wpół przysłonięty kaskadą włosów, czerwonych jak krew w blasku ognia. Visenna milczała, zapatrzona w płomienie.

– Hej, Visenna, czemu siedzimy jak dwa puszczyki? – Korin odstawił miskę. – Ja tak nie mogę, zaraz robi mi się smutno i zi-

mno. Gdzie oni schowali ten samogon? Dopiero co stał tu dzbanek, zaraza z nim. Ciemno, jak w...

Druidka odwróciła się ku niemu. Jej oczy świeciły dziwnym, zielonkawym blaskiem. Korin zamilkł.

– Tak. Zgadza się – powiedział po chwili i odkaszlnął. – Jestem złodziej. Najemnik. Rabuś. Wmieszałam się, bo lubię bijatyki, wszystko mi jedno, z kim się biję. Wiem, jaka jest cena jaspisu, jadeitu i innych kamieni, jakie jeszcze trafiają się w kopalniach Amell. Chcę się obłowić. Jest mi obojętne, ilu z tych ludzi jutro zginie. Co jeszcze chcesz wiedzieć? Sam powiem, niepotrzebnie używasz tej błyskotki, schowanej pod wężową skórką. Nie zamierzam niczego ukrywać. Masz rację, nie pasuję ani do ciebie, ani do twojej szlachetnej misji. To wszystko. Dobranoc. Idę spać.

Wbrew słowom, nie wstał. Chwycił tylko kij i dźgnął nim kilkakrotnie płonące głownie.

– Korin – rzekła Visenna cicho.

– Tak?

– Nie odchodź.

Korin spuścił głowę. Z brzozowego polana w ognisku buchały niebieskawe gejzery płomienia. Spojrzał na nią, ale nie mógł znieść widoku niesamowicie błyszczących oczu. Odwrócił głowę z powrotem w stronę ognia.

– Nie wymagaj od siebie za wiele – powiedziała Visenna, owijając się płaszczem. – Tak już jest, że to, co nienaturalne, budzi strach. I wstręt.

– Visenna...

– Nie przerywaj mi. Tak, Korin, ludzie potrzebują naszej pomocy, są za nią wdzięczni, często nawet szczerze, ale brzydzą się nami, boją się nas, nie patrzą nam w oczy, spluwają za plecami. Mądrzejsi – jak ty – są mniej szczerzy. Nie jesteś wyjątkiem, Korin. Od wielu już słyszałam, że nie są dostatecznie godni, by siedzieć ze mną przy jednym ognisku. A zdarza się, że to my potrzebujemy pomocy tych... normalnych. Albo ich towarzystwa.

Korin milczał.

– Wiem – ciągnęła Visenna – że byłoby ci łatwiej, gdybym miała siwą brodę do pasa i haczykowaty nos. Wówczas wstręt do mojej osoby nie powodowałby takiego zamieszania w twojej głowie. Tak, Korin, wstręt. Ta błyskotka, którą noszę na czole, to chalcedon – jemu w dużej mierze zawdzięczam moje zdolności magiczne. Masz rację, z pomocą chalcedonu udaje mi się czytać co wyraźniejsze myśli. Twoje są aż nadto wyraźne. Nie wymagaj, żeby mi było z tego powodu przyjemnie. Jestem czarownicą, wiedźmą, ale oprócz tego kobietą. Przyszłam tu bo... bo chciałam ciebie.

– Visenna...

– Nie. Teraz już nie chcę.

Siedzieli w milczeniu. Pstrokaty ptak, w głębi lasu, w ciemnościach, na gałęzi drzewa, czuł strach. W lesie były sowy.

– Z tym wstrętem – odezwał się wreszcie Korin – lekko przesadziłaś. Przyznaję jednak, że budzisz we mnie coś w rodzaju... niepokoju. Nie powinnaś była pozwolić, bym oglądał to, wtedy, na rozstaju. Ten trup, wiesz?

– Korin – rzekła czarodziejka spokojnie. – Kiedy ty, pod kuźnią, wbiłeś Vranowi miecz w gardło, ja o mało nie wyrzygałam się na grzywę konia. Miałam kłopoty z utrzymaniem się w siodle. Ale zostawmy nasze specjalności w spokoju. Skończmy rozmowę, która prowadzi donikąd.

– Skończmy, Visenna.

Czarodziejka szczelniej otuliła się płaszczem. Korin dorzucił do ogniska kilka szczap.

– Korin?

– Tak?

– Chciałabym, żeby przestało ci być obojętne, ilu ludzi jutro zginie. Ludzi i... i innych. Liczę na twoją pomoc.

– Pomogę ci.

– To jeszcze nie wszystko. Zostaje sprawa przełęczy. Muszę otworzyć drogę przez Klamat.

Korin wskazał żarzącym się końcem patyka inne ogniska i ułożonych przy nich ludzi, uśpionych lub pogrążonych w cichych rozmowach.

– Z naszą wspaniałą armią – powiedział – nie powinniśmy z tym mieć kłopotów.

– Nasza armia zwieje do domów w momencie, w którym przestanę ich otumaniać czarami – uśmiechnęła się smutno Visenna. – A ja nie będę ich otumaniać. Nie chcę, żeby któryś z nich zginął w walce nie za swoją sprawę. A kościej to nie jest ich sprawa, tylko sprawa Kręgu. Muszę iść sama na przełęcz.

– Nie. Sama nie pójdziesz – rzekł Korin. – Pójdziemy tam razem. Ja, Visenna, od dziecka wiedziałem, kiedy należy uciekać, a kiedy jeszcze za wcześnie. Wiedzę tę doskonaliłem przez lata praktyki i dzięki temu uchodzę obecnie za odważnego. Nie mam zamiaru narażać swojej opinii. Nie musisz mnie otumaniać czarami. Najpierw zobaczymy, jak ten kościej wygląda. Nawiasem mówiąc, według ciebie, co to jest, ten kościej?

Visenna pochyliła głowę.

– Obawiam się – szepnęła – że to jest śmierć.

VI

Tamci nie dali się zaskoczyć w jaskiniach. Czekali w siodłach, nieruchomi, wyprostowani, wpatrzeni w wychodzące z lasu szeregi uzbrojonych chłopów. Wiatr, targający ich płaszczami, upodabniał ich do wychudłych, drapieżnych ptaków o postrzępionych piórach, groźnych, budzących respekt i strach.

– Osiemnastu – policzył Korin, stając w strzemionach. – Wszyscy konno. Sześć luzaków. Jeden wóz. Mikula!

Kowal szybko przeformował swój oddział. Uzbrojeni w piki i oszczepy przyklękli na skraju zarośli, wbijając tylce broni w ziemię. Łucznicy wybrali pozycje za drzewami. Reszta wycofała się w gąszcz.

Jeden z jeźdźców ruszył w ich stronę, zbliżył się. Wstrzymał konia, uniósł rękę nad głową, coś krzyknął.

– Podstęp – mruknął Mikula. – Znam ich, psich synów.

– Przekonamy się – rzekł Korin, zeskakując z kulbaki. – Chodź.

Wolno podeszli do konnego, we dwu. Po chwili Korin spostrzegł, że Visenna idzie za nimi.

Jeździec był Bobołakiem.

– Będę mówił krótko – zawołał, nie zsiadając z konia. Jego małe, błyszczące oczka migotały, w pół skryte w futrze, porastającym twarz. – Jestem obecnym dowódcą grupy, którą tam widzicie. Dziewięciu Bobołaków, pięciu ludzi, trzech Vranów, jeden Elf. Reszta nie żyje. Doszło między nami do nieporozumień. Nasz były przywódca, którego pomysły tutaj nas sprowadziły, jest tam w jaskini, związany. Zrobicie z nim, co zechcecie. My chcemy odjechać.

– W rzeczy samej, mowa była krótka – parsknął Mikula. – Wy chcecie odjechać. A my chcemy wypruć z was flaki. Co ty na to?

Bobołak błysnął szpiczastymi zębami, prostując w siodle swą maleńką postać.

– Myślisz, że paktuję ze strachu przed wami, przed waszą bandą zasrańców w słomianych łapciach? Proszę bardzo, jeśli chcecie, przejedziemy wam po brzuchach. To nasze rzemiosło, chłopie. Wiem czym ryzykujemy. Nawet jeśli część padnie, reszta przejedzie. Takie jest życie.

– Wóz nie przejedzie – wycedził Korin. – Takie jest życie.

– To już wasze zmartwienie.

– Co jest na wozie?

Bobołak splunął przez prawe ramię.

– Jedna dwudziesta tego, co zostało w jaskini. I żeby wszystko było jasne – każecie zostawić wóz, nie ma zgody. Jeżeli mamy wyjść z tej hecy bez profitu, to wolimy ze świadomością, że nie bez walki. No, jak będzie? Jeżeli mamy się bić, to wolę teraz, rano, zanim słonko nie zacznie przypiekać.

– Śmiały jesteś – powiedział Mikula.

– Wszyscy tacy w mojej rodzinie.

– Puścimy was, jeśli złożycie broń.

Bobołak splunął ponownie, dla odmiany przez lewe ramię.

– Nic z tego – warknął krótko.

– Tu cię boli – zaśmiał się Korin – bez broni jesteście śmiecie.

– A ty czym jesteś bez broni? – zapytał karzeł bez emocji. –

Królewiczem? Przecież widzę, coś za jeden. Myślisz, że jestem ślepy?

– Z bronią gotowiście jutro wrócić – powiedział wolno Mikula. – Choćby po resztę tego, co zostało w jaskini, jako powiadasz. Po jeszcze większy profit.

Bobołak wyszczerzył zęby.

– Był taki pomysł. Ale zrezygnowaliśmy z niego po krótkiej dyskusji.

– Bardzo słusznie – rzekła nagle Visenna, wysuwając się przed Korina, stając też przed konnym. – Bardzo słusznie, że zrezygnowaliście, Kehl.

Korinowi wydało się, że wiatr raptownie się wzmógł, zawył wśród skał i traw, uderzył zimnem. Visenna mówiła dalej, nie swoim, metalicznym głosem:

– Każdy z was, który spróbuje tu wrócić, umrze. Widzę to i przepowiadam. Odejdźcie stąd natychmiast. Natychmiast. Zaraz. Każdy, kto spróbuje wrócić, umrze.

Bobołak pochylił się, spojrzał na czarodziejkę znad końskiego karku. Nie był młody – futro miał już prawie popielate, upstrzone białymi kosmykami.

– To ty? Tak myślałem. Rad jestem, że... Mniejsza z tym. Powiedziałem, że nie zamierzamy tu wracać. Dołączyliśmy do Fregenala dla zarobku. To się skończyło. Teraz mamy na karku Krąg i całe wsie, a Fregenal zaczął bredzić o władzy nad światem. Mamy dość i jego i tego straszydła z przełęczy.

Szarpnął wodzami, obrócił konia.

– Po co ja to mówię? Odchodzimy. Bywajcie w zdrowiu.

Nikt mu nie odpowiedział. Bobołak zawahał się, spojrzał na skraj lasu, potem obejrzał się na nieruchomy szereg swoich jeźdźców. Znowu pochylił się w siodle, i zajrzał w oczy Visenny.

– Byłem przeciwny zamachowi na ciebie – powiedział. – Teraz widzę, że słusznie. Jeśli ci powiem, że kościej to śmierć, to i tak pójdziesz na przełęcz?

– Prawda.

Kehl wyprostował się, krzyknął na konia, pocwałował do swoich. Po chwili konni formując kolumnę, otaczając wóz, ruszyli w stronę drogi. Mikula już był przy swoich, perorował, uspokajał brodacza z Poroga oraz innych, żądnych krwi i zemsty. Korin i Visenna w milczeniu obserwowali mijający ich oddział. Tamci jechali wolno, patrząc przed siebie, demonstrując spokój i zimną pogardę. Jedynie Kehl, mijając ich, uniósł lekko dłoń w pożegnalnym geście, z dziwnym grymasem na twarzy przypatrując się Visennie. Potem raptownie poderwał konia, popędził na czoło kolumny, zniknął wśród drzew.

VII

Pierwszy trup leżał przy samym wejściu do pieczar, stłamszony, wciśnięty między worki z owsem i kupę chrustu. Korytarz rozwidlał się, tuż za rozwidleniem leżały następne dwa – jeden prawie zupełnie pozbawiony głowy uderzeniem maczugi lub obucha, drugi pokryty zakrzepłą krwią z licznych ran. Wszyscy byli ludźmi.

Visenna zdjęła opaskę z czoła. Z diademu emanował blask, jaśniejszy od światła pochodni, oświetlając mroczne wnętrze jamy. Korytarz wiódł do większej pieczary. Korin zagwizdał cichutko przez zęby.

Pod ścianami stały skrzynie, worki i beczki, piętrzyły się stosy końskiej uprzęży, bele wełny, broń, narzędzia. Kilka skrzyń było rozbitych i pustych. Inne były pełne. Przechodząc, Korin widział matowozielone grudki jaspisów, ciemne odłamki jadeitu, agaty, opale, chryzoprazy i inne kamienie, których nie znał. Na kamiennym podłożu, skrzącym się gdzieniegdzie porozrzucanymi punkcikami złotych, srebrnych i miedzianych monet, leżały, ciśnięte bezładnie, pęki futer – bobrów, rysi, lisów, rosomaków.

Visenna, nie zatrzymując się nawet na chwilę, zmierzała do dalszej kawerny, znacznie mniejszej, mrocznej. Korin podążył za nią, tęsknie oglądając się na skrzynie.

– Tutaj jestem – odezwał się ciemny, niewyraźny kształt, leżący na stosie szmat i skór, pokrywających ziemię.

Zbliżyli się. Skrępowany człowiek był niski, łysy, otyły. Ogromny siniak pokrywał mu połowę twarzy.

Visenna dotknęła diademu, chalcedon na sekundę rozbłysnął jaśniejszym światłem.

– To niepotrzebne – rzekł skrępowany. – Znam cię. Zapomniałem, jak cię nazywali. Wiem, co masz na czole. To niepotrzebne, mówię. Napadli mnie podczas snu, zabrali mój pierścień, zniszczyli różdżkę. Jestem bezsilny.

– Fregenal – powiedziała Visenna – zmieniłeś się.

– Visenna – mruknął grubas. – Przypomniałem sobie. Nie spodziewałem się, że przyślą ciebie. Myślałem, że to będzie mężczyzna, dlatego posłałem Manissę. Z mężczyzną moja Manissa poradziłaby sobie.

– Nie poradziła sobie – pochwalił się Korin, patrząc dookoła. – Chociaż trzeba oddać nieboszczce sprawiedliwość. Starała się jak mogła.

– Szkoda.

Visenna rozejrzała się po jaskini, pewnym krokiem skierowała się do kąta, czubkiem buta odwróciła kamień, z jamki pod nim wydobyła gliniany garnuszek, zawiązany natłuszczoną skórą. Rozcięła rzemyk swoim złotym sierpem, wyciągnęła zwój pergaminu. Fregenal przyglądał się jej złowrogo.

– Proszę, proszę – powiedział drżącym ze złości głosem. – Co za talent, pogratulować. Umiemy znajdować ukryte rzeczy. Co jeszcze umiemy? Wróżyć z baranich kiszek? Leczyć wzdęcie u jałówek?

Visenna przeglądała kartę po karcie, nie zwracając na niego uwagi.

– Ciekawe – rzekła po chwili. – Jedenaście lat temu, kiedy wypędzono cię z Kręgu, zginęły pewne strony z Zakazanych Ksiąg. Dobrze, że się znalazły i to wzbogacone komentarzem. Że też odważyłeś się zastosować Podwójny Krzyż Alzura, no, no. Nie sądzę, żebyś nie pamiętał, jak skończył Alzur. Kilka jego stworów podobno jeszcze krąży po świecie, w tym również ten ostatni, wij, który zmasakrował go i zrujnował pół Maribora, zanim nie uciekł w las na Zarzeczu.

Złożyła kilka pergaminów na czworo, schowała do kieszeni na bufiastym rękawie kaftana. Rozwinęła następne.

– Aha – powiedziała, marszcząc czoło. – Wzór Drzewokorzenia, nieznacznie zmieniony. A tutaj Trójkąt w Trójkącie, sposób na wywołanie serii mutacji i ogromnego przyrostu masy ciała. A cóż to posłużyło ci za stworzenie wyjściowe, Fregenal? Co to jest? Wygląda, jak zwykły spałęk. Fregenal, czegoś tu brakuje. Wiesz o czym mówię, mam nadzieję?

– Cieszę się, że zauważyłaś – wykrzywił się czarownik. – Zwykły spałęk, powiadasz? Kiedy ten zwykły spałęk wyjdzie z przełęczy, świat oniemieje ze zgrozy. Na chwilę. A potem zacznie krzyczeć.

– Dobrze, dobrze. Gdzie są zaklęcia, których tu brakuje?

– Nigdzie. Nie chciałem, by dostały się w niewłaściwe ręce. Zwłaszcza w wasze. Wiem, że cały Krąg marzy o władzy, jaką można mieć dzięki nim, ale nic z tego. Nigdy nie uda się wam stworzyć niczego choćby w połowie tak groźnego, jak mój kościej.

– Zdaje się, że bito cię po głowie, Fregenal – powiedziała Visenna spokojnie. – I temu też należy przypisać, że nie odzyskałeś jeszcze zdolności myślenia. Kto tu mówi o tworzeniu? Twojego potwora trzeba będzie zniszczyć, unicestwić. Prostym sposobem, rewersując wiążące zaklęcia, to znaczy Efektem Zwierciadła. Oczywiście, wiążące zaklęcie było dostrojone do twojej różdżki, więc trzeba będzie przestroić je na mój chalcedon.

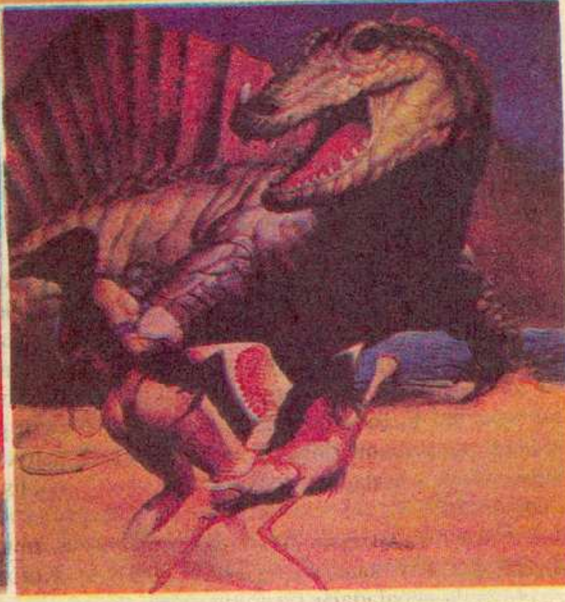
– Dużo tych „trzeba będzie" – warknął grubas. – Możesz tu siedzieć i trzeba będzie do sądnego dnia, moja ty przemądrzała panno. Skąd śmieszny pomysł, że zdradzę ci wiążące zaklęcie? Nie wyciągniesz ze mnie nic, ani żywego, ani umarłego. Mam blokadę. Nie wybałuszaj się na mnie tak, bo ten kamyk przepali ci czoło. Jazda, rozwiążcie mnie, bo zdrętwiałem.

– Chcesz, to kopnę cię parę razy. – Korin uśmiechnął się. – To ci pobudzi krążenie. Zdaje się, że nie pojmujesz swojego położenia, łysa pało. Za chwilę wpadną tu chłopi, którym mocno dokuczyła twoja banda. Słyszałem, że planują rozerwać cię na

Piękna, a BESTIA

Peter Jones





sztuki czwórką koni. Widziałeś kiedyś, jak to się odbywa? Najpierw urywają się ręce.

Fregenal naprężył kark, wybałuszył oczy i spróbował napluć Korinowi na buty, ale z pozycji, w jakiej się znajdował było to trudne – obryzgał sobie tylko brodę.

– Tyle – parsnął – tyle sobie robię z waszych gróźb! Nie zrobicie mi nic! Co ty sobie wyobrażasz, włóczęgo? Wpadłeś w środek spraw, które cię przerastają! Zapytaj jej, po co tu jest! Visenna! Uświadom go, zdaje się, że uważa cię za szlachetną wybawczynię uciemiężonych, bojowniczkę o dobrobyt biedaków! A tu idzie o pieniądze, kretynie! O ciężkie pieniądze!

Visenna milczała. Fregenal wyprężył się, skrzypiąc powrozami, z wysiłkiem przewrócił się na bok, zginając nogi w kolanach.

– Może to nieprawda – wrzasnął – że Krąg przysłał cię tu byś odkręciła złoty kurek, z którego przestało ciec?! Bo Krąg czerpie zyski z wydobycia jaspisu i jadeitu i pobiera haracz od kupców i karawan w zamian za ochronne amulety, które jednak, jak się okazało, nie działają na mojego kościeja!

Visenna nie odezwała się. Nie patrzyła na związanego. Patrzyła na Korina.

– Aha! – zawołał czarownik. – Nawet nie zaprzeczasz! A więc to już wiedza ogólnie dostępna. Dawniej wiedziała o tym tylko starszyzna, a smarkaczy takich jak ty utrzymywało się w przekonaniu, że Krąg jest powołany tylko do walki ze Złem. Nie dziwi mnie to. Świat się zmienia, ludzie powoli zaczynają rozumieć, że bez czarów i czarowników można się obejść. Ani się obejrzycie, jak będziecie bezrobotni, zmuszeni żyć z tego, coście do tej pory nakradli. Nic was nie obchodzi, tylko zyski. Dlatego też rozwiążcie mnie natychmiast. Nie zabijecie mnie ani nie wydacie na śmierć, bo naraziłoby to Krąg na dalsze straty. A tego Krąg wam nie daruje, to jasne.

– To nie jest jasne – rzekła zimno Visenna, splatając ręce na piersi. – Widzisz, Fregenal, smarkate, takie jak ja, nie zwracają zbytniej uwagi na dobra doczesne. Co mi tam, czy Krąg straci, czy zyska, czy w ogóle przestanie istnieć. Zawsze mogę utrzymać się z leczenia wzdęcia u jałówek, albo impotencji u takich grzybów, jak ty. Ale to nie jest ważne. Ważne jest to, że chcesz żyć, Fregenal, i z tego to powodu mielesz ozorem. Każdy chce żyć. Dlatego zaraz, tu, na miejscu, zdradzisz mi wiążące zaklęcie. Potem pomożesz mi odnaleźć tego kościeja i zniszczyć go. A jeśli nie... Cóż, pójdę sobie do lasu, pospaceruję. Potem będę mogła powiedzieć w Kręgu, że nie upilnowałam rozwścieczonych chłopów.

– Zawsze byłaś cyniczna. – Czarownik zazgrzytał zębami. – Nawet wtedy, w Mayenie. Zwłaszcza w kontaktach z mężczyznami. Miałaś czternaście lat, a już wiele się mówiło o twoich...

– Przestań, Fregenal – przerwała druidka. – To, co mówisz, nie robi na mnie żadnego wrażenia. Na nim też nie. Nie jest moim kochankiem. Powiedz, że się zgadzasz. I kończmy z tą zabawą. Bo przecież się zgadzasz.

Fregenal łypnął białkami oczu, odwrócił głowę.

– Pewnie, że tak – wycharczał. – Masz mnie za idiotę? Każdy chce żyć.

VIII

Fregenal zatrzymał się, wierzchem dłoni otarł spocone czoło.

– Tam, za tą skałą, zaczyna się wąwóz. Na starych mapach oznaczony jest jako Dur–tan–Orit, Mysi Jar. To brama Klamatu. Tutaj musimy zostawić konie. Konno nie mamy najmniejszej szansy, by podejść do niego niepostrzeżenie.

– Mikula – rzekła Visenna, zsiadając. – Zaczekajcie tutaj, do wieczora, nie dłużej. Jeżeli nie wrócę, nie chodźcie na przełęcz pod żadnym pozorem. Wracajcie do domów. Zrozumiałeś, Mikula?

– Kowal kiwnął głową. Było z nim już tylko czterech wieśniaków. Najodważniejszych. Reszta oddziału stopniała po drodze niby śnieg w maju.

– Zrozumiałem, pani – mruknął, łypiąc okiem na Fregenala. – Wszelako dziwno mi, że temu przeklętnikowi ufacie. Po mojemu, chłopi rację mieli. Łeb mu urwać trzeba było. Popatrzcie tylko, pani, na te świńskie oczka, na tę mordę zdradziecką.

Visenna nie odpowiedziała. Przysłoniwszy oczy dłonią, patrzyła na góry, na wejście do wąwozu.

– Prowadź, Fregenal – skomenderował Korin, podciągając pas.

Ruszyli.

Po pół godzinie marszu zobaczyli pierwszy wóz, przewrócony, rozbity. Za nim drugi, ze złamanym kołem. Szkielety koni. Szkielet człowieka. Drugi. Trzeci. Czwarty. Stos. Stos połamanych, pokruszonych kości.

– Ty sukinsynu – rzekł Korin cicho, patrząc na czaszkę, przez oczodoły której przedzierały się już łodygi pokrzyw. – To kupcy, tak? Nie wiem, co mnie powstrzymuje, by...

– Umawialiśmy się... – przerwał Fregenal pospiesznie. – Umawialiśmy się. Powiedziałem wam wszystko, Visenna. Pomagam wam. Prowadzę was. Umawialiśmy się!

Korin splunął. Visenna spojrzała na niego, blada, potem odwróciła się w stronę czarownika.

– Umawialiśmy się – potwierdziła. – Pomożesz mi go odnaleźć i zniszczyć, potem pójdziesz swoją drogą. Twoja śmierć nie przywróci do życia tych, którzy tu leżą.

– Zniszczyć, zniszczyć... Visenna, ostrzegam cię jeszcze raz i powtarzam – wprowadź go w letarg, sparaliżuj, znasz zaklęcia. Ale nie niszcz go. On jest wart majątek. Zawsze możesz...

– Przestań, Fregenal. Rozmawialiśmy już o tym. Prowadź.

Poszli dalej, ostrożnie omijając szkielety.

– Visenna – sapnął Fregenal po chwili. – Zdajesz sobie sprawę z ryzyka? To nie przelewki. Wiesz, z Efektem Zwierciadła bywa różnie. Jeżeli inwersja nie podziała, będzie po nas. Widziałem, co on potrafi.

Visenna zatrzymała się.

– Nie kręć – powiedziała. – Za kogo ty mnie masz? Inwersja podziała, jeżeli...

– Jeżeli nas nie oszukałeś – wtrącił Korin głosem głuchym z wściekłości. – A jeśli nas oszukałeś... Mówiłeś, że widziałeś, co potrafi twój potwór. A czy wiesz, co ja potrafię? Znam takie cięcie, po którym ciętemu zostaje jedno ucho, jeden policzek i pół szczęki. Można to przeżyć, ale nie można już potem, między innymi, grać na flecie.

– Visenna, uspokój tego mordercę – wybełkotał Fregenal, podladły. – Wyjaśnij mu, że nie mogłem cię okłamać, że wyczułabyś...

– Nie gadaj tyle, Fregenal. Prowadź.

Dalej zobaczyli następne wozy. I następne szkielety. Przemieszane, splątane, bielejące w trawie klatki żeber, sterczące z rozpadlin piszczele, upiornie uśmiechnięte czaszki. Korin milczał, ściskając rękojeść miecza w spoconej dłoni.

– Uważajcie – sapnął Fregenal. – Jesteśmy blisko. Idźcie cicho.

– Z jakiej odległości on reaguje? Fregenal, mówię do ciebie.

– Dam ci znak.

Poszli dalej, oglądając się na ściany wąwozu, strome, porośnięte pokracznymi kikutami krzaków, poznaczone smugami żlebów i osypisk.

– Visenna? Wyczuwasz go już?

– Tak. Ale niewyraźnie. Jaka odległość, Fregenal?

– Dam ci znak. Szkoda, że nie mogę ci pomóc. Bez różdżki i pierścienia nie mogę nic zrobić. Jestem bezsilny. Chyba, że...

– Chyba, że co?

– To!

Z szybkością, o jaką trudno go było podejrzewać grubas porwał z ziemi kanciasty odłamek skały i uderzył Visennę w tył głowy. Druidka padła bez jęku twarzą w dół. Korin zamachnął się dobytym mieczem, ale czarownik był niewiarygodnie zwinny. Padł na czworaki, unikając ostrza, przekoziołkował pod nogi Korina i kamieniem, którego nie wypuścił z ręki, grzmotnął go w kolano. Korin zawył, upadł, ból na moment pozbawił go oddechu, a potem falą mdłości runął z trzewi do gardła. Fregenal zerwał się jak kot, zamierzając się do powtórnego uderzenia.

Pstrokaty ptak spadł z góry jak pocisk, ocierając się o twarz czarownika. Fregenal odskoczył, machając rękami, upuścił kamień. Korin, wsparty na łokciu, machnął mieczem, o włos chy-

biając łydkę grubasa, ten zaś odwrócił się i pomknął z powrotem w stronę Mysiego Jaru, wrzeszcząc i rechocząc. Korin próbował wstać i ścigać go, ale próba uniesienia się z ziemi zmroczyła mu oczy ciemnością. Upadł znowu, ciskając za czarownikiem stekiem obrzydliwych wyzwisk.

Fregenal w bezpiecznej odległości obejrzał się, zatrzymał.

– Ty niewydarzona wiedźmo! – zaryczał. – Ty ryża paskudo! Chciałaś przechytrzyć Fregenala? Łaskawie darować mi życie? Myślałaś, że będę spokojnie patrzył, jak go zabijasz?

Korin, nie przestając kląć masował kolano, uspokajał tętniący ból. Visenna leżała bez ruchu.

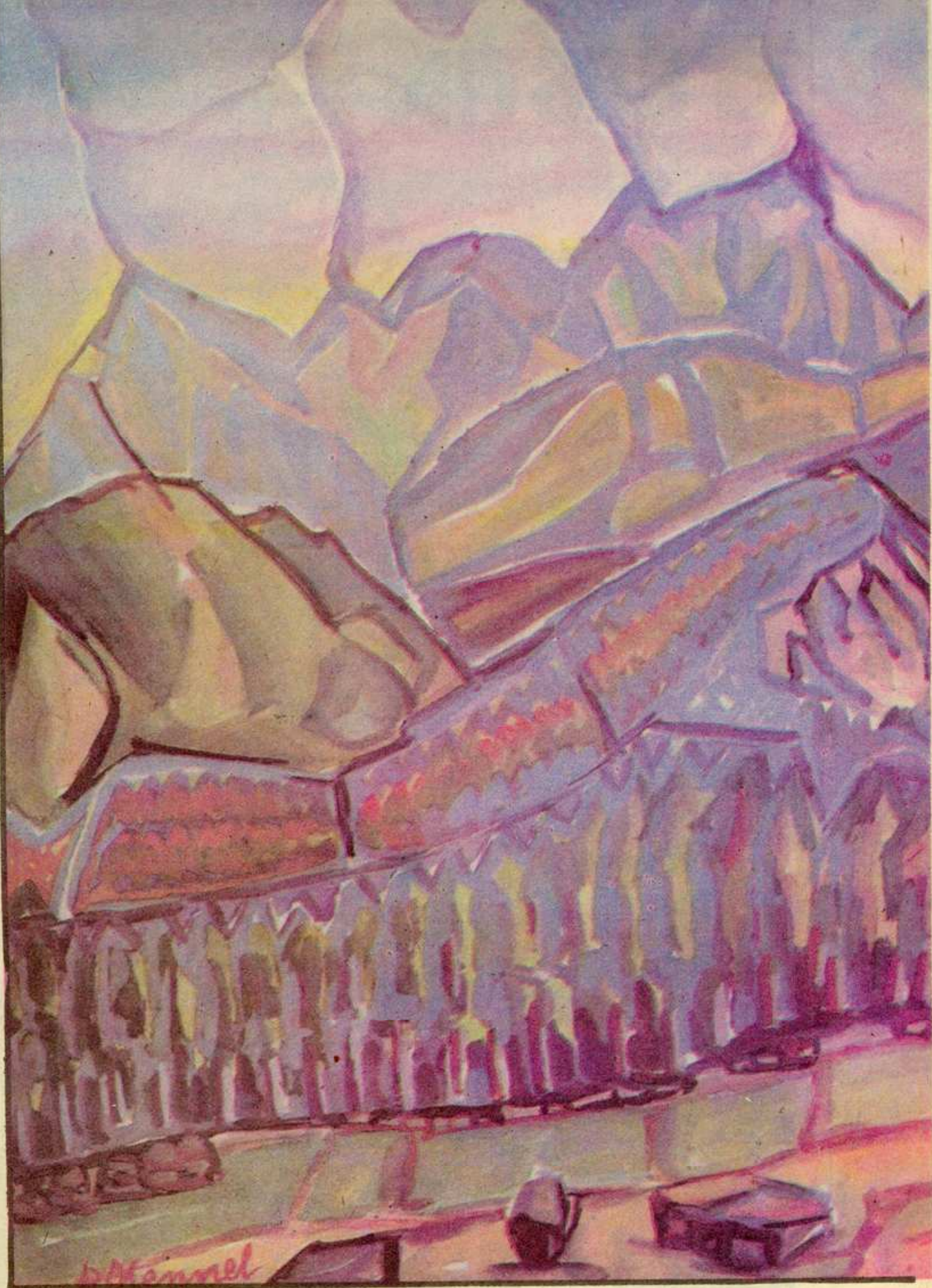
– Idzie! – wrzasnął Fregenal. – Patrzcie! Cieszcie się tym widokiem, bo już za chwilę mój kościej wydusi wam oczy z czaszek! Już idzie!

Korin obejrzał się. Zza skalnego rumowiska, o jakieś sto kroków, wyjrzały gruzłowate stawy zgiętych, pajęczych nóg. Po chwili przez kupę kamieni z grzechotem przetoczył się co najmniej sześciometrowej średnicy tułów, płaski jak talerz, ziemistordzawy, kostropaty, pokryty kolczastymi wyrostkami. Cztery pary nóg postępowały miarowo, wlokąc misowaty korpus przez piarg. Piąta, pierwsza para odnóży, nieproporcjonalnie długich, uzbrojona była w potężne, racze kleszcze, najeżone rzędami ostrych kolców i rogów.

To sen, przeleciało przez głowę Korina. To koszmar. Obudzić cię. Wrzasnąć i obudzić się. Wrzasnąć. Wrzasnąć. Wrzasnąć.

Zapominając o bolącym kolanie, przyskoczył do Visenny, targając jej bezwładnym ramieniem. Włosy druidki przesiąknięte były krwią, już spływającą po karku.

– Visenna... – wykrztusił przez sparaliżowane strachem gardło. – Visenna...



Roman Hennel

Fregenal wybuchnął obłąkańczym rechotem, dudniącym echem o ściany wąwozu. Śmiech zagłuszył kroki Mikuli, nadbiegającego chyłkiem, z toporem w garści. Fregenal spostrzegł się gdy było już za późno. Topór ugodził go w krzyż, nieco powyżej bioder, i wbił się aż po obuch. Czarownik z rykiem bólu runął na ziemię, wyrywając stylisko z rąk kowala. Mikula przydepnął go, wyrwał berdysz, zamachnął się powtórnie. Głowa Fregenala stoczyła się po pochyłości i znieruchomiała, oparta czołem o jedną z czaszek, leżących pod kołami rozbitego wozu.

Korin kusztykał, potykając się na kamieniach, wlokąc Visennę, bezwładną i miękką. Mikula przyskoczył do nich, chwycił dziewczynę, bez wysiłku zarzucił ją sobie na ramię i pobiegł. Korin, choć wyzwolony z ciężaru, nie mógł nadążyć. Zerknął przez ramię, kościej sunął ku niemu, skrzypiąc stawami, wyciągnięte kleszcze rozczesywały rzadką trawę, chrobotały o głazy.

– Mikula! – wrzasnął Korin rozpaczliwie.

Kowal obejrzał się, złożył Visennę na ziemi, podbiegł do Korina, wsparł go, razem pobiegli. Kościej przyspieszył, unosząc kolczaste łapy.

– Nie damy rady – sapnął Mikula, oglądając się. – Nie ujdziemy...

Dopadli Visenny, leżącej na wznak.

– Wykrwawi się – jęknął Mikula.

Korin przypomniał sobie. Zerwał z paska Visenny jej sakiewkę, wytrząsnął zawartość, nie zwracając uwagi na inne przedmioty chwycił rdzawy, pokryty runicznymi znakami minerał, rozgarnął rude, zmoczone krwią włosy, przycisnął hematyt do rany. Krew momentalnie przestała płynąć.

– Korin! – wrzasnął Mikula.

Kościej był blisko. Szeroko rozpostarł łapy, zębate szczypce rozwarły się. Mikula widział obracające się na słupkach oczy potwora i zgrzytające pod nimi półksiężycowate szczęki. Pełznąc, kościej syczał rytmicznie – tss, tss, tss...

– Korin!

Korin nie reagował, szeptał coś, nie odrywając hematytu od rany. Mikula dopadł, szarpnął go za ramię, oderwał od Visenny, porwał druidkę w ramiona. Pobiegli. Kościej, ani na moment nie przestając syczeć, uniósł łapy, zazgrzytał po skale chitynowym brzuchem i szparko popędził za nimi. Mikula zorientował się, że nie mają szans.

Od strony Mysiego Jaru pędził w karkołomnym galopie jeździec w skórzanym kubraku, w misiurce z żelaznych kółek, ze wzniesionym nad głową szerokim mieczem. W kosmatej twarzy płonęły małe oczka, błyskały szpiczaste zęby.

Z bojowym okrzykiem Kehl runął na kościeja. Zanim jednak dopadł potwora, straszliwe łapy zwarły się, chwytając konia w kolczaste kleszcze. Bobołak wyleciał z siodła, poturlał się po ziemi.

Kościej bez widocznego wysiłku uniósł konia w kleszczach i nabił go na ostry szyp, sterczący z przodu tułowia. Sierpowate

☞

a BESTIA

Peter Jones



żuchwy zwarły się, krew zwierzęcia bluzgnęła na kamienie, z rozciętego brzucha buchnęły na ziemię parujące wnętrzności.

Mikula podskoczył, podniósł z ziemi Bobołaka, ten jednak odepchnął go, porwał miecz, wrzasnął tak, że zagłuszył przedśmiertne kwiki konia i skoczył na kościeja. Z małpią zręcznością prześlizgnął się pod kościstym łokciem potwora i ciął, z całej siły, prosto w słupkowate oko. Kościej zasyczał, puścił konia, rozrzucił łapy na boki, zawadzając Kehla ostrymi kolcami, podrywając z ziemi, ciskając w bok, na piarg. Kehl zwalił się na skały, wypuszczając miecz. Kościej wykonał półobrót, sięgnął szczypcami i capnął go. Mała figurka Bobołaka zawisła w powietrzu.

Mikula ryknął wściekle, w dwóch skokach dopadł potwora, zamachnął się i rąbnął berdyszem po chitynowym karapaksie. Korin, porzucając Visennę, bez zastanowienia przyskoczył z drugiej strony, trzymany oburącz miecz z rozmachem wpakował w szczelinę pomiędzy pancerzem a łapą. Napierając piersią na rękojeść, wepchnął wbite ostrze aż po jelec. Mikula stęknął i uderzył jeszcze raz, pancerz pękł, trysnęła zielona, cuchnąca ciecz. Kościej, sycząc, puścił Bobołka, uniósł kleszcze. Korin zaparł się nogami w ziemię, szarpnął za rękojeść miecza, bez skutku.

– Mikula! – krzyknął. – Do tyłu!

Obaj rzucili się do ucieczki, sprytnie, bo w dwie różne strony. Kościej zawahał się, zgrzytnął brzuchem po skale i ruszył szybko przed siebie, prosto na Visennę, która, z głową zwieszoną pomiędzy ramiona, usiłowała podnieść się na czworaki. Tuż nad nią, w powietrzu, zawisł pstrokaty ptak, bijąc skrzydłami, krzycząc, krzycząc, krzycząc...

Kościej był blisko.

Obaj, Mikula i Korin, skoczyli jednocześnie, zagradzając drogą potworowi.

– Visenna!

– Pani!

Kościej, nie zatrzymując się, rozczapierzył łapska.

– Na bok! – krzyknęła Visenna, na kolanach, unosząc ręce. – Korin! Na bok!

Odskoczyli obaj, przypadając do ściany wąwozu.

– Henenaa fireaoth kerelanth! – krzyknęła przeraźliwie czarodziejka, wyrzucając ręce w kierunku kościeja. Mikula spostrzegł, jak coś niewidzialnego sunie od niej ku potworowi. Trawa słała się po ziemi, a drobne kamienie toczyły się na boki, jak gdyby rozgniatane ciężarem ogromnej kuli, pędzącej z rosnącą prędkością. Z dłoni Visenny trysnęła oślepiająco jasna, zygzakowata smuga światła, uderzyła w kościeja, rozmazała się po pancerzu siatką języków ognia. Powietrze rozpękło się w ogłuszającym huku. Kościej eksplodował, wybuchnął zieloną fontanną posoki, kurzawą odłamków chityny, nóg, wnętrzności, wszystko to wyleciało w górę, gradem sypnęło się dookoła, zadudniło o skały, zaszeleściło po zaroślach. Mikula przykucnął, oburącz zasłaniając głowę.

Było cicho. W miejscu, na którym przed chwilą stał potwór, czerniał i dymił okrągły lej, zbryzgany zieloną cieczą, usłany ohydnymi, trudnymi do rozpoznania, drobnymi fragmentami.

Korin, ocierając twarz z zielonych plam, pomógł Visennie wstać z ziemi. Visenna drżała.

Mikula pochylił się nad Kehlem. Bobołak miał otwarte oczy. Gruby kubrak z końskiej skóry pocięty był na strzępy, pod którymi widać było to, co zostało z ramienia i barku. Kowal chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał. Podszedł Korin, podtrzymując Visennę. Bobołak odwrócił głowę w ich stronę. Korin popatrzył na jego ramię i z trudem przełknął ślinę.

– To ty, królewiczu – rzekł Kehl cicho, ale spokojnie i wyraźnie. – Miałeś rację... Bez broni jestem śmieć. A bez ręki? Chyba gówno, co?

Spokój Bobołaka przeraził Korina bardziej, niż widok zmiażdżonych kości, wyzierających z potwornych ran. To, że karzeł wciąż żył, było niewyobrażalne.

– Visenna – szepnął Korin, patrząc błagalnie na czarodziejkę.

– Nie dam rady, Korin – powiedziała Visenna łamiącym się głosem. – Ten organizm, to ciało... Wszystkie prawa, które nim rządzą, są całkiem różne od ludzkich.... Mikula... Nie dotykaj go...

– Wróciłeś, Bobołaku – szepnął Mikula. – Dlaczego?

– Bo prawa, które mną rządzą są różne... od ludzkich – rzekł Kehl z dumą w głosie, choć już z wyraźnym wysiłkiem. Strużka krwi wypłynęła mu z ust, plamiąc popielate futro. Odwrócił głowę, spojrzał w oczy Visenny.

– No, ruda wiedźmo! Spełnia się twoja przepowiednia... Pomóż mi!

– Nie! – jęknęła Visenna.

– Tak – rzekł Kehl. – Tak trzeba. Już czas.

– Visenna – westchnął Korin z wyrazem przerażenia na twarzy. – Ty chyba nie zamierzasz...

– Odejdźcie! – krzyknęła druidka, powstrzymujałc łkanie. – Odejdźcie obaj!

Mikula, patrząc w bok, pociągnął Korina za ramię. Korin poddał się. Zobaczył jeszcze, jak Visenna klęka nad Bobołakiem, delikatnie gładzi go po czole, dotyka skroni. Kehl drgnął, zadygotał, wyprężył się i zastygł, nieruchomy.

Visenna płakała.

IX

Pstrokaty Ptak, siedzący na ramieniu Visenny, przekrzywił płaski łebek, wlepił w czarodziejkę okrągłe, nieruchome oko. Koń człapał wyboistym gościńcem, niebo było kobaltowe i czyste.

– Tuuit tuiit trk – powiedział Pstrokaty Ptak.

– Możliwe – zgodziła się Visenna. – Ale nie o to chodzi. Nie zrozumiałeś mnie. Nie mam pretensji. Przykro mi, że o całej sprawie dowiedziałam się dopiero od Fregenala, a nie od ciebie, to fakt. Ale znam cię przecież od lat, wiem że nie jesteś gadatliwy. Sądzę, że gdybym zapytała wprost, odpowiedziałbyś.

– Trk, tuuuik?

– Jasne. Już od dawna. Ale sam wiesz, jak u nas jest. Jedna wielka tajemnica, wszystko tajne, sekretne. A zresztą to tylko kwestia wielkości. Ja też nie odmawiam przyjęcia zapłaty za leczenie, jeśli ktoś mi ją wpycha, a wiem, że go stać. Wiem, że za pewnego rodzaju usługi Krąg żąda wysokich opłat. I słusznie, wszystko drożeje, a żyć trzeba. Nie o to chodzi.

– Twwiiiit. – Ptak przestąpił z nóżki na nóżkę. – Korrriiin. Domyślny jesteś – uśmiechnęła się cierpko Visenna, pochylając głowę w stronę Ptaka, pozwalając, by lekko dotknął dziobkiem jej policzka. – Tym właśnie jestem rozgoryczona. Widziałam, jak na mnie spoglądał. Nie dość, że wiedźma, myślał pewnie, to jeszcze i obłudna kombinatorka, chciwa i wyrachowana.

– Tuwiit trk trk trk tuuiiit?

Visenna odwróciła głowę.

– No, aż tak źle nie jest – mruknęła, mrużąc oczy. – Nie jestem, jak wiesz, dziewczynką, nie tracę głowy tak łatwo. Chociaż, trzeba przyznać... Za długo włóczę się samotnie po... Ale to nie twoja sprawa. Pilnuj swego dzioba.

Ptak milczał, stroszac piórka. Las był coraz bliżej, widać było drogę, znikającą w gąszczu. Pod portalem konarów.

– Słuchaj – odezwała się Visenna po chwili. – Jak to, według ciebie, może wyglądać w przyszłości? Czy rzeczywiście jest możliwe, żeby ludzie mogli przestać nas potrzebować? Chociażby w najprostszej materii, w kwestii leczenia. Trochę postępu tu widać. Weźmy dla przykładu takie ziołolecznictwo, ale czy można sobie wyobrazić, że kiedyś uporają się, dajmy na to, z krupem? Z gorączką połogową? Z tężcem?

– Twiik, twiiit.

– Też mi odpowiedź. Teoretycznie, to możliwe jest i to, że nasz koń za chwilę włączy się do rozmowy. I powie coś mądrego. A co powiesz o raku? Czy i z rakiem poradzą sobie? Bez magii?

– Trrk!

– Ja też tak myślę.

Wjechali w las, pachnący chłodem i wilgocią. Przekroczyli płytki strumień. Visenna wspięła się na wzgórze, zjechała potem w dół, wśród wrzosów, sięgających strzemion, gdzie znowu odnalazła drogę, piaszczystą, zarośniętą. Znała tę drogę, jechała już tędy, zaledwie trzy dni temu. Tyle że w przeciwnym kierunku.

– Wydaje mi się – odezwała się znowu – że jednak przydałoby się u nas trochę zmian. Kostniejemy, za mocno i zbyt bezkrytycznie uczepiliśmy się tradycji. Jak tylko wrócę...

– Twiit – przerwał Pstrokaty Ptak.

– Co?

– Twiit.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego nie?

– Trrrrk.

– Jaki napis? Na jakim znowu słupie?

Ptak furcząc skrzydełkami, zerwał się z jej ramienia, odleciał, znikł wśród listowia.

Rozpędzam się...

z Andrzejem Sapkowskim rozmawia Rafał A. Ziemkiewicz



Rafał A. Ziemkiewicz: *– Pańskie opowiadanie zrobiło autentyczną furorę. Nagroda w konkursie, pierwsze miejsca w naszym sondażu i w plebiscycie „Polconu". Aż nie chce się wierzyć, żeby „Wiedźmin" był pańskim debiutem.*

Andrzej Sapkowski: – Był i nie był. Zdarzało mi się zarabiać piórem już od czasów studenckich, przyniosło mi to nawet kilka nagród. Z tym, że moje pisanie nie miało dotąd nic wspólnego z fantastyką. W tej dziedzinie „Wiedźmin" faktycznie był debiutem.

– Skąd zatem pomysł, żeby napisać opowiadanie na nasz konkurs?

– Zupełnie szczerze: chciałem zrobić przyjemność mojemu synowi, który jest zagorzałym miłośnikiem tego typu literatury i stałym czytelnikiem waszego pisma. Zapytał mnie kiedyś: „Dlaczego nie napiszesz czegoś takiego?". „Nie ma problemu, powiedziałem, napiszę". No i tak powstał „Wiedźmin". Zresztą właśnie od syna dowiedziałem się o waszym konkursie i jego warunkach.

– Zazwyczaj pisanie fantastyki zaczyna się od fascynacji lekturowych.

– Nie jestem wyjątkiem, czytam bardzo dużo i od bardzo dawna. Może to stwierdzenie trochę nieskromne, ale znam fantastykę bardzo dobrze i to głównie z oryginałów. Z każdej podróży, a podróżuję dużo, przywożę sobie najnowsze książki z tego gatunku. Łączę w ten sposób przyjemne z pożytecznym. Moja praca wymaga biegłego posługiwania się trzema językami i czytanie obcojęzycznych książek jest dla mnie doskonałym treningiem. Poza tym, czytanie nie jest dla mnie żadnym hobby ani rozrywką, ale po prostu koniecznością, tak jak spanie czy jedzenie. Można mnie uważać za „książkowego alkoholika".

– Przypuszczam, że fantasy należy do pańskich ulubionych lektur?

– Oczywiście. Wśród książek, które zwożę sobie z różnych stron świata pozycje z tego gatunku stanowią zdecydowaną większość. Przy czym zawsze w moich lekturach brakowało mi fantasy, którą nazwałbym „klasyczną", bez elementów SF czy jakichkolwiek odniesień do współczesności. Na Zachodzie niewiele się takiej literatury pisze. Mówię o tym, ponieważ zabierając się do pisania, chciałem zrobić właśnie to, czego mi brakuje: czystą, „klasyczną" fantasy.

– Zachodnia fantasy jest u nas mało znana...

– To dotyczy całej zagranicznej fantastyki, chociaż z ręką na sercu mogę powiedzieć, że od czasów mojej młodości – w moim matuzalemowym wieku czterdziestu lat można już tak mówić – zrobiliśmy gigantyczne postępy, i ogromny w tym udział waszego pisma.

– Dziękuję. Natomiast polska fantasy dopiero się rodzi. Co pan o niej sądzi?

– Nie śledzę działalności polskich autorów zbyt dokładnie. Jak już powiedziałem, czytam głównie w językach obcych. Nie dlatego, żebym za wartościową uważał jedynie fantastykę zachodnią, ale u nas ciekawe rzeczy pojawiają się dość rzadko i trzeba na nie polować. Ja po prostu nie mam ani czasu żeby uganiać się za książkami, ani znajomych, którzy odłożyliby coś dla mnie pod ladę.

– Mimo wszystko, czy może się pan pokusić o ocenę perspektyw polskiej fantasy?

– Są ogromne! Przecież na fantasy jest w tej chwili wielki popyt, ludziom się to podoba, chcą właśnie takie rzeczy czytać. Nasze baśnie, nasza demonologia to naprawdę wspaniały materiał na fantasy. Wyobraża pan sobie, jakie ciekawe opowiadanie można by zrobić choćby z bajki o smoku wawelskim? O tym, z jaką pogardą musiałby się w czasach kultu świętego Jerzego i ideałów rycerskich spotkać szewczyk, który sobie tak niehonorowo postąpił ze smokiem? Taki truciciel, kłusownik?

– No właśnie. Sięgnął pan po starą, ludową bajkę, na co nikt przed panem się nie odważył, przynajmniej w druku.

z której się nie wraca

Korin siedział oparty plecami o słup na rozstaju, przyglądał się jej z bezczelnym uśmiechem. Visenna zeskoczyła z konia, podeszła bliżej. Czuła, że też się uśmiecha, wbrew swej woli, co więcej, podejrzewała, że uśmiech ten nie wygląda najmądrzej.

– Visenna – zawołał Korin. – Przyznaj się, nie otumaniasz mnie przypadkiem czarami? Odczuwam bowiem ogromną radość z tego spotkania, wręcz nienaturalną radość. Tfu, tfu, na psa urok. To czary, ani chybi.

– Czekałeś na mnie.

– Jesteś niesamowicie przenikliwa. Widzisz, obudziłem się raniutko i stwierdziłem, że odjechałaś. Jak miło z jej strony, pomyślałem sobie, że nie budziła mnie dla takiego głupstwa, jak zdawkowe pożegnanie, bez którego można się wszak doskonale obejść. Któż w końcu w dzisiejszych czasach żegna się lub wita, toż to nic innego jak przesąd i dziwactwo. Prawda? Obróciłem się na drugi bok i spałem dalej. Dopiero po śniadaniu przypomniałem sobie, że mam ci do powiedzenia coś niezwykle ważnego. Wsiadłem zatem na zdobycznego konia i pojechałem na skróty.

– A cóż takiego masz mi do powiedzenia? – spytała Visenna, podchodząc bliżej, zadzierając głowę, by spojrzeć w błękitne oczy, które zeszłej nocy widziała we śnie.

Korin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Sprawa jest delikatnej natury – rzekł. – Nie da się jej streścić w kilku słowach. Będzie to wymagało szczegółowych wyjaśnień. Nie wiem, czy zdążę przed zmierzchem.

– Zacznij chociaż.

– Z tym właśnie jest kłopot. Nie wiem, jak.

– Panu Korinowi brak słów – pokręciła głową Visenna, wciąż się uśmiechając. – Rzecz absolutnie niesłychana. Zacznij więc od początku.

– Niezły pomysł. – Korin udał, że poważnieje. – Widzisz, Visenna, minął już ładny kawał czasu, odkąd włóczę się samotnie...

– Po lasach i gościńcach – dokończyła czarodziejka, zarzucając mu ramiona na szyję.

Pstrokaty Ptak, wysoko, na gałęzi drzewa, machnął skrzydełkami, rozpostarł je, zadarł główkę.

– Trrrk twiit twiiit – powiedział.

Visenna oderwała usta od ust Korina, spojrzała na Ptaka, mrugnęła.

– Miałeś rację – odpowiedziała. – To rzeczywiście droga, z której się nie wraca. Leć, powiedz im...

Zawahała się, machnęła ręką.

– Nic im nie mów..

Andrzej Sapkowski

– Było to moim świadomym zamierzeniem. Już powiedziałem – dysponujemy materiałem wcale nie gorszym niż mitologia celtycka czy normańska.

– I ściągnął pan na siebie zarzut plagiatu...

– To niepoważne. Na Zachodzie jest minimum sto pięćdziesiąt książek, wykorzystujących „legendę o królu Arturze", niektóre należą do klasyki gatunku. Baśnie po prostu należą do wszystkich.

– Wróćmy jeszcze do perspektyw polskiej fantasy.

– Ten gatunek daje autorowi dużo większe możliwości niż, na przykład, klasyczna SF. Ja w każdym razie nie podjąłbym się wymyślenia lepszej SF niż „A case of conscience" Blisha czy powieści Zelazny'ego. W SF wszystko zostało już zrobione.

– W fantasy też już sporo zrobiono. Tolkien, Howard...

– Ale sporo jeszcze zostało dla innych. U nas w tej chwili panuje szał Conana i to może być dla polskiej fantasy poważnym ciosem. W ogóle nie cierpię Howarda, jego styl jest nie do zniesienia i fatalnie będzie, jeśli nasi autorzy zaczną się właśnie na nim wzorować. W fantasy naprawdę można jeszcze dużo wymyślić. Jak mówiłem, jest na nią ogromna koniunktura. Nie ukrywam zresztą, że pisałem „Wiedźmina" właśnie tak, żeby w tę koniunkturę trafić.

– Udało się panu aż za dobrze.

– Dlaczego „za dobrze"?

– Zdobył pan sobie tym opowiadaniem dużą popularność, tak że trudno panu będzie napisać następne utwory. To, czym u innych czytelnicy by się zachwycili, a w każdym razie łatwo by wybaczyli, u pana może ich rozczarować.

– To prawda, stoję przed trudnym zadaniem. Na pewno nie będę próbował wydrukować niczego, co moim zdaniem nie będzie od „Wiedźmina" lepsze. Nie mogę na razie wykluczyć takiej możliwości, że nie będę umiał przeskoczyć samego siebie. I tak nie zamierzam rzucać wszystkiego i zajmować się wyłącznie pisaniem fantasy. Pomijając wszystko inne, obawiam się, że nawet gdybym pisał same arcydzieła, nie utrzymałbym się z tego...

– Niestety, ma pan rację.

– ...więc gdyby się okazało, że jestem lepszym handlowcem niż pisarzem, nie będzie to dla mnie żadną życiową klęską.

– W każdym razie ten próg, który musi pan przeskoczyć, stwarza bardzo stresującą sytuację.

– Moja praca polega na ciągłym przeskakiwaniu progów. Po dwa, trzy dziennie. Zmusza mnie do stałego wysiłku, zarówno intelektualnego, jak i fizycznego. Tak że, generalnie, nie boję się trudnych zadań. Przywykłem do nich.

– Skoro już do tego doszliśmy; przypuszczam, że naszych Czytelników bardzo ciekawi, kim pan właściwie jest i czym się na co dzień zajmuje.

– Nie chciałbym wdawać się w szczegóły. Ukończyłem Handel Zagraniczny na Uniwersytecie Łódzkim i od piętnastu lat pracuję w tym zawodzie. Zajmuję się w tej chwili eksportem polskich wyrobów futrzarskich.

– To dość czasochłonne.

– Pisanie też, przynajmniej dla mnie. „Wiedźmina" napisałem na brudno w ciągu jednej nocy, nie wiedziałem tylko, jak go skończyć. Ale praca nad gotowym już maszynopisem, zanim zdecydowałem się go do was wysłać, zajęła mi trzy miesiące. I wcale nie uważam, żebym go dopracował należycie. Teraz, gdy już się ukazał, miałbym jeszcze ochotę sporo w nim zmienić.

– Może właśnie pańskie studia i zawód zdecydowały, o pańskim podejściu do pisania. U nas wciąż pokutuje model pisarza-wieszcza albo młodopolskiego cygana. Pan zaś mówi bez żadnej żenady o koniunkturze i o tym, że starał się pan do niej dostosować.

– Chciałem napisać tak, żeby czytelnikom się to spodobało, żeby znaleźli w moim utworze właśnie to, czego szukają. Oczywiście, można mi z tego czynić zarzut. Nie uznam go za sensowny. Zresztą, wcale nie uważam, żebym nosił w sobie jakieś wielkie prawdy, które koniecznie trzeba objawić narodom świata. Więc po co miałbym udawać kogoś kim nie jestem? Mam ambicję pisać dobrą literaturę rozrywkową i tyle.

– W każdym razie zamierza pan pisać dalej?

– Naturalnie, sukces „Wiedźmina" jest chyba wystarczającą zachętą. Robię kolejny tekst, myślę nad następnymi. Rozpędzam się. Mam nadzieję, że nie na darmo. Ale oczywiście, nie mogę na razie nic zagwarantować. Poza jednym: następny tekst nie będzie już pisany na konkurs.

– Ciekawi mnie jeszcze jedno: jak przyjęli „Wiedźmina" pańscy znajomi?

– Większości się podobał, co nie zmienia faktu, że zyskałem sobie opinię nieszkodliwego dziwaka. Spotkałem się też i z innym podejściem: „No tak, nie może usiedzieć, żeby sobie gdzieś na boku nie dorobić".

– Na szczęście, jak widzę, nie zniechęciło to pana. Pozostaje nam zatem tylko czekać na pańskie kolejne teksty. Dziękuję za rozmowę.

wrzesień 1987

Magia i miecz

Opowiadanie Rogera Zelazny'ego „Ostatni obrońca Camelotu" opisuje losy rycerza Lancelota, wróżki Morgany i czarodzieja Merlina. Losy to specyficzne, gdyż średniowieczni bohaterowie, mocą czarów i rozmaitych przypadków, stają się długowieczni, wędrując przez historię docierają aż do czasów nam współczesnych. W ten sposób epilog poszukiwań Świętego Graala zostaje przeniesiony w daleką przyszłość. Zelazny próbuje skonfrontować postawę średniowiecznych bohaterów z nową sytuacją wynikłą w związku z przemianami cywilizacyjnymi.

„Ostatni obrońca Camelotu" nie jest przypadkiem odosobnionym w literaturze. Wielu autorów wykorzystuje w swojej twórczości motywy wędrowne naszej kultury (pod nazwą toposu zyskały one swojego czasu olbrzymią popularność w nauce o literaturze.). Lancelot, Morgana, Merlin to przede wszystkim bohaterowie „Opowieści Okrągłego Stołu" – średniowiecznego romansu, który właśnie został udostępniony polskiemu czytelnikowi przez PIW w serii „Bibliotheca Mundi". Seria ta stara się zniwelować nasze, prowincjonalne zaległości w znajomości światowego kanonu literackiego (i chwała jej za to!). „Opowieści Okrągłego Stołu" nie są pierwszym wcieleniem zawartych w nich motywów, stanowią swoiste przetworzenie mitów i legend celtyckich. Merlin to Myrddin – poeta i wieszcz, jasnowidz życzliwy ludziom, który narodził się z dziewicy i już w niemowlęctwie posiadał mądrość starca. Pierwowzór błędnego rycerza stanowi bohaterski i mocarny Peredur ab Efrawc, zwany w romansach rycerskich Persevalem. Mity wyspiarskich Celtów z literaturą średniowiecza bezpośrednio spina postać króla Artura (historyczna lub raczej legendarna). Do dziś stanowi on dla Europejczyków symbol dobrego władcy, cywilizowanych obyczajów i dwornych manier.

Żywotność kultury celtyckiej jest niebywała. Jej początki giną w mrokach prehistorii. Dzięki literackiemu przetwarzaniu motywów celtyckiej mitologii i sztuki nie zapowiada się również ich zmierzch. Zainteresowanie tą kulturą parokrotnie nabierało zwiększonej intensywności. Pierwszy renesans tematyki celtyckiej nastąpił właśnie w średniowieczu. W roku 1066 Wilhelm Zdobywca odnosi zwycięstwo w bitwie pod Hastings, tym samym następuje podbój Anglii przez Normanów. Wyspy Brytyjskie przestają być izolowane, zostają siłą włączone do europejskiej wspólnoty kulturowej. Bez tej syntezy nie byłoby romansu rycerskiego w znanym nam kształcie. Literatura arturiańska genetycznie wywodzi się z celtyckiej Brytanii, lecz dzięki kulturze francuskiej zyskała rozmach, impet i polor. Tak zwany cykl bretoński rozwijał trzy różne kręgi tematyczne: poemat miłosny (Tristan i Izolda), romans rycerski (cykl rycerzy Okrągłego Stołu), epika mistyczna (poszukiwanie Świętego Graala). Wszystkie realizacje tych tematów łączą w sobie mitologię Celtów, tradycję epiki bohaterskiej, doktryny chrześcijańskie i ideologię prowansalskich trubadurów. Cykl ten rozrasta się na przestrzeni całego średniowiecza, wzbogaca o nowe treści, ulega wielokrotnym przeobrażeniom. Krótką historię rozmaitych wersji „Opowieści Okrągłego Stołu" prezentuje wstęp do polskiego wydania.

Literatura arturiańska opiera się na kosmogonicznej zasadzie Celtów, którą można streścić w słowach: wszechogarniająca miłość i tajemnica. Głównym zadaniem człowieka na ziemi jest miłość – postawę taką nazywa się często idealizmem celtyckim. Mieszkańcy starożytnej Walii i Bretanii przypisywali wielką rolę kobiecie, jako tej, dzięki której mężczyzna zyskuje siły twórcze do życia i działania. Najświętszym obowiązkiem rycerzy króla Artura jest służba wybranej damie serca i ochrona wszystkich dziewic. Z kultury celtyckiej romans rycerski bierze również swą mistykę, symbolizm, tajemniczość, rozmiłowanie w cudowności, traktowanie tego co nadprzyrodzone na równi z rzeczywistością. Stąd „Opowieści Okrągłego Stołu" pełne są cudownych mocy i nadprzyrodzonych zdolności, znikających zamków i przede wszystkim magicznych przedmiotów. Tą drogą wnikają do naszej kultury cudowne miecze, pierścienie czy samo poszukiwanie Graala jako synonimu najwyższego celu jaki człowiek może sobie postawić.

Cykl arturiański wiąże fantastykę z realiami feudalnego obyczaju. Błędni rycerze wprowadzają ideały siły, zręczności, odwagi, hojności, a przede wszystkim wierności i oddania swemu panu (czy damie serca) jako najwyższe cnoty rycerskie.

Drugi renesans przeżywa tematyka celtycka w początkach romantyzmu, w tzw. okresie burzy i naporu. Twórców fascynuje wtedy tajemniczość i magiczność kultur ludowych. Ostateczne zwieńczenie tego nurtu stanowi transpozycja mitu o Persevalu w operze Wagnera. XIX-wieczna moda nie zanika już, zainteresowanie kulturą Celtów trwa do dzisiaj. Pojawiają się olbrzymie tomy opracowań naukowych. J.L. Weston zajmuje się na przykład badaniem legendy o poszukiwaniu Świętego Graala. Autorka stwierdza, że powszechnie znana, średniowieczna wersja stanowi przetworzenie starożytnego rytuału związanego z kultem życia. Świadczy o tym symbolika Ziemi Jałowej, Króla Rybaka czy Życiodajnego Naczynia. Książka Weston zainspirowała T.S. Eliota do napisania poematu „Ziemia jałowa". Takimi to dziwnymi drogami przewija się dziedzictwo Celtów w naszej współczesności.

Z ducha opowieści arturiańskich rodzi się również literatura fantasy. Atmosfera, zawarty ładunek emocjonalny wskazują natychmiast na głębokie pokrewieństwo tych gatunków. Elementy wspólne to nastrój tajemniczości i cudowności, włączenie do świata przedstawionego przedmiotów oraz zdarzeń magicznych. Oba gatunki opierają się na schemacie wędrówki, poszukiwania czegoś, dążeniu, któremu nieodłącznie towarzyszą liczne niebezpieczeństwa stojące na drodze bohatera. Stąd wielka rola odwagi i moralnego wyboru między dobrem i złem.

Romans rycerski powstaje, gdy epika kultury zachodniej tkwi jeszcze w okresie niemowlęcym, dlatego charakteryzuje go duże uproszczenie formalne. Widać je

Suspens metafizyczny

Dwadzieścia jeden lat od momentu powstania, dwadzieścia po nakręceniu na podstawie książki głośnego filmu, dostaliśmy w końcu powieść Levina o Diable, który zstępuje na świat w rodzinie spragnionego sławy nowojorskiego aktora. Co przeszkadzało nam zapoznać się z książką wcześniej – niewiara, czy przeciwnie, wiara naszych ówczesnych dysponentów w istnienie Szatana?

Teraz możemy już zobaczyć jak wiele reżyser zawdzięcza pisarzowi. Precyzyjna intryga, metoda chłodnego zewnętrznego opisu; nawet snobistyczne wizje ciężarnej Rosemary, wyglądające na filmową ekstrawagancję; nawet długo i pięknie wygrywana dwuznaczność – może zapłodnił ją Diabeł, a może rzecz przywidziała się niemądrej, indyferentnej katoliczce – wszystko było już w książce. Nasz człowiek w Hollywood przeniósł to zręcznie, bo bez ozdobników na ekran z pomocą pierwszorzędnych aktorów, a pod obraz podłożył muzykę znakomitego swojaka, Komedy.

Na idylliczne młode amerykańskie małżeństwo (z siedmiu pokoi z kuchnią powiało nędzą – jest taki polski dowcip) spada pokusa, a potem przekleństwo. Aktor czekający bezskutecznie na swoje pięć minut, ulega podszeptom satanistów i za cenę popularności godzi się, by jego żona urodziła potomka Diabła. Aktor nie pyta żony o zgodę. Powieść pokazuje jak szatańskie nasienie zostaje złożone w kobiecie wbrew jej wiedzy i woli. Potem zaczynają się podejrzenia, koszmary, wreszcie następuje odkrycie prawdy i dziwne rozwiązanie dające nikłą nadzieję.

Levin bardo zręcznie, z wyczuciem reguł suspensu, nakręca sprężynę nieuchronności. Najpierw jest młode małżeństwo, które szuka mieszkania. Potem jest już dom – tajemniczy, z przeszłością, w którym żył kiedyś Diabeł, a teraz z jego okna wypada samotna kobieta. Jest więc miejsce i groza, jak w rasowym horrorze. Jest też pokusa, i draństwo, i diabelska zapłata za przysługę – Guy, mąż Rosemary dostaje upragnioną rolę. Pułapka się zatrzasnęła. Teraz powoli wypadają z gry, eliminowani przez złe siły, przyjaciele i sojusznicy Rosemary, odbywa się jej osaczanie przez sąsiadów, męża, lekarzy, przez dziwną sektę, która odbiera jej dziecko. Wreszcie mamy finał: Rosemary dociera do syna i poznaje koszmarną prawdę. Lecz kiedy powinna upaść, dziwnie krzepnie, a w finale powieści pojawiają się akcenty ni to z „Fausta", ni z „Hioba".

Słyszałem głosy, że książka sprzyja fascynacji satanizmem i obraża katolików. Nie podzielam takich poglądów. Nie jest to powieść heretycka; raczej rzecz traktująca o herezji, lecz trzymająca się ortodoksji wiernie, jeśli nie kurczowo. Powtórne przyjście Szatana na świat jest u Levina parodią tego, co przydarzyło się Świętej Rodzinie. Tak być powinno. Bóg postawił Marii i Józefowi zadanie, nie mówiąc o nagrodzie; Szatan u Levina przekupuje. Bóg uzyskał zgodę Marii („Niech mi się stanie według słowa twego"), Szatan musiał swą sprawę załatwić przy pomocy spisku. W Ewangelii mamy wezwanie do miłości i zgodę na męczeństwo, w „Dziecku Rosemary" odbywa się gwałcenie ludzkiej woli i budowanie kariery po trupach. Pisarz przeciwstawia sobie dwa światy, dwie skale wartości. Dopuszcza do głosu drugą (w końcu rzecz traktuje o narodzinach Antychrysta, nie Chrystusa), ale jego sympatie ulokowane są jednoznacznie.

Stąd też biorą się, rozsiane po książce i budzące wątpliwości niektórych czytelników, złośliwości pod adresem katolicyzmu i papieża. Są tu dość oczywiste. Kościół katolicki musi niepokoić i złościć Szatana jako dobrze zorganizowany przeciwnik. Kościół jak wynika na przykład z oświadczeń prefekta Kongregacji Nauki Wiary, kardynała Ratzingera, po pierwsze – stale podkreśla obecność Szatana w historii; po drugie – przy pomocy nawoływań i sakramentów stara się utrzymać wyznawców w gotowości do walki. Sataniści bezwiednie demaskują się u Levina, próbując rozbroić przeciwników ironią i urągając ich przywódcy, papieżowi. Wodzów strony przeciwnej zawsze się szkaluje i ośmiesza.

A więc wojna Dobra i Zła! Poród Rosemary ma być w niej momentem przełomowym, a syn jej (i Szatana) znaczącym statystą batalii. Kto wygra? Albo inaczej – kto kogo przeciągnie na swoją stronę? Możliwe przecież, że jedni skapitulują przed drugimi bez walki.

Takie pytanie pasjonuje teologów i filozofów od stuleci. „Czy diabeł może być zbawiony?" – pyta Leszek Kołakowski w głośnym eseju z 1972 roku. To zależy od tego, kim jest Szatan. Jeśli, jak chce gnoza, istotą niższą, z góry stworzoną na Źle-

szczególnie w rysunku postaci, przedstawieniu zdarzeń i uczuciowych reakcji na te wypadki. Bohaterowie opowieści arturiańskich zalewają się łzami albo omdlewają z wielkiej rozpaczy. Fantasy czerpie już z wielowiekowej tradycji epiki europejskiej. Wyposażenie wewnętrzne postaci ulega w tych utworach pogłębieniu, podobnie ich reakcje emocjonalne. Uwypuklenie roli głównego bohatera szczególnie rzuca się w oczy w twórczości U. Le Guin. Trylogia o Ziemiomorzu w ogóle, w formie fantasy opowiada o inicjacji i dojrzewaniu, przedstawia jungowską drogę indywiduacji osobowości.

Narracja romansów rycerskich ma charakter raczej luźny, dygresyjny, zdarzenia łączą tylko bohaterowie. Najczęściej akcję ograniczają z jednej strony narodziny, a z drugiej śmierć postaci. Przestrzeń przedstawiona w tych utworach nie ma większego znaczenia, stanowi wyłącznie tło, nie spełnia nawet funkcji retardacyjnej. Fantasy wzbogaca zarówno płaszczyznę akcji, jak i przestrzeni. Akcja ma wyraźnie charakter koncentryczny, przyczynowo-skutkowy, zogniskowany wokół głównego problemu. Przestrzeń nabiera samodzielnego znaczenia, rozrasta się na przykład do całej tolkienowskiej geografii. Oczywiście pomimo tych pozytywów, fantasy przejęła wiele wad romansów średniowiecznych. Nie ustrzegła się przed schematyzmem i daleko idącymi uproszczeniami.

Dla wielbicieli fantasy „Opowieści Okrągłego Stołu" winny stać się lekturą obowiązkową. Poszerzają one perspektywę oglądu gatunku, uczą, że nic w kulturze nie rodzi się samo z siebie. Opowieści arturiańskie są ponadto lekturą interesującą i przyjemną, na pewno nie gorszą od popularnych przygód Conana.

Małgorzata Skórska

Opowieści Okrągłego Stołu (Merlin czarodziej, Lancelot z jeziora, Poszukiwanie Świętego Graala, Śmierć Artura). Opracował J. Boulenger. Przełożyli K. Dolatowska i T. Komendant. PIW, Warszawa 1987. Cena 1100 zł.

go i zaklętą w diabelstwie, to pewnie nie. Jeśli, jak chce chrześcijańska ortodoksja, Szatan jest zbuntowanym, upadłym Aniołem – to zawsze, jeśli tylko zechce, może się podnieść.

Powieść opowiada się raczej za tą drugą opcją. Otóż pokazuje Levin, że nie istnieje coś takiego jak Zło stuprocentowe. Zło jest po części przynajmniej zdeprawowanym dobrem. Sataniści powinni zaprzeczać wszystkiemu, tymczasem nie potrafią zlekceważyć... macierzyństwa. Dobro wdziera się w ich życie wbrew woli. Sataniści szanują Rosemary jako matkę swego wodza i nie potrafią jej skrzywdzić. Może ze względu na Diabła? – to znaczy boją się miłości synowskiej dziecka Rosemary. A więc boją się tego co d o b r e w Szatanie.

Osaczona, oszukana, osłabiona porodem Rosemary pozornie skazana jest na przegraną. To prawda. urodziła dziecko z ogonkiem, które ma odegrać ważną rolę w dalekosiężnych planach Diabła. Ale powoli odzyskuje utracony teren. Wbrew intrydze męża i satanistów zdołała dotrzeć do swego syna. To ona, nie oni, ostatecznie wybrała mu imię. No i – odłożyła nóż! Jest w niej miłość i wola oporu. W dodatku, jak wiemy, synowie często trzymają z matkami i buntują się przeciw ojcom. Tak więc, niezależnie od tego, że dziecko patrzy na matkę z kołyski tygrysimi oczyma, tylko Bóg jeden wie, na kogo Rosemary wykieruje swojego rogatego diabełka.

Maciej Parowski

Ira Levin: *Dziecko Rosemary.* Tłumaczył Bogdan Baran. Seria „Fantastyki i Grozy". Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988. Cena 490 zł.

Popularność Conana jest faktem. Niektórych to przeraża, innym daje do ręki argument, że przeciętny czytelnik to nie wart uwagi półmózg, jeszcze innych zbija z pantałyku i zmusza do gruntownego przemyślenia poglądów o fantastyce. Zaliczam się do tej ostatniej grupy.

Potęga i chała

Conan, podobnie jak Sherlock Holmes, Frankenstein czy Tarzan przeżył swego twórcę. Stał się źródłem utrzymania dla rozlicznych wyrobników pióra, trafił do komiksów i filmów. Opowiadania Howarda zadziałały tu jedynie jako rozrusznik – sukces odniósł nie autor, lecz stworzony przez niego bohater. Dwumetrowy osiłek, gruchocący z zapamiętaniem łby i wypruwający flaki okazał się idealnym ucieleśnieniem tęsknot dwudziestowiecznego odbiorcy. Conan myśli niechętnie i dość ciężko, przez zawiłości cywilizowanego świata przerąbuje się mieczem, kierując się jedynie własnym poczuciem honoru barbarzyńcy i nigdy nie dręczą go wyrzuty sumienia. Prezentuje czytelnikom specyficzną filozofię – swoiście przykrojony do fantasy egzystencjalizm. Bogowie jego świata mało troszczą się o ludzi i rzadko życzą im dobrze, a ludzkie istnienie zdaje się być pozbawione jakiegokolwiek głębszego sensu. *W tym świecie daremnie człowiek walczy i cierpi, rozkosz znajdując jedynie w bitewnym szale* – powiada Conan. Śmierć jest dla niego jedynie początkiem błąkania się duszy w szarej krainie cieni, *po wieczność, bez pociechy.* Pozostaje więc tylko – póki starczy sił – wędrować i walczyć z każdym, kto się nawinie pod miecz. Tylko w ten sposób może wrzucony w zakłamany świat barbarzyńca pozostać w zgodzie ze sobą.

Świat Ery Hyboriańskiej – choć naszkicowany prostacką krechą i sprowadzony jedynie do roli tła dla wywijającego żelastwem bohatera – potrafił wielu odbiorców zafascynować. Czytelnikowi Tolkiena wyda się on wprawdzie prymitywną, papierową dekoracją, ale w latach trzydziestych był to świat nowy, który urzekał swą odmiennością i dla wielu miłośników fantastyki mógł stać się olśnieniem. Dziś już chyba nie – wyblakł i zżółkł jak fotografie z owych czasów. Nie sądzę natomiast, żeby wyblakła stworzona przez Howarda postać barbarzyńcy, będąca już archetypem fantasy. Conan do tego stopnia nie ma nic wspólnego z naszym światem, że jest każdemu z odbiorców bardzo bliski.

W przeciwieństwie jednak do Tarzana czy Supermana, powszechnie już tolerowanych, Conan wciąż wzbudza gorące sprzeciwy i pogardliwe skrzywienie ust, nawet wśród miłośników fantasy. No cóż – rodziców nikt sobie nie wybiera, a Conanowi szczególnie się w tym nie poszczęściło. Udowadnianie, że jego twórca był pisarzem – mówiąc delikatnie – miernym, a stworzone przez niego fabuły stanowią wyzwanie dla dobrego smaku, jest chyba bezcelowe. To co u innych autorów było potknięciem, błędem w sztuce, Howard uczynił swą metodą – trudno dziś ustalić, na ile świadomie.

Twórca Conana z lubością obraża iloraz inteligencji czytelnika, chwila zastanowienia wystarczy, by stwierdzić, że trzy czwarte opisywanych przez niego scen urągą wszelkiej logice. Część jednak czytelników nie ma ochoty się zastanawiać, większość – jak sądzę – skłonna jest wybaczyć autorowi przemycanie w malowniczej scenerii bzdury. Wystarczy im, że mogą obcować z fascynującym swą siłą i prostodusznością olbrzymem.

Fakt, że dokonania Howarda z literackiego punktu widzenia są niemal bezwartościowe, ośmiela do postępowania ze spuścizną po nim dość swobodnie (na co na przykład wobec Tolkiena nikt by się nie ważył). Czasem daje to efekty znakomite, jak choćby w wypadku filmu „Conan barbarzyńca" Johna Milliusa i Olivera Stone'a. Nie uronili oni nic z tego, co jest wartością opowiadań Howarda, tworząc na ich motywach dzieło przemyślane, logiczne i spójne, atrakcyjne również dla bardziej wybrednych odbiorców. Pokazali niejako czym mógłby być Conan, gdyby wymyślił go autor z odrobiną talentu.

U nas niestety postąpiono odwrotnie – udowodniono, że nawet Howard może przewrócić się w grobie. Przedstawienie Conana polskiemu czytelnikowi w pełni całym jego blasku i nędzy to pomysł w pełni zasługujący na pochwałę. Wydawca może się tego podjąć z dwóch względów – albo z edytorskiej uczciwości wobec fantasy (jakkolwiek spojrzeć, klasyka), albo też dla szybkiego i łatwego zysku. W wypadku wydawnictw „Alfa" mamy do czynienia, jak sądzę, z tą drugą możliwością. Podejrzewać tak każą już zdobiące oba tomy bohomazy, porównywalne chyba tylko z okładkami zeszytów „magią i mieczem" „Iskier". W całej zaś rozciągłości potwierdza takie przypuszczenie przekład, w którym opowiadania Howarda opublikowano.

Otóż wydany przez „Alfę" Conan pisany jest „po staropolskiemu" (tylko tak można to nazwać). Pomysł co najmniej dziwny, Howard bowiem nie stosował żadnej stylizacji. Można by jednak wybaczyć alfowskim tłumaczom to nieszkodliwe dziwactwo, gdyby nie fakt, iż nie mają oni bladego pojęcia o pięknej mowie Kochanowskiego i Paska, a tym bardziej o stylizowaniu języka. Cała ich inwencja ogranicza się do manierycznego wykręcania szyku zdania, żeby przypadkiem nie zabrzmiało ono normalnie. Oprócz tego nadziewają przekładane opowiadania archaizmami, rzecz jasna bez żadnej logiki. Obok słów i zwrotów staropolskich (wierę, szczeznąć) pojawiają się siedemnastowieczne makaronizmy (statuta, dominium) i stosunkowo późne zapożyczenia z innych języków (regiment, fecht), a nawet neologizmy młodopolskich poetów (bezdnia). Nie raczyli natomiast tłumacze usunąć form jawnie współczesnych (determinacja, emanować), co jest podstawowym warunkiem archaizacji języka. Prowadzi to do zdań – potworków w rodzaju: *a jużem się złościć poczynał, bom stanowisko swe jasnym uczynił,* od których aż roi się w książce. Efekty są komiczne. Trudno się nie śmiać, gdy *szczepieni przeciwnicy huknęli o podłogę, tworząc wir szczepionych w straszliwych zapasach członków* albo przy dialogach w stylu: *Conanie, och! tyś ranion śmiertelnie!* Wydziwaczony, silący się na staropolszczyznę język wręcz uniemożliwia lekturę – co w przypadku książki będącej z założenia „czytadłem" jest nie do wybaczenia.

Jest przysłowie, zaczynające się od słów „Jeśli nie potrafisz..." Z całą odpowiedzialnością dedykuję je osobie, której czytelnicy zawdzięczają ten rzekomo staropolski pasztet. Dodajmy, że wydany w 70 000 egzemplarzy. Współczuję nauczycielom – z tak skandaliczną polszczyzną ich podopieczni nie mieli chyba dotąd okazji się zetknąć. Bodaj czy nie jeszcze bardziej współczuję kolegom z redakcji. Bądź co bądź tak koszmarnie spreparowany Conan został rozchwytany w ciągu kilku dni i z pewnością posłuży wielu młodym adeptom pióra za wzór do naśladowania. Kiedy o tym pomyślę, mam ochotę podziękować Rejonowej Komisji Uzupełnień, że nie będę musiał czytać tekstów, które naładowana alfowskim Conanem młodzież przyśle na trzeci literacki konkurs „Fantastyki".

Rafał A. Ziemkiewicz

Robert E. Howard: *Conan z Cimmerii; Conan. Droga do tronu.* Seria „Biblioteka fantastyki", t. 11, 12. Wybór i opracowanie: Andrzej Ziembicki. Wydawnictwa „Alfa", Warszawa 1988. Cena 280 i 320 zł.

Prandota Mirosław

(ur. 1944)

Dziennikarz, psycholog, literat

Urodził się 4 listopada 1944 r. w Czersku. W latach 1970–1976 był psychologiem klinicznym w Szpitalu Psychiatrycznym w Gnieźnie. Od 1977 do 1978 r. inspektor w Departamencie Służby Zagranicznej NIK. Od 1979 r. dziennikarz. Współpracuje z „Przeglądem Tygodniowym", „Odrodzeniem", „Tygodnikiem Kulturalnym", „Vetem", „Nową Wsią". Autor książek o tematyce społeczno-obyczajowej: „Pochwycić tamte dni" (1978), „Cztery mole i dur" (zbiór opowiadań groteskowych, 1980), „Cienie Starego Miasta" (1982), „Taniec życia" (1984).

Jedyną powieścią fantastyczno-naukową Mirosława Prandoty jest **„Ostatnia walka gladiatorów"** (Iskry, Warszawa 1982) utrzymana w konwencji groteski surrealistycznej.

Bibliografia wybrana

– Z. Rożkowicz (w:) „Tygodnik Kulturalny" 1982/35.

Promiński Marian

(1908 – 1971)

Prozaik, eseista, krytyk filmowy

Urodził się 15 sierpnia 1908 r. w Turze nad Stryjem. Ukończył Wydział Humanistyczny na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Studiował na Wydziale Prawa UJK we Lwowie i na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Współzałożyciel lwowskiego miesięcznika „Sygnały" (1933). Jako poeta debiutował w 1928 r. na łamach prasy. Wydał m.in. „Twarze przed lustrem" (1946), „Opowiadania sportowe" (1952), „Salamandra" (1956), „Bardzo długa podróż" (1971). W 1961 r. otrzymał nagrodę literacką miasta Krakowa za całokształt twórczości. Zmarł 20 stycznia 1971 r. w Krakowie.

Marian Promiński jest autorem dwóch sztuk fantastyczno-naukowych: **„Sąd nie śpi"** (1957) i **„Rakieta Thunderbold"** („Dialog" 1959/7 – przedr. w „Utworach scenicznych", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956). Ta ostatnia jest dramatem psychologicznym osnutym na tle historii pierwszego, nader ryzykownego lądowania na Księżycu, do którego wybiera się skazanego na śmierć człowieka. Sztuka jest także utworem rozliczeniowym, nawiązuje do sytuacji sprzed roku 1956, ograniczającej wolność słowa, wypowiadania niezależnych opinii i sądów.

Bibliografia wybrana

– J. Pieszczachowicz (w:) „Życie Literackie" 1966/33,
– A. Pałłasz (w:) „Kultura" 1966/36,
– J. Preger (w:) „Tygodnik Kulturalny" 1966/47.

Prorok Leszek

(1919 – 1984)

Prozaik, eseista, dramaturg

Urodził się 18 kwietnia 1919 r. w Warszawie. W 1948 r. ukończył Wydział Prawno-Ekonomiczny UAM w Poznaniu z tytułem magistra praw. W latach 1957–1958 był dyrektorem Teatru Lalki i Aktora „Marcinek" w Poznaniu. Od 1963 do 1964 r. prowadził na Wydziale Filologicznym UAM w Poznaniu pierwsze w Polsce akademickie wykłady na temat estetyki teatru TV. Debiutował opowieścią historyczną „Dzień nad Motławą" (1939). Wydał 40 książek, m.in. powieści „Krewniacy" (1955), „Wyspiarze" (1961), „Tamta jesień" (1967). Autor wielu sztuk teatralnych i około 20 słuchowisk radiowych. W latach 1946-1983 ogłosił kilkaset artykułów, felietonów, reportaży, esejów, głównie na łamach prasy literackiej i społeczno-kulturalnej całego kraju oraz w przekładach na język angielski, bułgarski, czeski, francuski, hiszpański, holenderski, estoński, japoński, łotewski, serbsko-chorwacki, białoruski, rosyjski. Zmarł w Warszawie 8 grudnia 1984 r.

Do motywów fantastyczno-naukowych nawiązał Leszek Prorok w powieści **„Wielki zgiełk"** (Czytelnik, Warszawa 1972; adaptacja sceniczna: Teatr Nowy, Scena Propozycji, Warszawa 1977), w sztukach: **„Fosforyna"** (wystawionej w Teatrze Związków Zawodowych Kuźnica, Poznań 1957), **„Powrót taty"** (Teatr Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 1961; nowy tytuł: Powrót Adama, Teatr Polski, Wrocław 1961; Teatr TV Warszawa; wyd. książkowe – LSW, Warszawa 1963) i w sztuce dla dzieci **„Gwiezdne wagary"** napisanej wspólnie z Janiną Morawską (Teatr Lalek „Pleciuga", Szczecin, sezon 1963/1964; nadana również w TV).

Fantastyka naukowa w twórczości Leszka Proroka daje możliwość innego spojrzenia na aktualne problemy społeczne. W „Powrocie taty" paradoks bliźniąt (jako konsekwencja podróży w czasie) prowadzi do konfliktów o charakterze obyczajowym, demaskuje pozorną stabilizację ładu rodzinnego. „Wielki zgiełk" – powieść o perypetiach człowieka, który stał się odbiornikiem fal radiowych, mówi o inwazji mass mediów, narastającym chaosie informacyjnym, przed którym coraz trudniej ocalić indywidualność, niezależność sądów i ocen.

Bibliografia wybrana

– J. Krycki (w:) „Kultura" 1973/12,
– (M.R.) (w:) „Polska Literatura" 1973/3.

Wielki zgiełk

Leszek Prorok

Oznaczonego dnia wyszedł z domu po kąpieli, nad którą czuwała przejęta Marta, w czystej, skropionej lawendą bieliźnie i w wizytowym ubraniu, ożywiony jednak innym zamysłem. Na sąsiedniej ulicy kupił bukiet kwiatów i podniecony, niecierpliwy wskoczył do autobusu idącego w całkiem przeciwną stronę.

Niepokój i znużenie ogarnęły go dopiero z chwilą, kiedy nacisnął dzwonek u skromnych drzwi przedmiejskiej kamienicy. Cóż zastanie, myślał zatrwożony, przychodząc po tak długiej przerwie bez uprzedzenia?

Zastał jednak naturalną przychylność i roziskrzone spojrzenie fertycznej kobietki z dołeczkami na rumianych policzkach i z zaledwie rysującymi się śladami kurzych stopek wokół żywych oczu.

W mrocznym korytarzu oparła się cała o rachmistrza, jakby podcięta wzruszeniem. Trwali tak długą chwilę, Fabian słyszał stuk jej serca i czuł jak równie mocno bije jego własne. Jedną ręką przygarnął silniej kobietę, drugą pogładził jej kunsztownie ułożone loczki. Do czułego gestu skłonił go, być może, poemat Fibicha, ulubiona melodia ich dawniejszych spotkań, który dzięki Gwieździe Postępu rozdźwięczał się w nim teraz jak hymn.

(...) W zachowaniu Fabiana odżył naraz cały, tak bardzo odpowiadający obojgu obyczaj miłosny, wypróbowany i utrwalony swego czasu. Wracał więc teraz do tych samych gestów i szeptał te same słowa. Szum pulsującej krwi głuszył rytmicznie odbiór Gwiazdy Postępu, rachmistrz nie zorientował się zatem, kiedy przeminął koncert nastrojowych melodii i przeoczył dużo z kolejnej zapowiedzi. Tymczasem spiker awizował jak zwykle w środę wieczorem chwilę pobożnego skupienia z nauką wielebnego Asta. Zaraz też w eterze rozległ się czysty, wibrujący szlachetnym przejęciem głos duchownego. Głos ten do świadomości Fabiana dotarł urywkami dopiero po pewnym czasie.

Zmięty szlafroczek Tais upadł na ziemię.

– Chodź! Chodź prędzej! – pociągnęła go w drugi kąt pokoju. Roztrącił po drodze jakieś sprzęty, później przywarł ustami do gorącego ciała, które namiętnym rytmem pulsowało w jego ramionach.

– Tais! Zupełnie jak dawniej. Czas się cofnął. Ty i ja!...

Nie pozwoliła dokończyć, zamykając mu usta pocałunkiem. Przesunęła się do ściany, by mu dać miejsce obok siebie. Rachmistrz zrzucił butem drugi but, ściągnął oporną bieliznę, która roztaczała aromat lawendy. W kieszeni odrzuconej marynarki zaszeleściły złożone starannie trzy

– ...i oto znów ta groźna fala, najmilsi, zalewa nas zewsząd, mąci spokój rodzin, paczy młode, nieodporne natury. Zaraza sięga filmu, książki, prasy, sceny, ba – sięga nawet tej samej fali radiowej, na której słyszycie teraz moje słowa.

Trzeba nam przeto bić na alarm, zbroić się, sięgać do natchnionych słów. Cóż bowiem o tych, których widujecie co dzień dokoła, powiem więcej: o takich, którymi stają się także niejedni z was – powiada drugi, powszechny list Piotrowy?

Oto jego słowa, jakby do naszych czasów do nas skierowane: „Szczęście swoje upatrując w codziennym używaniu, są oni przez rozkosze swoje zaka-

akcje Towarzystwa Radiofonicznego.

Taida oddychała szybko i wpatrywała się weń z napięciem. Mrużyła oczy, jak zawsze w takiej chwili, chociaż w pokoju panował półmrok, tylko w korytarzu paliło się światło. Czekała aż zedrze z niej wszystko, chociaż zostało tak niewiele.

– Ogarnij mnie, kochany. Ogarnij mocno, skrępuj i obciąż tak, bym nie mogła jęknąć ani wydać tchu. Wtedy będę szczęśliwa. O, tak, teraz dobrze. Mój, tylko mój, mój, mój, mój...! Co ci jest? Czy coś cię zabolało? Dlaczego wstrząsasz tak dziwnie głową? Tu nie ma żadnej osy, kochanie. Słyszałabym przecież. No już, chodź! Tak samo, znów, och!

Tymczasem w uszach rachmistrza coraz silniej pulsowała krew, raz tłumiąc głos wielebnego Asta, to znów wraz ze spadkiem tętna torując do słuchu drogę słowom, które wezbrały mocą i z łagodności przesunęły się w krąg rejestrów groźnych.

– Nie mogę! – wykrzyknął nagle żałośnie, – Nie mogę ustawicznie tego...

– Ach nie! – przywarła do niego jeszcze silniej. – Tylko zdaje ci się tak! Albo już nie chcesz mnie pieścić jak dawniej bo myślisz o innej. O Noemi! A przecież ty zawsze tak kochałeś moje piersi!

Rachmistrz przesunął prawą dłoń go gładkiej skórze ku wypukłości, która wymykała się łowcy zbyt pełna, by ją zamknąć w garści, nabrzmiała u szczytu wyznaniem, wyrzutem, nade wszystko jednak pragnieniem. W twardości czytał żądanie pod swoim adresem, więc przytrzymywał tę pierś jak ptaka, który mógłby się wymknąć, i pochylił głowę by ją ucałować.

– Nie! – wrzasnął naraz strasznym głosem. – Nie, nie!

Zerwał się z tapczanu i w mylącym wszystko pośpiechu zaczął wciągać byle jak koszulę, spodnie, obuwie bez skarpetek. Potem wypadł do korytarza.

– Hieronimie! – krzyczała za nim Taida, zbierając nerwowo szarfę na narzuconym byle jak szlafroczku. Szczękała zębami nie z zimna, lecz z przerażenia. – Zaczekaj chwilę, Hieronimie! Nie możesz tak. Co ludzie powiedzą, jak cię tak zobaczą, Hieronimie!?

Sapanie i stuk kroków na schodach gasły jak słabnące echo, więc usiadła na podeście i rzewnie się rozpłakała. Fabian nie dosłyszał jej nawoływań, gdyż pomieszały się z hałasem kamienicy i z urywkami przestróg wielebnego Asta. Już na ulicy dopadło go wyraźnie końcowe zdanie chwili nabożnego skupienia.

łą i plugastwem". I dalej „Oczy ich szukające ciągle cudzołóstwa i grzechu uwodzą dusze niestateczne".

Żądza wolności, wolności od wszystkiego przenika dziś ludzi jak gorączka. Napominam was przeto, najmilsi, słowami pierwszego listu do Koryntian: „Baczcie jednakże, aby snadź ta wolność wasza nie stała się zgorszeniem dla słabych".

Najmilsi moi, słuchajcie mnie bacznie: ogłaszam batalię w obronie wstrzemięźliwości cielesnej. Mobilizujcie zatem i wy wszyscy siły do walki z wrogiem. A wróg nasz, ten co osłabia i rozkłada, jest powszechnie znany. Powtórzmy raz jeszcze, w jaką przybiera się postać, porubstwo, nieczystość, bezwstyd i rozpusta.

Ćwiczcie wolę, krzepcie ducha wzmacniając jedni drugich w chwalebnej powściągliwości ciał. A kto słaby, niechaj we mnie szuka rady, powściągliwości i pomocy. I te jeszcze słowa Pisma miejcie zawsze na uwadze: „Jeśli tedy oko twoje prawe gorszy cię, wyłup je, a odrzuć od siebie". Powtarzajcie sobie, mili moi, te słowa w chwilach słabości, by uniknąć załamania. I dalej je mówcie: „Jeśli prawa ręka twoja gorszy cię, odetnij ją i odrzuć precz od siebie"... Zakarbujcie sobie to dobrze w pamięci... „odetnij ją i odrzuć precz od siebie!"

– ...a przeminie świat i pożądliwość jego. Teraz zaś pokrzepieni słowem i wiarą żegnajcie najmilsi, do przyszłego tygodnia.



Andrzej Brzezicki

Powrotny bieg do domu nie uspokoił rachmistrza. Na ulicy i w tramwaju wymachiwał ramionami, wykrzykiwał głośno, rzucił też kamieniem w latarnię. (...)

W swoim korytarzu rachmistrz zaczął od tego, iż laską roztrzaskał lustro, które natarczywie podsunęło mu widok twarzy rozgrzanej i wykrzywionej złym grymasem. Potem na oczach przerażonych kobiet podarł i podeptał trzy akcje Towarzystwa Radiofonicznego. Martę, która chciała mu wyjąć z rąk papiery, pchnął brutalnie na kanapę i obrzucił wymysłami. Elizie, która chciała się wymknąć, kazał usiąść przy matce. Potem rozpędził się wokół stołu grożąc różnym nieobecnym. Kolejno naraził mu się prezes radia, profesor i piwowar Witt... (...)

– Noemi, idź do klasztoru! – ryknął, jak mógł najgłośniej. Coś się w nim załamało, zaszlochał i osunął się na kanapę. Tam bełkotał cicho i tak niewyraźnie, że Marta nie rozumiała powtarzanego wielokrotnie nakazu, a może prośby: – I Tais też! I ty, Tais, też!

(...) Po dziesięciu minutach, (...) rozległ się w wąwozie solidnych kamienic ulicy Spokojnej tężejący szybko sygnał karetki. Podobnie jak wtedy zadudniły na schodach ciężkie kroki, tylko tym razem nosze były puste, a nowi sanitariusze roślejsi, o barach szerokich i dłoniach ciężkich jak bochny. (...)

– Ostry przypadek – zauważył pierwszy – Co mu jest, panienko?

– Myślałam, że wszyscy wiedzą, to przecież sławne: ojciec słyszy cały świat.

– Bagatela, znamy wielu takich. Gorzej, gdyby był Napoleonem. Każdy następny jest inny i sprawia więcej kłopotu. Ilu to ja już tych Napoleonów miałem. Dwunastu? Nie, chyba trzynastu. Można powiedzieć, że w zakładzie za specjalistę od Napoleonów jestem. Ordynator nawet kazał mi historii poczytać, żebym wiedział, jak z takimi fachowo rozmawiać, nie mieszać wojen, państw i kobiet, bo ich to drażni. (...)

– Pora na nas – zauważył drugi – Ma pan jakieś osobiste rzeczy do zabrania, panie świat?

Fabian bezskutecznie sprężył się w kaftanie.

– Ludzie! Nie wiecie, co wisi nad wami. W tej chwili trwają konsultacje czterech mocarstw na gorących liniach. Słyszę przecież wyraźnie. A tam, na każdej wyspie wyrzutnie. Te zbiorniki na wodę to maltański kamuflaż i flota wodnych tankowców – drugi. Jak pan myśli, czy taka gorąca linia bardzo parzy? Pomyślcie, zastanówcie się, co zrobicie, jeśli jutro na Morzu Śródziemnym poleje się krew?

Zapłakana Marta wepchnęła do torby piżamę Hieronima, futerał z okularami, nocne pantofle i napoczęty flakon wody lawendowej.

– No jazda, panie świat! Tylko powoli, powoli, żeby się nie potknąć. A może chciałby pan na noszach? Pozna pan u nas wiele innych światów. A jakie ciekawe, jeden w drugi, zaręczam. I nawet nie zmęczą tyle człowieka, co zwykły Napoleon. Do widzenia szanownym paniom, proszę być dobrej myśli, nasz zakład czyni cuda.

Leszek Prorok, „Wielki zgiełk", Czytelnik, Warszawa 1976, wybór ze stron 157–168.

Przygotował Andrzej Niewiadowski

W 1987 roku w „Uralskim Sliedopytie" ukazała się odpowiedź Arkadija i Borysa Strugackich na przesłane do nich listy. Mistrzowie radzieckiej SF w bardzo szczery i wcale nie laurkowy sposób piszą o radzieckiej fantastyce, jej wzlotach i upadkach, trudnościach, nowych nazwiskach. Ta wypowiedź oraz inne, zbliżone w tonie, wywołały bardzo ostrą reakcję ze strony redakcji fantastyki „Młodej Gwardii". W almanachu „Fantastika 87" ukazała się polemiczna replika, którą również zamieszczamy, by przedstawić stanowiska obu stron.

Będziemy czekać i mieć nadzieję

Arkadij i Borys Strugaccy

Już w początkach lat siedemdziesiątych rozlegały się głosy, że we współczesnej radzieckiej fantastyce daje się zauważyć pewien kryzys. W czym zawiera się istota owego kryzysu – nadal nie wiadomo. W czasie spotkań z czytelnikami, w niektórych listach padają pytania: czy to prawda, że radziecka fantastyka przechodzi kryzys i na czym on polega?

Z naszego punktu widzenia, kryzysem należałoby nazwać taką sytuację, kiedy pisarze nie mają ochoty pisać fantastyki, a czytelnicy nie mają ochoty jej czytać. Na szczęście niczego takiego nie obserwujemy.

Jeśli rozpatrywać pojęcie „kryzysu" nie trzymając się ściśle definicji, trzeba przyznać, że w ciągu ostatnich piętnastu lat były i są poważne podstawy do mówienia o kryzysie.

Oto co się stało.

Współczesna radziecka fantastyka powstała – jak się powszechnie przyjmuje – w roku 1957 – roku wystrzelenia pierwszego sztucznego satelity Ziemi i wydania nowatorskiej powieści Jefremowa, wspaniałej, komunistycznej utopii „Mgławica Andromedy".

Natychmiast po roku 1957 wiele radzieckich wydawnictw i czasopism przystąpiło do publikowania literatury fantastyczno-naukowej. Szczególne zasługi położyło w tym względzie wydawnictwo KC WLKSM „Młoda Gwardia". Redakcję fantastyki owego wydawnictwa można by bez przesady nazwać kolebką science fiction. Ta właśnie redakcja zainicjowała „boom" lat sześćdziesiątych, kiedy wydawano po dziesięć książek rocznie, kiedy zaczął ukazywać się rocznik „Fantastika" zastępujący w pewnym sensie specjalne czasopismo SF, kiedy przystąpiono do realizacji „Biblioteki radzieckiej fantastyki" i rok po roku wychodziła „Biblioteka współczesnej fantastyki" przeznaczona dla subskrybentów, redagowana na wysokim, profesjonalnym poziomie, będąca wzorcem dla podobnych wydań, podjętych później w Japonii, Stanach Zjednoczonych i w innych krajach...

I nagle, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wszystko uległo zmianie. Redakcja została rozwiązana. Doświadczonych pracowników, redaktorów-zawodowców, specjalistów w zakresie literatury fantastyczno-naukowej zwalniano jak popadło. Zrezygnowano z zespołu autorskiego, troskliwie dobieranego i kształtowanego przez całe dziesięciolecie.

Zamiast książek zaczęto wydawać przegadane deklaracje. Na czele nowej redakcji stanął Jurij Miedwiediew. No i zaczęło się... W warunkach skandalu zerwał z redakcją jeden z najlepszych i najbardziej znanych pisarzy-fantastów Władimir Sawczenko. Od 1975 roku przez kilka lat leżał bez ruchu tom opowiadań Dymitra Bilenkina. Ucierpieliśmy i my. Od 1975 do 1980 roku nie mógł pojawić się tom „Nienaznaczennyje wstrieczi" (Nieumówione spotkania). W drugiej połowie lat siedemdziesiątych redakcja „Młodej Gwardii" wydała zaledwie dziesięć książek, w większości bardzo miernych. Wreszcie, kierownictwo redakcji objął nowy człowiek – Władimir Szczerbakow.

To prawda, udało mu się zorganizować stosunkowo rytmiczną publikację fantastyki, ilościowo porównywalną z „boomem" lat sześćdziesiątych. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie poziom literacki. Podobnie jak czytelnicy, my również odnosiliśmy wrażenie, że wydawszy dwa (a może trzy) razy samego siebie, dopuszczał on do publikacji jedynie takie utwory, które nie mogły konkurować z jego powieścią „Siem stichij" (Siedem żywiołów).

A przecież „Młoda Gwardia" doskonale wiedziała, że jest kogo wydawać. Kogo należy wydawać. Wymienimy niektóre nazwiska – z nowego, trzeciego pokolenia radzieckich fantastów.

Moskwa: Witalij Babienko, Eduard Geworkjan, Władimir Pokrowskij, Alieksandr Silieckij, Alieksandr Kacura, Walierij Gienkin.

Leningrad: Wiaczesław Rybakow, Andriej Izmaiłow, nieżyjący już Wiktor Żilin, Światosław Łoginow, Andriej Stoliarow, Dmitrij Karalis, Irina Tibiłowa.

Kijów: Borys Sztern, Liudmiła Koziniec, Jurij Prigornickij.

Krym: Jurij Iwaniczenko, Daniił Kługer, Natalija Astachowa.

A poza tym: Jurij Brajder, Nikołaj Czadowicz, Jewgienij Drozd, Boris Zielienskij (Mińsk), Siergiej Drugal (Swierdłowsk), małżeństwo Łukinych (Wołgograd), Jewgienij Filienko, Władimir Pirożnikow (Perm), Igor Pidorenko (Stawropol), Andriej Łazarczuk, Jewgienij Sycz (Krasnojarsk), Ałan Kubatijew, Alieksandr Bacziło, Gienadij Praszkiewicz (Nowosybirsk), Władisław Pietrow (Tbilisi), Paweł Amnuel (Baku), Robert Koczarjan (Armenia), Abduhakim Fazyłow, Liudmiła Sinicina (Azja Środkowa).

Ta lista nie jest zresztą kompletna...

Oczywiście, zdarzały się i wyjątki. Udało się przebić do czytelnika wspaniałemu pisarzowi i pedagogowi W. Krapiwinowi. Od zwycięstwa do zwycięstwa szedł doskonały pisarz W. Michajłow. W tej samej „Młodej Gwardii" zapłonęła świetna „Łunnaja raduga" (Tęcza księżycowa) S. Pawłowa... Ale jaskółki nie czyniły wiosny.

(...)

Należy też wspomnieć o roli, jaką odegrał Roskomizdat: Państwowy Komitet RSFRR do spraw wydawnictw, poligrafii i kolportażu książek. Poza swymi bezpośrednimi obowiązkami, z którymi nie dawał sobie rady, komitet wziął jeszcze na swoje barki zadania cenzury. I oto, co z tego wynikło.

Zgodnie z przyjętymi zasadami, z miejscowego lub centralnego wydawnictwa nadchodzi rękopis rodzimego fantasty. Oddaje się ten tekst do zrecenzowania komuś ze ścisłej, zaprzyjaźnionej grupki recenzentów.

Rękopis, przed wysłaniem do Moskwy, czytany był na miejscu przez gremium doświadczonych, wykwalifikowanych redaktorów, zrecenzowany przez specjalistów, przedyskutowany w organizacjach literackich. Natomiast w Moskwie jedna, jedyna recenzja przedstawiciela środowiska o wyraźnie określonych gustach okazuje się decydująca. Na rękopis zostaje nałożone tabu.

Przykłady? Fakty? Nie pretendujemy do posiadania wyczerpującej wiedzy w tym zakresie, ale to i owo wiemy.

Parę lat temu wydawnictwo w Kaliningradzie zaplanowało antologię „morskiej fantastyki", w skład której wchodziły opublikowane już utwory. Autorem wyboru był Władimir Gakow. Antologia nie ujrzała światła dziennego.

Pracownik permskiego wydawnictwa W. Bukur przedstawił układ zbioru „Poisk-84". Recenzja Roskomizdatu była miażdżąca, Bukura usunięto ze stanowiska.

Przykład trzeci: autorski tom Łukinych z Wołgogradu. Roskomizdat bez wyjaśnień odrzucił pozytywną recenzję weteranów radzieckiej fantastyki: Bilenkina, Parnowa i Wojskuńskiego – oddając rękopis na pożarcie innemu weteranowi... hmmm... nie będziemy wymieniać nazwiska. Jego recenzja zawierająca osobiste wypady pod adresem kolegów-fantastów, była naszym zdaniem po prostu nieprzyzwoita, ale na jej podstawie zbiorek Łukinych został „utopiony".

Gdyby pytanie o sytuację w radzieckiej fantastyce zadano półtora roku temu, odpowiedzielibyśmy – sytuacja jest ponura i praktycznie pozbawiona perspektyw. Ale przecież mamy za sobą XXVII Zjazd! I już coś świta, coś się wykluwa. Jak to było w „Hrabim Monte Christo" Dumasa? Będziemy czekać i mieć nadzieję.

Czasopismo.

Problem specjalnego miesięcznika poświęconego fantastyce istnieje mniej więcej tyle samo lat, co nasza nowa fantastyka – około trzydziestu. Dwadzieścia lat temu mówiono o niedostatku materiałów. Teraz mówić o tym przestano.

ne koncepcje w odniesieniu do kierownictwa tego czasopisma – nie urzędników, ale znawców i miłośników. I nie ma najmniejszej wątpliwości, że organizacje twórcze pisarzy-fantastów na pierwsze wezwanie odpowiednich instancji przedstawiłyby dokładną koncepcję takiego czasopisma. Jeżeli chodzi o jego cele – są one chyba jasne: ukazywanie najnowszych osiągnięć naszej fantastyki, kształcenie literackie, rozwój myśli teoretyczno-krytycznej i po prostu realizacja odwiecznego marzenia wielomilionowej armii miłośników fantastyki.

I co z tego?

Na razie – nic. Wystąpić z wnioskiem w sprawie powołania czasopisma mogą, o ile się orientujemy, tylko dwie organizacje: kierownictwo Dobrowolnego Towarzystwa Miłośników Książek i Rada do spraw literatury przygodowej i fantastyczno-naukowej Związku Pisarzy ZSRR. Ani jedna, ani druga organizacja nie jest zainteresowana takim czasopismem. A więc znowu: będziemy czekać i mieć nadzieję.

W niektórych listach stawiacie zarzut braciom Strugackim, że nie wykorzystują swego autorytetu, aby wtrącać się w zaistniałe sytuacje.

Po pierwsze – wtrącamy się. Co prawda na narady, w czasie których zapadają ważne i smutne decyzje – na przykład na posiedzenie Kolegium Goskomizdatu ZSRR 23 lutego 1983 r., na którym przyjęto postanowienie „O krokach mających na celu dalsze ulepszenie wydawania literatury do spraw (!) fantastyki naukowej" – nie zaprasza się nas, na pozostałe zresztą również. Istnieje jednak poczta. Pisaliśmy. I albo nam nie odpisywano, albo długo czekaliśmy na odpowiedź. Kiedy zaś odpowiadano, informowano, że wszystko idzie jak należy i delikatnie radzono, żebyśmy nie pchali palców między drzwi.

Po drugie (choć i pierwszego dość), nie należy wyolbrzymiać naszego autorytetu wobec całego aparatu biurokratycznego. I tak ledwo nam go wystarcza, by czasem poprzeć zasługujący na to tekst. Co tu dużo gadać! Za granicą wydawano nas ze sto pięćdziesiąt razy, ale ani razu, mimo wielu zaproszeń, nie byliśmy na międzynarodowych spotkaniach pisarzy-fantastów...

W niektórych listach piszecie do nas, że ostatnimi laty w drugim obiegu pojawiły się opowiadania, nowele, a nawet powieści przypisywane braciom Strugackim. Uważamy to za skandal, tym bezczelniejszy, że nie podlegający, jak nam się wydaje, karze. (Sami tych opusów nie czytaliśmy, ale dochodzą nas słuchy, że jest to napisana byle jak chałtura, zawierająca masę najrozmaitszych, w tym również ortograficznych błędów).

Żeby zorientować nieświadomych czytelników, zamieszczamy krótką bibliografię naszych prac. Nie włączamy do niej opowiadań (dawno ich już nie piszemy), jak również artykułów, wypowiedzi i wywiadów. A więc: „Strana bagrowych tucz" (W krainie purpurowych obłoków, Iskry 1961), „Izwnie", „Put' na Amaltieju", „Strażory", „Połdień, XXII wiek (Wozwraszczenije)", „Popytka k biegstwu", „Daliokaja raduga", „Trudno byt' bogom" (Trudno być bogiem, Iskry 1974), „Poniedielnik naczynajetsia w subbotu" (Poniedziałek zaczyna się w sobotę, Iskry 1970), „Chiszcznyje wieszczi wieka", „Ulitka na skłonie" (Ślimak na zboczu, Alfa 1985), „Wtoroje naszestwije marsian" (Drugi najazd Marsjan – razem z Trudno być bogiem, Iskry 1974), „Skazka o Trojkie", „Gadkije liebiedi" (nie opublikowane), „Obitajemyj ostrow" (Przenicowany świat, Iskry 1971, wyd. II uzup. Iskry 1987), „Otiel' »U pogibszego alpinista«" (Sprawa zabójstwa, Iskry 1973), „Małysz" (Koniec operacji „Arka", Iskry 1975), „Piknik na oboczynie" (Piknik na skraju drogi, Iskry 1974), „Parień iz prieispodniej" (Przyjaciel z piekła, Czytelnik 1979), „Za miliard liet do konca swieta" (Miliard lat przed końcem świata, Iskry 1984), „Powiest' o drużbie i niedrużbie", „Żuk w murawiejnikie" (Żuk w mrowisku, „Fantastyka" 1982, Iskry 1983), „Grad obreczennyj" (nie opublikowane), „Chromaja sud'ba", „Wołny gasiat wietier" (Fale tłumią wiatr, „Fantastyka" 1987), „Piat' łożek eliksira".

„Uralskij Sliedopyt"

Przełożył **Stanisław Belina**

W Radzie Fantastów

Przy wydawnictwie „Młoda Gwardia" od kilku już lat działa Rada Fantastów, w skład której wchodzą znani pisarze, uczeni, kosmonauci. W czasie posiedzeń, które odbyły się w październiku 1986 r. i październiku 1987 r., analizowano główne kierunki młodogwardyjskiej fantastyki oraz perspektywy jej rozwoju. Zwrócono uwagę, że wydawnictwo stara się obiektywnie odzwierciedlić współczesne procesy w fantastyce, stale zaznajamia miłośników gatunku z nowymi nazwiskami, zwłaszcza młodych twórców, w szerokim zakresie demonstruje twórczość fantastów z różnych regionów kraju. W ciągu ostatnich pięciu lat w „Bibliotece radzieckiej fantastyki" wydano 20 książek autorów z Krasnojarska, Tomska, Taszkientu, Krasnodaru, Leningradu, Kazania, Irkucka, Dniepropietrowska, Wołgogradu, Charkowa, Połtawy, Kijowa, okręgu moskiewskiego. Wiele z tych pozycji uzyskało pozytywne oceny w „Prawdzie", „Sowietskoj Rosiji", „Literaturnom obozrienji", czasopismach „Moskwa", „Znanje-siła", „Zaria Wostoka", „Izobrietatiel i racjonalizator", „Słowo liektora" i w innych.

W „Młodej Gwardii" ukształtowała się szkoła I. Jefremowa, która umacnia ideały humanizmu, postępu naukowo-technicznego w imię ludzkości, ostrzega przed pozbawionymi wartości duchowych konsumpcyjnymi postawami, zastanawia się nad rolą jednostki ludzkiej w społeczeństwie przyszłości, nad moralną odpowiedzialnością wobec przyszłości.

Na posiedzeniu rady przedyskutowano krytycznie wystąpienia opublikowane w czasopismach „Uralskij Sliedopyt", „Daugawa", „W mirie knig". Stwierdzono z ubolewaniem, że znani fantaści bracia Strugaccy przyjęli dla swej polemiki wyjątkowo nieprzyjazny, nie znoszący sprzeciwu ton. W istocie, nie jest to krytyka, mająca na celu jakąkolwiek analizę utworu, lecz zwykłe obrzucanie wyzwiskami, natarczywe dążenie do narzucania gustów i sympatii do określonych grup. Krytykę tę trudno i praktycznie rzecz biorąc nie sposób uważać za konstruktywną. Tym bardziej że towarzyszą jej wyolbrzymianie, manipulacje, a nawet zwykłe fałszerstwa. Według takiego schematu działają R. Rewicz, K. Miłow, W. Gopman. „Kniżnoje obozrienije" z 21 listopada 1986 r. zmuszone było wystąpić w obronie pisarza I. Podkołzina, któremu W. Gopman przypisał słowa jednego z bohaterów książki i na tej podstawie brutalnie skrytykował autora zarzucając mu niekompetencję.

Uczestnicy Rady zabierając głos podczas posiedzenia zmuszeni byli podkreślić, iż metody owych literatów przywołują w pamięci sytuację, jaka panowała w czasach RAPP-u, kiedy to, według określenia A. Serafimowicza *kultywowano wyzbyte wszelkich pryncypiów powiązania grupowe, gdzie utwory „swoich" wynoszono pod niebiosa, inne zaś obrzucano błotem, a zamiast koleżeńskiej krytyki i pomocy posługiwano się pałką i orczykiem.*

W twórczości zaś samych pisarzy Strugackich ostatnimi czasy coraz bardziej dają się zauważyć destrukcyjne, nihilistyczne tendencje. Odnosi się to do powieści „Chiszcznyje wieszczi wieka", „Trudno być bogiem", „Żuk w mrowisku", „Gadkije liebiedi". Krytyk W. Bondarienko („Nasz sowriemiennik" 1985, nr 12) omawiając utwór Strugackich „Żuk w mrowisku", napisał z goryczą: *Łatwo zauważyć, jak obecnie nasza „elitarna, awangardowa sztuka" stapia się z „kulturą masową" najniższej jakości. Dawni „postępowcy" propagują wulgarność zdobywając tanią sławę i popularność.*

Rada, zdecydowanie podtrzymując humanistyczne treści fantastyki, zaleciła wydawnictwu szerzej prezentować rozmaite tendencje gatunku. Fantastyka powinna być różnorodna i ciekawa, a jej wspólnym mianownikiem winien być talent twórcy. Zalecono zorganizować w tym celu konkurs imienia Iwana Jefremowa i opierając się na jego rezultatach wydać antologię utworów.

Jednocześnie podkreślono konieczność stawiania wyższych wymagań w czasie kwalifikowania utworów do publikacji, wykazywania troski o podniesienie jakości wydawanej literatury.

W czasie posiedzenia Rady wysłuchano informacji o naradzie-seminarium młodych fantastów, jakie w czerwcu 1987 roku zorganizowała w Nowosybirsku „Młoda Gwardia" przy udziale członków Rady. W trakcie seminarium przeanalizowano ponad sto utworów 21 uczestników z Tomska, Chabarowska, Kemerowa, Barnaułu, Jakucka, Krasnojarska, Ułan-Ude, Nowosybirska. Rezultaty prac seminarium zostaną opublikowane w antologii „Gałązka cedru".

„Fantastika 87"

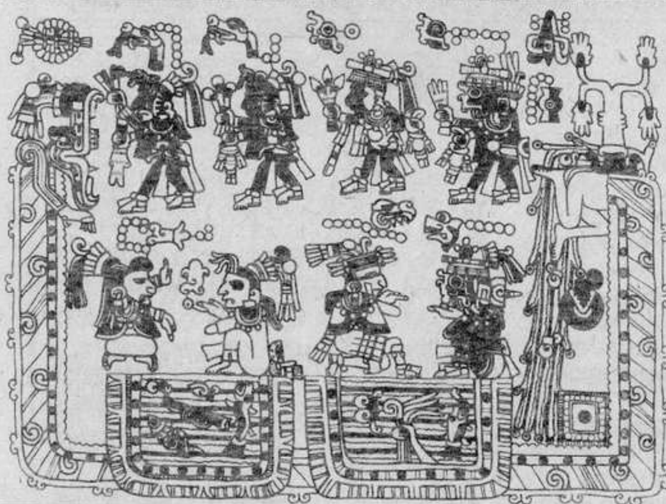
Przełożył **Stanisław Belina**

Maciej Kuczyński

Czciciele chromosomów (2)

Pochodzenie Misteków

36 strona kodeksu Nuttal, zgodnie z opinią badaczy, przedstawia pochodzenie narodu Misteków (rys. 20). Na środku, u dołu stronicy widnieje drogocenne naczynie, które się podzieliło. O tym, że istotnie przedstawiono tu podzielone jajo, świadczy umieszczony z prawej strony mały rysunek nie podzielonego drogocennego naczynia, sprowadzonego do kształtu kwadratu. Zaś nad nim widnieje jeszcze rysunek pomocniczy okrągłego drogocennego kamienia, który



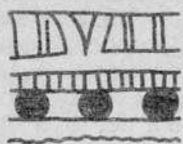
20

pęka i kiełkuje, zapoczątkowując wzrost organizmu... *Zaczynasz kwitnąć i kiełkować jak drogocenny kamień...* – aztecka położna do noworodka.

Lewa połowa drogocennego naczynia opatrzona jest m.in. muszlą – hieroglifem teccíztli, a według Edwarda Selera, niedoścignionego komentatora kodeksów: *ślimak morski symbolizuje narodziny człowieka.* Także Andres de Olmos, pośród ocalonych przez siebie przenośnych zwrotów i wyrażeń, zanotował, iż słowo yolcayótl, ślimak – oznaczało „początek rozrodu".

Naczynie z prawej zawiera pośród symboli podwajających się i kiełkujących, wiązkę trawy malinalli, hieroglifu o wartości „rzecz skręcona", „coś co jest skręcone" (trawy tej używano do skręcania sznurów). Oznacza to, że w rozrodzie bierze udział „sznur skręcony", odpowiednik DNA, którego miejsce jest w jaju.

Przeprowadziłem porównanie przekrojonej ściany drogocennego naczynia z przekrojem jaja ludzkiego w fazie oocytu, tuż przed owulacją, ukazanego na zdjęciu mikroelektronowym (rys. 21). Kolejne warstwy, idąc od środka oocytu, to: pierwsza – jądro ko-





21

mórkowe, druga – cytoplazma komórki z dużymi, ciemnymi owalami mitochondriów, ciałek dostarczających komórce energii chemicznej, trzecia – tak zwana osłonka przejrzysta, powstająca wokół oocytu, będąca galaretowatym nieprzepuszczalnym płaszczem, całkowicie otaczającym jajo, czwarta – też nie należąca do jaja, warstwa ziarnista, zbudowana z sześciennych komórek matki; wyrostki tych właśnie komórek, przebijając osłonkę przejrzystą, wnikają do jaja. Z powierzchni jaja wnikają w osłonkę liczne mikrokosmki.

Te kolejne sfery, z wyjątkiem komórek ziarnistych, mają swe odpowiedniki w rysunku z kodeksu Nuttal.

Stronicę opasuje pasmo prążkowane, skręcone z kolorów, przekształcające się w tułów i wierzgające nogi ludzkie. Na podstawie tego co dotychczas udało się wyjaśnić na temat biologicznej symboliki pasm prążkowanych i skręconych sznurów, można wnosić, iż przedstawiono tu symboliczny chromosom, który przekształca zawartą w sobie informację w ciało. Byłby to więc graficzny odpowiednik współczesnych pojęć genotypu – fenotypu. Pierwsze oznacza zespół cech genetycznych organizmu zapisanych w pasmach DNA, drugie, zespół cech organizmu wytworzonego przez genotyp i wpływ środowiska.

Lewy koniec pasma zaopatrzono w głowę węża, zaś na jego długości widnieją skręcone pióra, wskazując, że chodzi tu o Węża Upierzonego. Popol Vuh, święta księga Indian Kiczów, mówi o początkach życia: *...tylko woda w spoczynku, morze uspokojone, samotne i ciche. Nie było niczego obdarzonego istnieniem... Tylko Stwórca, Kształtujący, Tepeu, Gucumatz, Przodkowie znajdowali się w wodzie... ukryci pod piórami zielonymi i błękitnymi.*

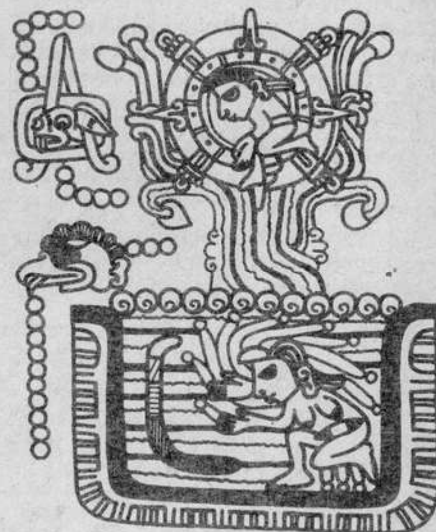
Gucumatz jest to wąż okryty zielonymi piórami. Według Selera: *K'ucumatz z mitu gwatemalskiego ma bez wątpienia znaczenie żywego zalążka wody. U'cux cho u'cux palo znaczyło: serce (wnętrze, żywy zalążek) jeziora i morza.*

Tak został postawiony znak równości między zalążkiem życia, Gucumatzem, Wężem okrytym piórami, a pasmem będącym informatyczną podstawą życia. Tę tematykę rozwijam w dalszej części artykułu.

Wzdłuż takiego pasma – węża biegnie czerwony szlaczek z ciemniejszymi plamkami „mitochondriów", taki sam jak w obramieniu drogocennego naczynia, wiążąc tym samym owo pasmo – umowny chromosom – z komórkami.

Dla skompletowania tej grupy dowodów pozostało wykazanie, że w przekonaniu Dawnych Meksykanów miejscem prążkowanego pasma, „zapisu" człowieka było wnętrze drogocennego naczynia, tak jak miejscem chromosomu jest wnętrze komórki.

Problem ten rozstrzyga jednoznacznie rysunek z 9 strony kodeksu Nuttal, wybrany spośród wielu



22

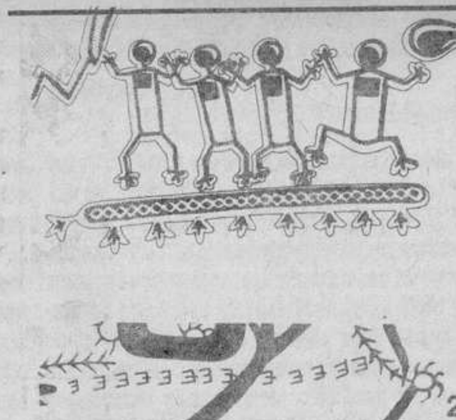
podobnych, rozsianych w kodeksach (rys. 22). Umieszczona w drogocennym naczyniu żółta postać kobieca, oznaczona w miejscu przepaski biodrowej znakiem imienia, 3-Krzemień, przedstawia księżniczkę, której dzieje są tematem kilku stronic, zaś omawiana stronica relacjonuje narodziny jej syna. Przed postacią kobiety, w żywej, drogocennej wodzie i wewnątrz drogocennego naczynia widnieje pasmo prążkowane.

Te same treści, choć w nieco inny sposób, przedstawia rysunek z kodeksu Bodleya (rys. 23). We wnętrzu jaja tkwi prążkowane pasmo, a z niego i z naczynia wyrasta Drzewo Życia, jak zwykle oddające zasadę wzrostu biomasy przez podziały i kopiowanie wzorców. Taka całość jest właściwą ilustracją dla biologicznej zasady mówiącej, że wzrost organizmów wielokomórkowych jest możliwy tylko dzięki informacji genetycznej przekazywanej z pasmami chromosomów w komórkach rozrodczych.



23

Synteza białka



25

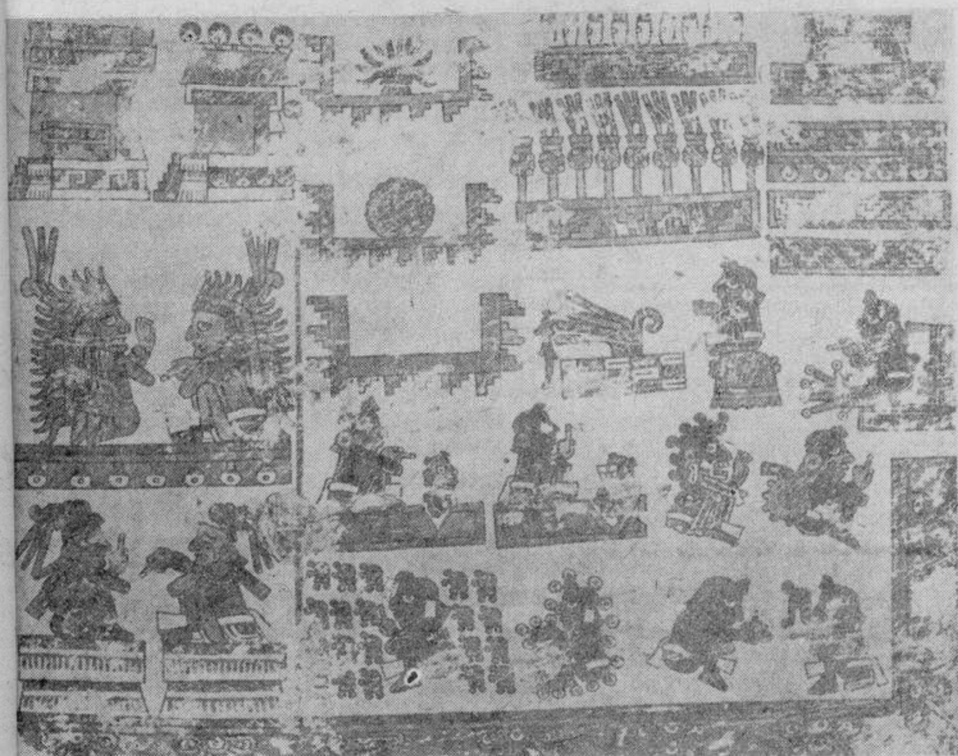
Stronica 52 kodeksu Vindobonensis zawiera serię piktogramów wskazujących na wtajemniczenie Dawnych Meksykanów także w tematykę kodu genetycznego i syntezy białka (rys. 24).

U dołu i z prawej strony widnieje obramowanie ze znakami Wenus, które, według komentatora tego kodeksu, Nowotnego, oznacza, iż tematem piktogramów są wydarzenia zachodzące w niebie. Wizerunek drogocennego naczynia – jaja z tryskającą zeń żywą wodą i symbolami komórek, oraz znak malinalli, „rzeczy skręconej" wskazują na charakter tego „nieba", jako obszaru wewnątrz żywej substancji.

Animatorem procesu przedstawionego na omawianej stronicy jest bóstwo o czarnej skórze. Kolor czarny oznacza, iż działa ono w obszarze niewidzialnym dla ludzi.

W drugim rzędzie od dołu widnieje ujęty w ramkę prostokąt, podzielony na cztery barwne pola. Dla figury tej, występującej często w ikonografii Dawnego Meksyku, nazywanej tlapapalli, „rzecz prążkowana", a rysowanej jako 3 lub 4 pola barwne, spróbowałem znaleźć odpowiednik biologiczny.

W nici DNA tylko cztery zasady: adenina (A), tymina (T), guanina (G), cytozyna (C), służą do budowania trójkowych kodonów określających kolejność aminokwasów w drobinie białkowej. Są one jakby czterema literami, z których budowane są trójliterowe słowa kodu. Taki kodon, zwany też trypletem, jest szyfrem dla jednego z dwudziestu aminokwasów. Dla przykładu, kodon AAA u wszystkich organizmów Ziemi określa aminokwas lizynę, zaś kodon GCA – alaninę. Tak więc, cztery kolory byłyby odpowiednikami czterech zasad? Wiele na to wskazuje. Już sąsiedni rysunek ukazuje podobną ramkę, lecz z trzema kolorami tylko, jakby przedstawiając zasadę trójkowego kodonu dla jednego z aminokwasów. I oto poniżej znajduje się tabela 20 symboli! Tyle właśnie jest aminokwasów najczęściej wchodzących w skład białek.

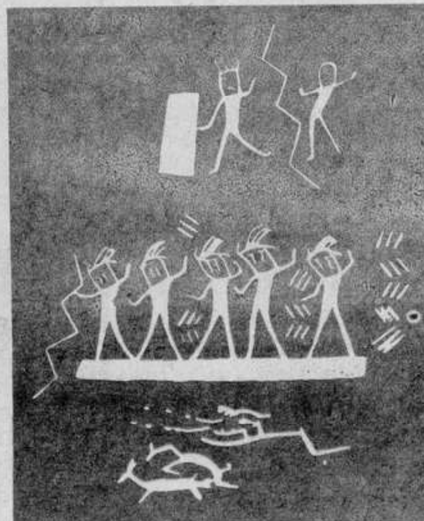


24

Z ramki tlapapalli wyłania się duszek o małpiej głowie, jako nosiciel czerwonego prążka, widniejącego na „śliniaku" pod jego brodą. Takie prążki zostały już zidentyfikowane jako chromosomowe. Ten sam duszek z prążkiem wyłania się z trzech kolorów, lecz już odwrócony „do góry nogami". Mogłoby to oznaczać, że kodon z chwilą translacji na aminokwas, przeistacza się, jakby „odwraca", informacja zawarta w genie staje się białkiem.

Z jaskini w kalifornijskich górach Santa Barbara, znany jest rysunek pałeczki z wpisaną „podwójną spiralą" i ciągiem trójkowych symboli rozmieszczonych wzdłuż jej długości (rys. 25). Zaś malowidło naskalne w pobliskich górach San Rafael, zawiera „ciągi trójkowe", dobrze oddające zasadę kodonów.

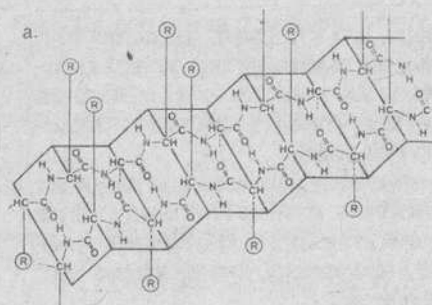
W Peru, pośród dziesiątków tysięcy rytów na głazach w miejscu zwanym Toro Muerto, występują pałeczki opatrzone z jednej strony zygzakowatym pasmem odtwarzającym, jakby rzutowaną na płaszczyznę, strukturę śrubową czy helikoidalną, zaś z drugiej strony takimże zygzakowatym pasmem, lecz już podzielonym na grupy trójkowe (rys. 26). Zrodzeni z tych pasm ludzie naśladują je swym tanecznym ruchem. Zamiast głów mają komórki z replikującymi się pasmami.

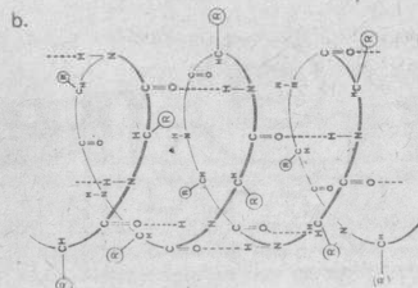


26

Wracając do omawianej stronicy (rys. 24), należy powiedzieć, że obok odpowiedników 20 aminokwasów, czterech zasad, kodonu trójkowego i prążka chromosomowego, zawiera ona też przedstawienie struktury, powstającej w wyniku połączonego działania tych czynników, a mianowicie – białka.

W górnej części strony widnieją schodkowate wzory, ujęte w takie same ramki jak cztery kolory. Rzecz w tym, że wzór schodkowaty daje się porównać z drugorzędną strukturą drobin białkowych, mających przestrzenny układ zwany przez biochemików „połamanym arkuszem" (rys. 27). Inna struktura białka powstaje przez zwinięcie się tych „połamanych arkuszy" w tak zwaną alfa-helisę. I to zwinięcie ma też swój odpowiednik w piktogramach.





27

Nuttal przedstawia na 65 stronie ubiór bóstwa ozdobiony wzorami zwijającym się i schodkowatym (rys. 28). Towarzyszy im sznur skręcony z dwu nici, opowiednik DNA. Słownego komentarza do tego przedstawienia dostarcza ustęp z Chilam Balam, wzięty z tekstu o pochodzeniu plemienia Itza'ów: *...dobrzy ludzie? Moja odzież, mój ubiór powiedzieli bogowie. To się wie, to wiadomo każdemu.* Jak wiadomo, białka są najważniejszym składnikiem strukturalnym organizmów żywych, tych, wewnątrz których znajdowałoby się niebo Dawnego Meksyku.

Na koniec, w kodeksie Nuttal, na 75 stronie (rys. 29), widnieje pasmo podwajające się wraz ze swymi prążkami wąskim i szerokim, które w 1 części w rozdziale „Chromosomy i DNA" (patrz „Fantastyka" nr 7/88) zostało porównane do chromosomu x ssaków (rys. 10). Pasmo to jest przedstawione razem z ramką zawierającą wzór schodkowaty, tak jakby było jego równoważnikiem. Jest to w pełni zgodne z rozumieniem chromosomu jako struktury przechowującej informację genetyczną o białkach. Co więcej, oba te twory są umieszczone wewnątrz drogocennego naczynia, jaja, a towarzyszą im symbole rozrodu.

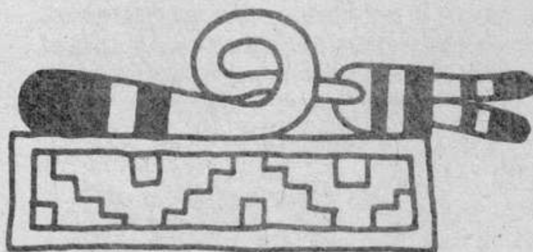
Wracając do omawianej stronicy Vindobonensis, zawierającej swoisty wykład o syntezie białka, nale-



28

ży zauważyć, iż w górnej części narysowano krzak agawy w ramie ze schodkowatych cegiełek białkowych. Można stąd wnosić, że treścią przekazu jest geneza tej dawnej rośliny, dostarczycielki błogosławionego napoju pulque.

Procesem opiekuje się umieszczona z lewej strony para starych bóstw, męskiego i żeńskiego, o których pisze Seler w komentarzu do kodeksu Borgia: *Tonacacihuatl i Tonacatecuhtli, Panowie naszego ciała, Panowie prokreacji.*



29

Tak więc, obecność tej pary upewnia, że tematem piktogramów są procesy związane z kreacją ciała, roślinnego tym razem.

Kluczem do zrozumienia w jaki sposób wtajemniczenie biologiczne przekształciło się w system religijny, jest kreacja Quetzalcoatla (quetzal – ptak, cóatl – wąż), Węża Upierzonego, najbardziej czczonego bóstwa Mezoameryki.

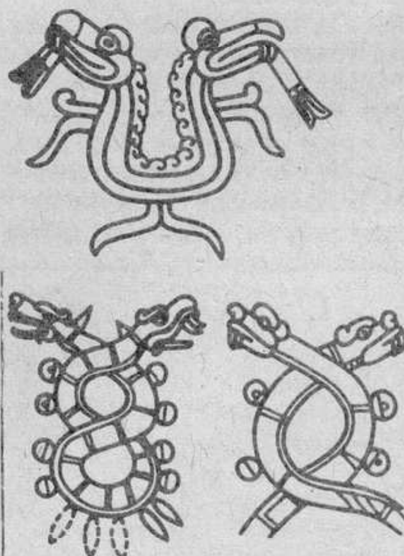
Roman Piña Chan tak o nim pisze w swej książce pt. „Quetzalcóatl": *...bóg Quetzalcóatl miał swój początek w starym bóstwie wodnym (wąż – chmura deszczowa), później związanym z błyskawicą – grzmotem – piorunem – ogniem... Jego kreacja i narodziny dokonały się w Xochicalco u schyłku Horyzontu Klasycznego... co obserwuje się na udekorowanej platformie-świątyni i na stelach...*

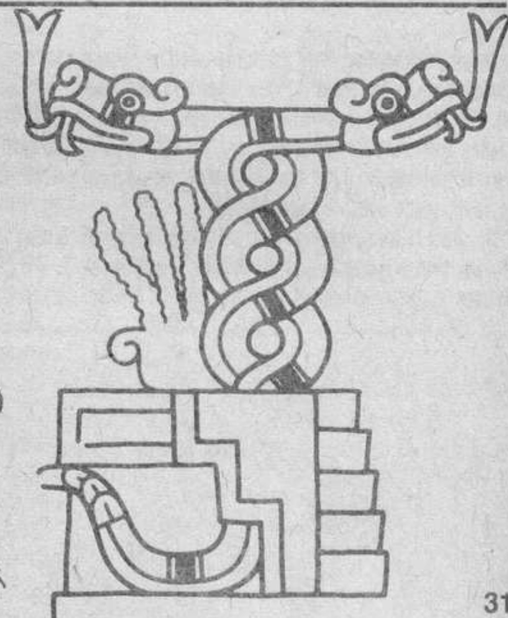


30

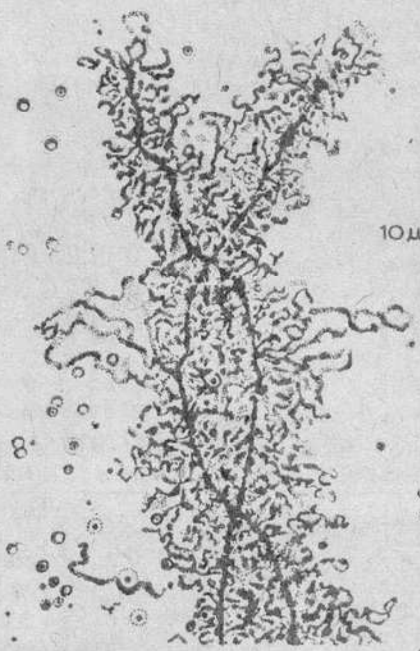
Wąż upierzony

Ten niezwykły akt jednorazowego powołania boga przez kastę kapłanów polega, moim zdaniem, na deifikacji znanego kapłanom, dynamicznego procesu przyrodniczego, jakim jest w istocie człowiek, poczynający się od pasm informatycznych w jaju i poprzez rozwój ciała osiągający dojrzały umysł. Na podstawową postać boga wybrano bowiem w Xochicalco ciało wężowe ozdobione piórami, zaś jego typowym wizerunkiem uczyniono głowę ludzką wyłaniającą się z paszczy takiego węża (**rys. 30**). Mielibyśmy tu więc do czynienia z alegorią: od węża pierzastego – chromosomu do jego wytworu, ciała ludzkiego.





31



32

Najważniejszą, „kluczową" dla zjawiska życia własnością chromosomów jest ich zdolność do wytwarzania własnych kopii. I oto, zarówno w Xochicalco, jak i w całej Mezoameryce, węże upierzone występują najczęściej podwojone, parami lub jako jedno ciało o dwu głowach czy dwa ciała z jedną głową (**rys. 31**). A przy tym obdarza się Quetzalcoatla stałym epitetem: „Drogocenny Bliźniak"! Biologiczną wykładnię symbolu węża potwierdzają liczne inne świadectwa.

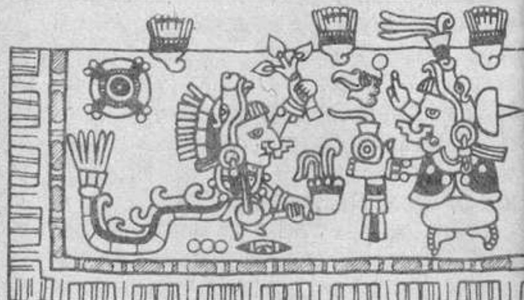
O wężu z zielonymi piórami jasno powiada księga Popol Vuh, że był pierwszą istotą żyjącą w praoceanie, co dobrze przystaje do hipotezy pierwszych replikatorów jako zaczątków życia na naszej planecie. A. Lopez Austin w swej książce „Człowiek-bóg" podaje, że Toltecy, zwracając się do swego boga, śpiewali: *Ja, reprodukcja Starego, węża nocy.* Istotnie – człowiek jest reprodukcją prastarego zapisu genetycznego zawartego na pasmowych drobinach niewidzialnych dla oka, więc „ukrytych w nocy".

Lecz skąd wzięły się pióra? Doszedłem do wniosku, że obowiązujące objaśnienie, mówiące o symbolicznej unii pełzającego w prochu gada z ptakiem, czyli Ziemi z Niebem, czynnika materialnego, śmiertelnego z boskim, duchowym, pozostawia też miejsce dla genezy biologicznej.

W okresie między podziałami komórek chromosom rozwija się, rozluźnia swą strukturę, z pałeczki zamienia się w długie pasmo, które dobudowuje pasmo bliźniacze (**rys. 32**). Od osi podłużnych obu pasm odchodzą liczne pętle nici DNA. Nazwano te chromosomy szczoteczkowymi.

Otóż, gdyby Indianie ujrzeli ten wizerunek, skojarzyłby się im raczej z wężem i piórami niż szczotką do mycia butelek, których nie znali. Taki też upętlony chromosom miałby pełny tytuł do nazwy „Żywego zalążka wody", jaką nadawano wężowi z piórami. I nie koniec na tym! Juan de Cordoba w swym słowniczku języka Zapoteków podaje, że zdanie określające węża: xica pita'o mani, tłumaczy się jako „zwierzę z naczynia boga"! Zaś o tym, że owym „naczyniem boga" jest komórka, dobitnie świadczą wizerunki w kodeksach.

Kodeks Nuttal ukazuje księżniczkę mistecką 3-Krzemień z ręczną kadzielnicą (**rys. 33**). Dymiąca w niej żywica świadczy, iż księżniczka w obecności kapłanki dokonuje ceremonii „zażegnięcia" życia. A dzieje się to we wnętrzu chalchihuitl apazco, drogocennego naczynia, naczynia boga, jaja. Zaś sama księżniczka jest w nim wężem upierzonym, z którego szczęk wynurza się tylko jej głowa. Tak, owa historyczna postać, 3-Krzemień została ukazana w jej chromosomowym wcieleniu. Tutaj, w jaju, chromosomy zapo-



33

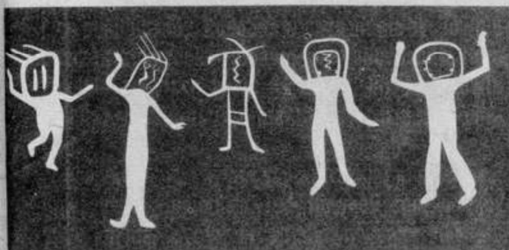
cząstkowują wzrost nowego organizmu: naszyjnik cózcatl, hieroglif o wartości „dziecko", na szyi.

„Kosmici"

Niejako poza temat niniejszego artykułu wykracza sprawa, o której wspominałem we wstępie. Chodzi o te liczne wizerunki, rozsiane po świecie, które tak chętnie przedstawia się jako kosmitów w hełmach. Przekonałem się, że wiele z nich można doskonale objaśnić używając klucza biologicznego. Ograniczę się do jednego tylko przykładu. W Peru, w pobliżu Arequipy, w miejscu zwanym Toro Muerto, czyli Martwym Bykiem, znajduje się pustynny obszar zasłany piaskiem i głazami. Na nich jaśnieją dziesiątki tysięcy rytów przedstawiających ludzi, zwierzęta, spirale, okręgi, słońca i figury geometryczne.

Autorzy opisujący to niezwykłe, prehiszpańskie sanktuarium, określają antropomorficzne sylwetki jako „niewątpliwych" kosmonautów w kaskach z „refleksami świetlnymi" na szybach, „ukrywających" rysy twarzy (rys. 34). Nie dyskutując prawdopodobieństwa rycia refleksów na prymitywnych i schematycznych wizerunkach, wyskrobanych w szorstkim kamieniu, warto zająć się przede wszystkim ich podobieństwem do symboli mezoamerykańskich. A to już narzuca inną interpretację.

Obrysy tych głów zawierają, jak sądzę, informację o pochodzeniu istoty ludzkiej, raz od podwajających się pałeczek, innym razem od wężowatego, spiralnego pasma, gdzie indziej jeszcze od podwajających się komórek i ich pasm.



34

Inne postacie, z kolistymi głowami z jednego lub dwu współśrodkowych okręgów, zapewne dźwigają też nie hełmy, lecz wyobrażenie komórek jajowych, z których rozwinęło się ciało.

•

Na tym kończę to krótkie i dalekie od wyczerpania dowodów przedstawienie hipotezy o biologicznym poinformowaniu ludów Mezoameryki. Pozostaje pytanie o jego pochodzenie. Podobna wiedza mogła być równie dobrze przekazana kapłanom przez obce istoty, które zbadały zjawisko życia na Ziemi, jak i stanowić przekaz po jakiejś zamierzchłej cywilizacji ziemskiej.

Osobiście przychylam się do trzeciej możliwości: meksykańscy Indianie z grupy Huicholi, spożywający stale kaktusy zawierające halucynogenną meskalinę, twierdzą, iż dzięki temu wchodzą w kontakt ze swymi bogami, zadają im pytania i uzyskują odpowiedzi. Także tyczące wewnętrznych struktur ciała. Widziałem malowane na ich twarzach schematy komórek, odcinków podwójnej helisy oraz biwalentnych chromosomów. Byłoby więc to poznanie drogą psychotroniczną.

Maciej Kuczyński

1981 (ciąg dalszy)

Utopia (U):

1574. ANAR [właśc. RZAĖV-ANAR Rasul Ogly]: *Kontakt*. Tłum. z ros. Wiesława Karaczewska. [Oryginał azerbejdżański – tłum. na ros. autor]. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 78, nlb.2. 10 000 egz.

1575. BARDIJEWSKI Henryk: *Dramaty*. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° s. 491, nlb.1. 3000 egz. – 6 dramatów, w tym 3 fantast.

1576. BENOIT Pierre: *Atlantyda*. Tłum. [z franc.] Kazimierz Bukowski. Wstęp Zbigniew Naliwajek. Wyd. I powoj. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 252, nlb.4. 30 000 egz. – Seria Retro.

1577. FUENTES Carlos: *Terra nostra*. Tłum. [z hiszp.] Maria Kaniowa. T. I–III. Posłowie Michał Sprusiński. Kraków. Wyd. Literackie. 16° T.I.: *Stary świat*. ss. 456, nlb.4, T.II: *Nowy świat*. ss.181, nlb.3. T.III: *Drugi świat*. ss.378, nlb.1. 20 000 egz. – Proza Iberoamerykańska. – Elementy fantast. – U/AF.

GALL N.: *Koci...* – zob. AF.

1578. GERECH Jan, SZULC Jerzy: *Zbliżenia czwartego stopnia*. Gorzów Wlkp. Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej. 8° ss.79, nlb.1. 2000 egz – Fantazja – Nauka – Przyszłość. – Niektóre utwory fantast.

1579. GŁĄBIŃSKI Stanisław: *Korespondent nadaje z Lahore...* Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 276, nlb. 2. 50 000 egz.

1580. HEINRICH Reinhard, SIMON Erik: *Pierwsze podróże w czasie. Suplement do „Podręcznika podstaw temporalistyki" dr. temp. Kassandry Smith. Centralne Wydawnictwo Słoneczne. Nowe-Nowe Miasto nad Wielką rzeką Metanową. (Jupiter) 2477.* Przekład autoryzowany [z niem.] Salvator Tarley. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss.157, nlb.3. 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka. Na okł. kolejność autorów odwrotna – U/ASF.

1581. KARINTHY Frigyes: *Całe miasto o tym mówi*. Wybór i tłum. z węg. Tadeusz Fangrat. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 199, nlb.5. 10 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.

1582. LENECH Romuald: *Co rozum, to przyszłość*. Katowice. Wyd. „Śląsk". 16° ss.162, nlb.2. 10 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.

1583. LEWANDOWSKI Jan: *Czy pani wierzy w UFO?* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss.155, nlb.5. – Seria Kryminalna KAW-u.

1584. ŁYSIAK Waldemar: *Flet z mandragory*. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 259, nlb.1. 30 000 egz.

1585. MIESZKOWSKI Tadeusz: *Wieczory z Karolem*. Warszawa. Iskry. 16° ss.124, nlb.4. 10 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.

1586. MROŻEK Sławomir: *Opowiadania* [nowe]. Kraków. Wyd. Literackie. ss 144, nlb.3. 20 000 egz.

1587. PRZYPKOWSKI Andrzej: *„Palm City"*. Wyd. II. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 322, nlb.2. 30 000 egz.

1588. STRATTON Robert F. [pseud.]: *Czas nietoperza*. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 286, nlb. 2. 30 000 egz.

1589. SWIFT Jonathan: *Podróże Guliwera*. Wg... oprac. Jacek Bocheński i Marian Brandys. [Wyd. V w tym oprac]. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss.252, nlb.4. 100 000 egz.

1590. WALTARI Mika: *Turms nieśmiertelny*. Tłum. ze szw. Zygmunt Lamowski. [Oryginał fiński]. Poznań Wyd. Poznańskie. 16° ss. 599, nlb. 2. 20 000 egz.

1591. WARZECHA Jarosław: *Pamiętnik umysłowego*. Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 90, nlb. 2. 30 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast.

1592. ŻYLIŃSKA Jadwiga: *Gospoda samobójców*. Opowiadania. Wyd. III. Warszawa. Czytelnik 16° ss. 187, nlb. 4. 30 000 egz.

Fantazja dla dorosłych (AF):

1593. AYMÉ Marcel: *Rusałka*. Tłum. [z franc.] i posłowie Wanda Błońska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 185, nlb. 2. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

1594. BEDNARSKI Piotr: *Morze u wezgłowia*. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss.118, nlb.2. 10 000 egz. – Sześć opowiadań, w tym dwa fantast.: *Wyspa* s. 73–96 i *Skalne urwisko*, s. 97–119.

1595. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Doktor Twardowski*. Wyd. II. T. I–II. Warszawa. Czytelnik. 16° T.I ss. 253, nlb.3; T.II s.350, nlb.2. 30 000 egz. – Kolekcja Polskiej Literatury Współczesnej.

1596. [BRŪSOV Valērij]: *Ognisty anioł*. Tłum. [z ros.] Elżbieta Wassongowa. Posłowie René Śliwowski. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 491, nlb. 3. 30 000 egz. – Seria Retro. – Właśc. okultystyczne.

1597. de CASTRESANA Luis: *Żegnajcie*. Tłum. [z hiszp.] Hanna Igalson-Tygielska. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 8° ss. 135, nlb. 1. 100 000 egz.

1598. CORTAZAR Julio: *Nikt, byle kto...* Tłum [z hiszp.] Zofia Chądzyńska. Posłowie Jerzy Kruk. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss. 144, nlb. 3. 20 000 egz. – Proza Iberoamerykańska. – Niektóre opowiadania fantast.

1599. DRZEŻDŻON Jan: *Rozkosze miłości*. Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 226, nlb. 5. 20 000 egz. – Właśc. baśniowo-surrealistyczne.

1600. DRZEŻDŻON Jan: *Wśród ludzi*. Ciąg dalszy [właśc. cz. III] „Krainy Patalonków". Warszawa. Iskry. 16° ss. 297, nlb. 3. 16 000 egz. – AF/CJF.

FUENTES C.: *Terra...* – zob. U.

1601. (?) FUKS Ladislav: *Wariacje na najniższej strunie*. Tłum. z czes. Maria Erhardt-Gronowska. Wstęp Zdzisław Niedziela. Katowice. Wyd. „Śląsk". 8° ss. 394, nlb. 2., tabl. 8. 20 000 egz. – Elementy fantast.

1602. GALL Natalia: *Koci skok*. Wrocław. Ossolineum. 16° ss. 177, nlb. 2. 10 000 egz. – Niektóre opowiadania fantas. – AF/U.

1603. GUIDO Clemente: *Czarodziejski ptak ułudy*. Tłum [z hiszp.] i posłowie Jerzy Kühn. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 216, nlb. 3. 10 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

1604. JARRY Alfred: *Odwiedziny Amora*. Tłum. [z franc.] Maria Leśniewska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 101, nlb. 3. 20 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast. (s. 60–100).

1605. (?) PRANDOTA Mirosław: *Cztery mole i jeden dur*. Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 16° ss. 296, nlb. 1. 20 000 egz. – Elementy fantast.

1606. QUIROGA Horacio: *Biała zapaść*. Opowiadania wybrane. Tłum. [z hiszp.] Marek Baterowicz. Posłowie Adam Komorowski. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 115, nlb.1. 20 000 egz. – Proza Iberoamerykańska. – Większość opowiadań fantast. (także bajki). – AF/W.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**





Arnold! Arnold!

Konwencja science fiction nie musi być pretekstem do podejmowania poważnych problemów. Nader często służy po prostu rozrywce, ucieczce od rzeczywistości. Producent chce zarobić pieniądze, za które oferowuje widzowi dobrą zabawę bez poszukiwania głębokich przesłań, symboliki. Do takich filmów należą produkcje, w których występuje szalenie popularny aktor – Arnold Schwarzenegger. Kiedy pojawił się piętnaście lat temu w Hollywood miał trzy wady: obcy akcent, łamiące język nazwisko oraz zbyt wydatne muskuły! W tamtych czasach widzowie nie interesowali się kulturystyką, uważając że ludzie, którzy ją uprawiają, są zniewieściałymi narcyzami. A Schwarzenegger był już wówczas pięciokrotnym zdobywcą tytułu Mr. Universe i siedmiokrotnym Mr. Olympia (dla zawodowców). Niesłuszne opinie o kulturystyce podważył bestseller „Pumping Tron" wydany w 1974 roku, ze zdjęciami naszego bohatera. W dwa lata później na podstawie wspomnianej książki zrealizowano film. Publiczność zobaczyła ciężką pracę, ogromny wysiłek, morderczą dyscyplinę, ale przede wszystkim Arnolda Schwarzeneggera.

Potem były drobne rólki, głównie dla telewizji, aż do momentu, kiedy Steven Spielberg (czy ten człowiek wszędzie musi wtrącić swoje trzy grosze?) zasugerował producentowi Edowi Pressmanowi, żeby obsadzić Arnolda w filmie „Conan Barbarzyńca". Krytyka filmu nie chwaliła, ale przyniósł on zysk stu milionów dolarów, a to oznacza już sukces. Potem był „Elektroniczny morderca", „Comando", „Jak to się robi w Chicago" i Schwarzenegger stał się gwiazdorem.

Co w kreowanych przez niego postaciach przyciąga widzów? Odwaga, bezwzględność, umięśnione ciało, kamienna twarz? *On dowiódł, że nadal możesz robić, co tylko chcesz* – twierdzi James Cameron. *To sukces siły i woli w świecie, gdzie ludzie czują się bezsilni wobec życia.* O zapotrzebowaniu na ten typ bohatera pisał także Aleksander Ledóchowski: *Współczesny człowiek, gdziekolwiek żyje, coraz bardziej staje się niewolnikiem cywilizacji. (...) A właśnie Superman, James Bond, Rambo czy Rocky robią to co chcą i tak jak chcą. Są jakby ponad tym światem. Wybierają swoje zadania i rozwiązują je na swój sposób.*

Kiedy popularność Schwarzeneggera była już ugruntowana, zdecydowano się napisać scenariusz, rzecz jasna – specjalnie dla niego. W Hollywood film jest najpierw pomysłem, koncepcją ulegającą później wielu modyfikacjom. W taki sposób powstał film „Drapieżca" (Predator). W pierwszej wersji jego tytuł brzmiał „Łowca" (Hunter), a akcja miała rozgrywać się na innej planecie, na której człowiek (Arnold!) walczyłby z jej mieszkańcami (chodziło o połączenie SF i tzw. kina silnych ludzi, co miało zapewnić produkcji powodzenie). Uznano jednak, że koncepcja zbyt przypominała scenariusz „Ukochanego wroga". W kolejnej wersji olbrzymi, zagrożony zniszczeniem las buntował się atakując grupę ludzi, nader szybko zredukowaną do jednej osoby (oczywiście Arnold!).

Ostatecznie rzecz cała rozgrywa się na Ziemi, a wróg przybywa z kosmosu. Schwarzenegger wciela się w postać majora Dutcha Schaefera. Na początku film utrzymany jest w tonacji khaki: znakomicie wyszkoleni komandosi zostają wysłani w specjalnej misji do dżungli w Ameryce Łacińskiej. Ich dowódcą jest oczywiście Arnold. Otrzymują zadanie odbicia zakładników uwięzionych przez partyzantów. Akcja wydaje się rutynowa (tak samo było w przypadku grupy wysłanej na spotkanie z obcymi w filmie „Obcy, decydujące starcie", podobny też będzie finał). Oddział, w skład którego wchodzą między innymi: Mac (Bill Duke), Hawkins (Shane Black – scenarzysta znakomitego filmu „Lathal weapon"), Billy (Indianin Sonny Landham) i Blain (Jesse Ventura, mistrz walk zapaśniczych), zaczyna szybko topnieć. W dżungli poza guerillas grasuje diabeł – przynajmniej tak sądzą tubylcy. Film toczy się wartko ku nieuchronnemu spotkaniu Arnolda i Obcego.

Tytułowy drapieżca jest mieszkańcem jakiejś nieokreślonej planety. Na Ziemi zjawia się, żeby zapolować... na ludzi. Pomysł wcale oryginalny. Tym razem jednak zabawa w myśliwego zamieni się w pojedynek równego z równym.

„Drapieżca" łączy elementy SF, horroru i filmu przygodowego. Puszcza środkowoamerykańska stanowi dla akcji wspaniałe tło. Scenariusz, choć sporo w nim zapożyczeń z „Comando" i „Obcych", został skonstruowany precyzyjnie, tak że film trzyma widza przez cały czas w napięciu. Jednak największym atutem filmu staje się postać obcego-drapieżcy. Bardziej podobny zjawie niż istocie materialnej przemyka jak cień pośród bujnej roślinności, atakując błyskawicznie swoje ofiary, które nie potrafią uniknąć jego wzroku widzącego ciepło. Chyba po raz pierwszy w dziejach kina SF p o k a z a n o postać naprawdę o b c ą. Niestety nie do końca. Narastające uczucie zagrożenia wynikające z nierozpoznania istoty zła, czy raczej – złej istoty, zostało zniszczone w ostatnich scenach, kiedy nad koncepcją artystyczną zatriumfowała sprawność warsztatowa. Zło zostało pokazane w szczegółach i z bliska, a to spowodowało, że natychmiast przestało być groźne. Ciekawy pojedynek zakończono widowiskowym fajerwerkiem: spece od efektów specjalnych zafundowali nam w finale mały wybuch atomowy, z którego cały i żywy wyszedł oczywiście Arnold.

„Drapieżca" jest typowym produktem kina komercyjnego, czyli bardziej towarem niż dziełem. Trzeba jednak przyznać, że jest to towar najwyższej klasy.

O Schwarzeneggerze trudno mówić jako o aktorze, choć nie sposób odmówić mu pewnego magnetyzmu. Jak zwykle jest supersprawnym automatem do walki, a rola pozwala mu na pokazanie wszystkich atutów. Niezwykle sprawne ciało i niema twarz. Trudno oczekiwać czegoś więcej od dowódcy komandosów.

Warto na koniec przypomnieć, że następny film ze Schwarzeneggerem – „The Running Man" oparty jest na futurystycznej noweli Richarda Bachmana (czyli Stephena Kinga), w której porządny facet został oskarżony przez brutalną policję Ameryki XXI wieku o masowe morderstwo. Również i ten film odniósł duży sukces komercyjny. W obecnie realizowanym „Red Heat" Schwarzenegger występuje w roli radzieckiego policjanta zjawiającego się w Chicago, aby schwytać handlarza narkotykami (podobno dopiero ten film pozwoli mu pokazać, że jest naprawdę dobrym aktorem). Arnoldowi nie brak również propozycji na przyszłość. Co z tego zobaczymy w kinach lub w wersji wideo – nie wiadomo. Filmy z gwiazdą są drogie.

Dorota Malinowska

DRAPIEŻCA (Predator). Reżyseria: John McTiernan. Scenariusz: Jim Thomas i John Thomas. Zdjęcia: Donald McAlpine i Leon Sanchez. Obsada: Arnold Schwarzenegger, Carl Weathers, Elpidia Carillo, Bill Duke, Jesse Ventura, Sonny Latham, Richard Chaves, Kevin Peter Hall. USA, 1987.

Romantyzm nie tylko ze Staszowa

Zaskoczył mnie ostatnio mój budapeszteński przyjaciel Zoltan, znany architekt. Była piękna wiosenna pogoda (piszę to w maju), więc zabrał mnie, wraz z mym kolegą, do nowej, położonej na wzgórzach dzielnicy, zwanej „miastem-ogrodem", w której jeden po drugim wyrastają nowe domki jednorodzinne.

Złe słowo zostało tu użyte – co to za domki. Takich zamożnych, ogromnych willi nie uświadczysz nawet w bogatym, lubiącym pretensjonalność i nawiązywanie do autentycznie starych tradycji Rzymie. Drewno, metal, szkło i cegła – oto materiały powszechnie używane w tych budapeszteńskich budowlach, których niezwykłość polega na tym, że chcą być i są całkiem inne niż to co wyrastało dotychczas i nazywało się willą, że podobieństwa ich można doszukiwać się w kształtach kościołów, kopulastych cerkwi lub pałaców secesyjnych. Jednakże w przeciwieństwie do tamtych mają jednocześnie wiele urządzeń, pozwalających błyskawicznie przemieniać pokoje w kwieciste werandy i vice versa, a w aranżacji ich przestrzeni coraz większą rolę poczyna odgrywać technika.

– Tak się u nas teraz buduje, to postmodernizm – tłumaczy mi Zoltan.

A mnie natychmiast na myśl przychodzi fantastyka, romantyczny ruch. który także można określić jako postmodernizm, ruch, który za wszelką cenę, jak to budownictwo, pragnie się odciąć od siermiężnej prostoty sztuki, która dotychczas dominowała. Tak, to jest fala nowej secesji, nawiązująca swoimi formami i swoją indywidualizacją poszczególnych utworów do tamtej z belle epoque, lecz wzbogaconej o zdobycze nauki i techniki i tę gorzką wiedzę i doświadczenie ostatniego półwiecza, które ludzkość ledwo – ledwo przeżyła.

Myślę, że te nowe prądy, reprezentowane obecnie na świecie we wszystkich dziedzinach sztuki, znalazły także swój wyraz w czasie Dni Fantastyki zorganizowanych znowu w Staszowie (koło Tarnobrzega). Tym razem poświęcono je literaturze dla dzieci i młodzieży.

Cieszył mnie udział w tej imprezie sporej liczby młodych miłośników fantastyki (takiej liczby dzieci jeszcze na Dniach Fantastyki u nas nie bywało) i możliwość spotkań tej młodzieży z przedstawicielami środowiska naukowego z Uniwersytetu Warszawskiego oraz znanych pisarzy i plastyków. Raduje także aprobata władz województwa tarnobrzeskiego dla tego rodzaju imprez i bezpośredni udział ich w tej imprezie.

Oczywiście materiały, w postaci ciekawych artykułów, wykorzystane podczas tego spotkania staszowskiego spożytkujemy na naszych łamach. Wkrótce także będziemy mogli poinformować o niezwykle ważnych poczynaniach, będących kontynuacją staszowskich Dni (walną w nich rolę organizatora pełni Staszowski Klub Fantastyki) – oto na jesieni odbędzie się spotkanie tłumaczy literatury obcej, po którym się wiele spodziewamy, a na wiosnę przyszłego roku sesja poświęcona pokojowym utworom światowej literatury SF. I to wszystko w prowincjonalnym, ale jakże sprzyjającym nowym prądom, Staszowie i okolicy.

(AH)



foto. Zbigniew LATAŁA

Małgorzata Jurkowska, Janusz Monte – Ci, którzy zawsze są w cieniu, ale bez których nie byłoby „Staszowa".

Refleksje o wszechświecie

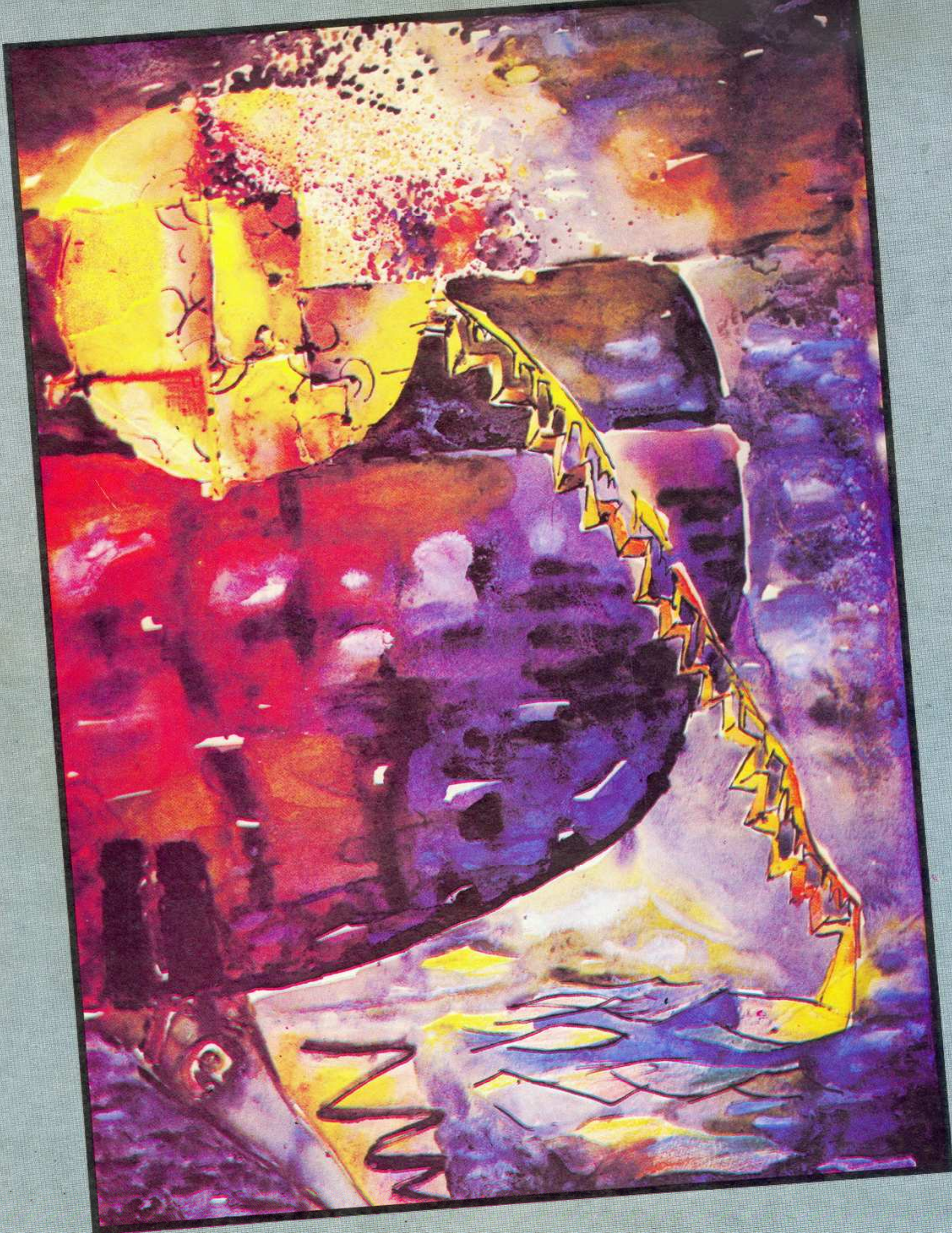
Roman Hennel to pisarz i malarz. Jedna z jego ostatnich książek „Kpiarze pod Giewontem", wydana przez „Iskry", cieszy się dużym powodzeniem. Ale chyba największa pasja Hennela to malarstwo, w większości akwarelowe. I w tej bardzo trudnej technice pan Roman, który często wystawia swoje prace w kraju i za granicą (w Warszawie, Krakowie, Katowicach, Zakopanem, Szczawnicy, Wrocławiu, Poznaniu, Gdyni, Budapeszcie, Bratysławie), robi prawdziwe cuda ze zwyczajnych krajowych krajobrazów. *Oddycha się tymi obrazami jak na pierwszej wiosennej wycieczce w szerokie skowronkowe pola* – pisze o nim jeden z krytyków jego sztuki, Tadeusz Staich.

Kocha naturę, ale przekazuje ją przefiltrowaną przez swój romantyczny sposób widzenia. Jest w tych malarskich poczynaniach fantastą, ukazując otaczający nas świat w projekcji swoich o nim marzeń i swoich dla niego miłości. Stąd nasze zainteresowanie jego oryginalną twórczością.

Proszę popatrzeć jak on maluje góry, osiedla, a nade wszystko niebo – za każdym razem inne, niezwykłe, grające różnorodnymi nastrojami – raz łagodne i dobre, to znowu miotające w nas burymi chmurami, wyzywającą czerwienią, wściekłe. *Bardzo przejąłem się możliwością ujrzenia swoich prac malarskich w Pana wielostronnej „Fantastyce". Zdałem też sobie sprawę, że mam, powstały w ciągu paru ostatnich lat, cały cykl kompozycji zbliżonych do abstrakcji, w których wszędzie króluje tło, będące substytutem nieba, czy może wszechświata* – napisał pan Roman w liście do pragnącego zamieścić te niezwykłe, obrazowe refleksje o wszechświecie na łamach „Fantastyki"

Adama Hollanka.

(patrz str. 49 i IV str. okładki)



str. 20 Andrzej Sapkowski

Droga, z której się nie wraca